

MARIA KRÜGER

Szkoła Narzeczonych

PARĘ SŁÓW OD AUTORKI

Na ulicach leżał gruz z rozwalonych pociskami domów. Przed sklepami stały beznadziejne, nie kończące się kolejki po chleb. Stali ludzie nieszczęśliwi i bezbronni. Środkiem ulic maszerowały oddziały żołnierzy w żelaznych hełmach. Tupiąc podkutymi butami śpiewali: Heili, heilo, heila!... Brzmiała niemiecka komenda, powiewały sztandary ze swastyką. Przejeżdżały ciężarówki pełne pobladłych ludzi schwytanych na ulicach lub wygarniętych z domu. Dokąd ich wieźli? Do obozów, na Pawiak, na rozstrzelanie?

Głodni, nędznie ubrani ludzie snuli się po ulicach. Szli do pracy lub powracali do zrujnowanych mieszkań, niepewni co z nimi dziś lub jutro się stanie. A kiedy nadchodził wieczór przyspieszali kroku, aby zdążyć przed godziną policyjną. Aby zdążyć!... Czy słyszycie, że gonią za wami żandarmi? Jeśli nie zdążycie, będą do was strzelać! Uciekajcie!... Uciekajcie!...

Potem, jeszcze przez długie lata będzie się wam to śniło po nocach. Będziecie się budzić z krzykiem.

W domu było zimno i ciemno. Brak opału i wygaszanie oświetlenia. Paliły się karbidowe lampy i świece. Oszczędzało się je. Smutek i cisza snuły się po mieszkaniach. Odebrano wszystkim aparaty radiowe, a rozmowy - to były stłumione, rozpaczliwe szept. Wicie? znów była łapanka... gdzieś była rewizja.... kogoś wywieźli... ktoś zginął...

W takie to dni, w takie wieczory wspominało się i tęskniło do życia tamtego, innego, zwyczajnego, które ludziom zabrała wojna. Do cichego, widnego mieszkania, do spokojnych wieczorów, kiedy radio grało jakieś melodyjki. Takie zwyczajne, które potem się nuciło. Jakże cudowne były te powszednie dni, których już nie było, które ludziom odebrano. Tęskniło się do nich. Tęskniło się do tej zwyczajnej krzątany domowej... Ktoś przypominał - czy pamiętacie, jak smakują prawdziwe kluski z serem? A jak nieporównywalnie dobry, najlepszy ze wszystkiego jest świeży chleb z prawdziwym masłem! A pieczenie ciasta! Może przyjdą goście?

Taka to była zwyczajna tęsknota za tamtymi dniami. Tak wspominali ci, którzy już przeżyli jakiś kawałek swojego życia, tamtego, innego... A młodzi?

Chłopcy stawali się żołnierzami, włączali się w konspirację. A dziewczęta? Te które dorastały i stawały się nastolatkami, do których powinno uśmiechać się życie. Co z nimi? Ale życie nie uśmiechało się. Nie dla nich była radość i beztraska.

Wystraszone, zgaszone, niektóre włączone w walkę, prznosiły meldunki i broń dla chłopców, którzy byli wspaniali, odważni i którzy oddawali życie za “Tę co nie zginęła”.

Zabrała, zabrała tym nastolatkom wojna wszystko, co miało być dla nich. Ale czasem, czasem, kiedy słuchały rozmów i wspomnień w domowe wieczory, zaczynały marzyć. Marzyły te, które czekały na życie. Jakie miało być? Jak je sobie wyobrażały?

No właśnie...

Książka o tym była pisana w latach 1943- 1944. Maszynopis ocalał pod gruzami i w roku 1945 ukazało się pierwsze wydanie “Szkoły Narzeczonych”.

Następne nie miały się już ukazywać.

A teraz znów witajcie Drogie Czytelniczki - Wy, szesnastolatki i te z Was, którym wojna odmieniła los. Powraca do Was Marianna, która chciała przeżyć piękne, zwyczajne życie.

Warszawa 1990

ZAMIAST WSTĘPU

Nazywa się Maria Anna Szelażkówna. Ale tak na codzienny użytek w domu, wśród koleżanek i dalszej rodziny wołają na nią: Marianno! Po pierwsze, dlatego że tak się składają jej obydwaj imiona, a po drugie, dlatego że umie świetnie gotować, a jak twierdzi jej brat Wojtek, jest to imię szczególnie odpowiednie dla kucharki.

W chwili, kiedy zaczyna się ta historia, Marianna ma piętnaście lat i trzy miesiące. Jest średniego wzrostu, raczej okrągła niż szczupła, włosy ciemne - taki ładny, brązowy kolor, oczy bardzo niebieskie, tak że chwilami są prawie granatowe, cera śniadawa z rumieńcami. Poważne natomiast zmartwienie bohaterki stanowi nos. Ten rodzaj nosów zwykło się nazywać kartoflowatym. Że jest to jednak kartofelek zupełnie mały i raczej zabawny, więc wcale nie szpeci swojej właścicielki. Ponadto należy jeszcze dodać, że Marianna jest warszawianką i oprócz rodziców i brata posiada trzy ciotki.

ROZDZIAŁ 1 - POSTANOWIENIE

Ciotka Natalia, ciotka Helena i ciotka Janina, przychodząc na niedzielne herbatki, nie omieszkają nigdy zatroszczyć się o przyszłość Marianny. Ciotka Natalia ma córkę Sabinę, która ma posadę w biurze, a ciotka Helena ma dwie córki: Jolantę i Iwonę. Jolanta zostanie gwiazdą baletu, a Iwona jest asem i chlubą swego związku sportowego. Fotografie Iwonki były nawet zamieszczone w pewnym ilustrowanym tygodniku. Ciotka Janina nie ma córek, ale ma syna. Synowi jest na imię Waldemar, co biednego chłopca doprowadza do rozpacz. Zdrobniale wołają na niego Waldek. Otóż Waldek, który wolałby się nazywać Janek albo po prostu Władek, chce za wszelką cenę zostać marynarzem, podczas gdy ciotka Janina marzy dla niego o karierze dyplomaty, i nawet z tą myślą, jak sama kiedyś wyznała, nadała mu owo imię. Te właśnie trzy ciotki, obok trosk o własne potomstwo, przyjęły na siebie zupełnie dobrowolnie jeszcze jedną troskę, a mianowicie troskę o karierę siostrzenicy. - Bo każda kobieta musi dziś czymś być - twierdzi ciotka Helena - musi być samodzielna, musi mieć jakiś zawód.

I właśnie chodzi o ten zawód dla Marianny. - Niech zostanie dentystką albo kosmetyczką - zaleca ciotka Natalia.

- Może nauczycielką, albo może skończyłaby kursy kreślarsko-techniczne, kreślarki są bardzo poszukiwane - proponuje ciotka Helena. A ciotka Janina domaga się nawet w sposób dość stanowczy, aby Marianna została adwokatem lub dziennikarką.

W czasie takich rozmów Marianna czuje w całej pełni swoje beztalencie i marność. Martwi ją to w tym samym stopniu, co jej kartoflowaty nosek. A może nawet bardziej.

A mama? Biedna mama! Mariannie jest strasznie żal matki, kiedy siedzi wśród ciotek, taka ładna i młoda, z tą swoją zmartwioną i zawstydzoną miną. Widać od razu, że mama czuje się wyraźnie winna, że wydała na świat i wychowała córkę, która jest po prostu niczym.

Ojciec? Ach, ojciec jest pociechą i podporą w tych ciężkich chwilach, kiedy ciotki, wyczerpawszy temat pogody, wydarzeń rodzinnych i chorób, a ukończywszy wychwalanie własnych pociech, litościwie kiwają głowami nad ciemną przyszłością swej bratanicy. Ojciec wtedy odpowiada lekkomyślnie, że nie martwi się o dalsze losy Marianny, a nawet pozwala sobie na świętokradzkie uwagi o "gwiazdach" ciotki

Heleny.

- Jakoś to będzie, prawda Marianno? - kończy tatko zazwyczaj te rozmówki.

Poza tym, jeśli chodzi o bliższą rodzinę Marianny, to należy wymienić Wojtkę, o którym była wzmianka na samym początku. To właśnie ten rodzony brat. Jest o dwa lata starszy od Marianny i przeważnie nie interesuje się siostrą.

Ale naprawdę! już tej niedzieli (była to cudowna niedziela czerwcową słoneczną i nieomal upalną) ciotki zawzięły się jak nigdy. - Sabinka w biurze dostała podwyżkę, może wobec tego zacznie składać pieniądze na kupno własnej willi! Jolanta będzie występować w Ameryce, a Iwonka weźmie udział w olimpiadzie.

Ciotki opowiadają to wszystko, zajadając keks, kruche herbatniki i pyszne ciastka z czereśniami.

- Owszem, niezłe ciastka - mówi łaskawie do mamy ciotka Janina - daj mi na nie przepis.

- Tak, ja też bym może takie upiekła - oświadcza słabym głosem ciotka Helena, która właśnie zrobiła małą przerwę w długiej epopei o meczach, treningach i zawodach Iwonki, po to, aby wzmocnić wyczerpane siły solidnym kawałkiem ciasta.

- Ach! to arcydzieło Marianny - mówi mama ucieszona, że może choć w jednym wypadku wykazać zalety córki. - Ona świetnie piecze. I lubi gotować - dodaje mama już z niejakim zawstydzeniem, mając w pamięci wspaniałość scenicznych sukcesów Jolanty.

- Lubi gotować? - zainteresowała się ciotka Helena, między jednym łykiem herbaty a drugim - to może poszłyby do szkoły hotelarskiej. Mogłaby na przykład prowadzić pensjonat, albo...

Tu na szczęście nastąpiła przerwa, a właściwie koniec troszczenia się o Mariannę, bo ciotka Helena przypomniała sobie, że jeszcze nie opowiedziała wszystkim, jak to jeden amerykański reżyser pokłócił się z reżyserem szwedzkim o Jolantę. Po prostu licytowali się, który z nich zaangażuje ją i zrobi z niej gwiazdę filmową.

- I który ją zaangażował? - dopytywała się mama ze szczerym przejęciem.

- Byłby ją zaangażował ten Amerykanin, gdyby nie intrygi Szweda - westchnęła ciotka Helena.

- Nigdy bym nie pomyślała, że Szwedzi są tacy podstępni - wyznała ciotka Janina. - Ale ??a??? propos. Właśnie w Szwecji mogłabyś odbyć praktykę hotelarską - zwróciła się nagle do Marianny.

- Ach, ciociu, kiedy nie wiem. Mnie to chyba nie odpowiada - tłumaczyła się zaskoczona Marianna. - Zresztą, praktyka hotelarska, to chyba raczej w Szwajcarii.

- Być może - godzi się łatwo ciotka.

- Ale ty jesteś świetna, Marianno! Czy naprawdę nic cię nie interesuje?

Czyżbyś miała zamiar uprawiać zawód panny na wydaniu? - ciotka Helena, pełna ironii i politowania zapaliła papierosa.

Mama znów jest zgnębiona i tłumaczy: Marianna jest jeszcze taka młoda, więc trudno...

- Moja Jolanta poczuła powołanie i zaczęła kształcić się zawodowo, mając lat osiem - przerywa srogo ciotka.

Tymczasem o dziwo! ciotka Natalia przychodzi mamie z odsieczą. - Moja kochana Helu, dajże spokój! Przecież nie każda panna musi zostać baletnicą.

Nie, to już za dużo! - ciotka Helena dyszy zemstą. Wyraźnie czuje się znieważona. - Moja Naciu, każdy inteligentny człowiek wie doskonale, jaka jest zasadnicza różnica między baletnicą a tancerką. Jolanta jest tancerką pur sang, będzie sławą światową...

- Jak Boga kocham, nie wiem na czym ta różnica polega - wtrąca ojciec. - Czy mogłabyś, Helutko, objaśnić mi to jakoś dostępniej?

Marianna słucha już piąte przez dziesiąte dalszych wywodów ciotecznych, przerywanych chrupaniem ciastek. Z bólem serca stwierdza, że dyskusje rodzinne na tematy artystyczno-wychowawcze zaostrzają apetyt i że niestety, dla Wojtka uda się ocalić tylko znikomą ilość kruchych gwiazdek. Jednocześnie zastanawia się, czy naprawdę i koniecznie musi być zdolna i stanowić przedmiot dumy rodzinnej. Lepiej, żeby ten zaszczyt przypadł w udziale Wojtkowi. Jej samej stanowczo bardziej odpowiadałaby jakaś skromniejsza kariera, niż na przykład medycyna, czy inne strasznie mądre rzeczy. Zawsze była skłonna do opatrywania skaleczeń i robiła to zręcznie i z wprawą, ale leczenie? decyzja? krajanie? stawianie diagnozy? Nie, za nic na świecie. Albo prawo, tak protegowane przez ciotkę Janinę. Marianna wcale nie była wygadana ani sprytna w większym stylu. Ten malutki sprycik, jaki posiadała, wystarczał jej zaledwie na codzienne, domowe potrzeby, ale nie był to spryt potrzebny prawnikowi i wcale nie nadawał się do eksploataowania. A teatr? Ciotka Helena była strasznie dumna z tych scenicznych występów Jolanty - ale Marianna i scena? Roześmiała się sama do siebie, na myśl o czymś podobnym. Więc może by raczej coś praktycznego? Na przykład biuro? Praca w biurze, pisanie na maszynie?...

Zimny dreszcz wstrząsnął nieutalentowaną latoroślą rodu Szelażków. I co prędzej, dla wynagrodzenia sobie tych ponurych wizji, nieśmiało pogrzyła się w marzeniach na tematy niezupełnie skryształizowane, ale miłe. Że na przykład ładnie byłoby mieć mieszkanie, takie własne, już jako dorosła osoba, umeblowane nowocześnie - jasne meble pokryte lnianą tkaniną albo wełnianym samodziałem. Bardzo lubiła to swoje mieszkanko z marzeń, tylko czasem myliła się w rozkładzie małych, jasnych pokoików. Bo koniecznie oczywiście musiałyby być słoneczne. Nie była też jeszcze pewna, czy wolałaby, żeby do łazienki wchodziło się z sypialni, czy też z przedpokoju. Nie zdołała także zdecydować (Marianna nie potrafi decydować szybko), czy kafle w łazience mają być różowe czy cytrynowe. Ostatnio, co prawda, oglądała w salonie pokazowym gazowni łazienkę z kafli koloru pistacjowego i to zmąciło spokój jej duszy. Żałowała nawet potem trochę, że dała się mamie namówić na zwiedzanie salonu. Zresztą mniejsza o łazienkę. Odłożyła teraz to rozstrzygnięcie na kiedy indziej i już podjęła nowy temat marzeń. Tym razem wyobrażała sobie, że mieszka w uroczym, białym domku, w jakiejś cudnej okolicy, na przykład gdzieś w okolicy Krakowa. Pod oknami rosną róże albo może malwy, a wino oplata słupy ganku. W tym otoczeniu ona, Marianna, ubrana w pełną prostoty, ale szalenie elegancką suknię ogrodową, przechadza się między rabatkami, ścinając kwiaty do przybrania stołu. Bo właśnie będą goście. Marianna układa menu podwieczorku zależnie od pory roku. Więc na przykład teraz poda się lody. W trzech kolorach i smakach: truskawkowe, śmietankowe i rabarbarowe. Do tego poda się andruty. Może i krem waniliowy. Goście podziwiać będą wytworne przyjęcie i zachwycać się cudnymi pucharkami do lodów (takie właśnie pucharki są na wystawie w pewnym składzie porcelany). Marianna dalej w marzeniach robi honory domu, a w ogrodzie bawią się dzieci, których ma troje. Dwie dziewczynki i chłopczyka. Imiona ich brzmią różnie, zależnie od tego, jaką książkę Marianna ostatnio czytała. Dziś na przykład córeczki nazywają się Patrycja i Klaudia, a synek Marek. Co prawda mąż jej... Tu zazwyczaj marzenia Marianny zatrzymują się w martwym punkcie. To było zawsze dosyć trudne, wyobrazić sobie takiego gentlemana, co to jak to się mówi "na całe życie" itd. Nie, stanowczo nie należało poruszać w marzeniach tego tematu. A wszelkie próby wyimaginowania sobie jakiegoś osobnika na tym stanowisku wypadały raczej dość mętnie.

Właśnie w tej chwili, kiedy Marianna z bezlitosną obojętnością wyrzucała ze swojego przyszłego życia pętającą się postać małżonka, aby poświęcić się

wychowaniu dzieci, obudziło ją z marzeń coś, co bardzo przypominało kłaśnięcie z bicza. Był to jednak tylko poźegnalny pocałunek którejś z ciotek. Ale nie to było ważne w tej chwili, tylko to, że nagle przywrócona do rzeczywistości Marianna, powzięła ni stąd ni z owąd mocne postanowienie realnego zdecydowania o swojej przyszłości. - Może jakaś szkoła krawiecka, albo co? - pomyślała z determinacją. - Muszę to zrobić dla mamy i dla tatka, żeby już ich tak nie kompromitować. Nie, naprawdę takie tylko gimnazjalne wykształcenie to za mało wobec tych wszystkich znakomitości rodzinnych. A może się poświęcić na przykład meteorologii? Dopiero by była historia! Albo może nauczę się modniarstwa?

Perspektywa magazynu z kapeluszami wydała się jej w tej chwili dość ponętna. Byłoby to coś ??a??? la firma "Penelopa", gdzie mama kupuje kapelusze. I uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak obsługiwałyby kapryśne klientki.

- Marianno!

Gości już nie było. Mama wołała ją, żeby zaproponować pójście do kina. Na jakiś dobry, pogodny obraz.

- Idźcie, idźcie - wyganiał je ojciec. - Jeszcze zdążycie na ten seans o ósmej. - Wyprawiał je, zadowolony, że mama trochę się rozerwie. Wiedział, że ją zawsze trochę męczyły te niedzielne wizyty.

Film był pogodny, typowo amerykański, o słodkim dziewczątku, dzielnym chłopcu i jednym czarnym charakterze. Gdzieś w Pensylwanii, czy Iowie, złotowłosa Betty musiała się porządnie namęczyć, zanim dobiegła do happy endu ze swoim drażalowym Bobem. Mama i Marianna z przejęciem śledziły losy bohaterki, podziwiając jednocześnie jej toalety. To było przyjemne zakończenie wieczoru.

Wracały potem do domu w dobrym nastroju i śmiały się lekkomyślnie, zapomniawszy o ciotkach, karierach i genialnych kuzynkach.

- Można by uszyć dla ciebie taką letnią sukienkę w kwiatki jak ta z falbankami - rozważała mama, omawiając toalety gwiazdy filmowej. - Byłby to świetny komplet z tym dużym kapeluszem.

- Ach, nie! - zaproponowała Marianna - wolałabym raczej taką wełnianą jak ta, w której ona jest na końcu. Taka bardzo prosta, ale elegancka.

- Tak, właściwie przydałaby ci się lekka wełniana.

- Ale koniecznie niebieska - dobrze mam? - zastrzega Marianna, chwilowo zupełnie szczęśliwa. I postanawiają, że nazajutrz pójda wybrać materiał, bo zanim ta pani Sokołowska uszyje, to akurat będzie na jesień.

Jesień, Marianna pochmurnieje. Mój Boże! dawniej ogromnie lubiła jesień i zapach pożółkłych, spadających liści. Dostawała wtedy nowy mundurek i szła z ojcem kupować nowe książki szkolne i nowy piórnik albo inne drobiazgi, które zawsze sprawiają tyle uciechy.

Tak, trzeba będzie coś postanowić i od jesieni gdzieś się zapisać.

- Tatku - mówi potem niespodziewanie Marianna przy kolacji - może bym zapisała się do jakiejś szkoły zdobniczej?

- Dlaczego właśnie do zdobniczej? - dziwi się ojciec. Ale dodaje po chwili. - No, do jesieni jeszcze zobaczymy. Mam wrażenie, że jeszcze zmienisz zdanie. - A Wojtek, zjadając resztę ocalałych kruchych ciasteczek, doradza. - To już lepiej idź na politechnikę...

ROZDZIAŁ 2 - PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Niebieska wełniana sukienka, ta sama, której pomysł powstał wtedy w kinie, udała się pani Sokołowskiej nadzwyczajnie. Nie była zresztą zrobiona ściśle według tamtej kreacji filmowej, tylko inaczej, według modelu wynalezionej przez Mariannę w piśmie kobiecym prenumerowanym przez mamę. To było w czerwcowym numerze, a teraz jest 28 sierpnia. Niebieska sukienka i tenże numer czasopisma leżą obok siebie na łóżku, a Marianna zastanawia się, do której z dwóch walizek łatwiej będzie to zapakować. Sukienkę może jeszcze da się włożyć na wierzch do tej większej walizy, a pismo? Marianna przerzuciła po raz nie wiadomo który zniszczone stronicę, aby odnaleźć stronę 12 i również po raz nie wiadomo który przeczytała tytuł: "Jagodne - reportaż ze Szkoły Narzeczonych".

W Małopolsce... internat... różne typy gospodarstw, kurs trzyletni... siostry gospodarcze... słuchaczki z całego kraju...

Marianna przebiega wzrokiem prawie że już na pamięć umiane fragmenty reportażu i w końcu kładzie pismo na dnie mniejszej walizki. Niebieską sukienkę składa starannie, nieomal tkliwie. Stanowczo ma sentyment do tego łaszka, który przypadkiem wiąże się z odkryciem Jagodnego.

- Pończochy masz wszystkie wycerowane? - Mama jest pod tym względem nieubłagana. Całe pończochy są rzeczą zasadniczą.

- A ręczniki masz? Gdzie zapakowałaś ten różowy szlafrok? Bierzesz kostium kąpielowy? A bluzka pikowa jeszcze nie uprasowana. - Mama rzuca pytania bezładnie, trochę zdenerwowana wyjazdem jedynaczki. Wojtek w międzyczasie szaleje ze swoimi conceptami na temat szkoły narzeczonych, aż tatko musi go uspokajać.

Swoją drogą tatko też po swojemu jest niespokojny i ciągle przygaduje, że już tylko dwie godziny do odejścia pociągu. - Wolałbym, jeśli już jedziesz, żebyś miała miejsce siedzące. Ty nie wiesz, jak to bywa w tym pociągu krakowskim! Formalnie stoi się przez całą drogę w korytarzu.

- I zjedz koniecznie zaraz dwa jajka na miękko - nawołuje desperacko mama, przerażona perspektywą, że Marianna mogłaby głodować w czasie podróży i to w dodatku podróży odbywanej na stojąco. I nagle wpada na pomysł: - Bronku! - mówi do tatka - może bym ją lepiej sama odwiozła?

- Mamo! - protestuje gwałtownie Marianna, a Wojtek dodaje: - Lepiej

przypiąć jej kartkę z imieniem i adresem na wypadek, gdyby się zgubiła.

W taksówce - kłopot, bo ciasno. Mama, tatko, Marianna, dwie duże walizy, trzecia malutka (to neseserek, śliczny i nowiutki, prezent od rodziców). Wojtek niech siada przy szoferze! Na dworcu - ten miły niepokój przedwyjazdowy. Przyjemnie jest siedzieć przy oknie w wagonie drugiej klasy i mieć świadomość, że już za małą chwilę zacznie się nowe, zupełnie inne niż dotychczas życie.

- Marianno! - zaklina mama - pisz często! Najlepiej zaraz po przyjeździe przyślij depeszę, że jesteś już szczęśliwie na miejscu. Jeśli nie będziesz mogła depeszować, to może ja zatelefonuję z Warszawy. Zapytam dyrektorkę, czy przyjechałaś.

- Mamo, po co? - jęczy błagalnie Marianna i rozgląda się za ojcem, który w takich wypadkach zwykł mitygować niepokój mamy. Ale ani ojca ani Wojtka nie ma przed wagonem, gdzieś się zapodziali, a tu tymczasem pociąg zaraz ruszy.

- Cóż za pomysły, żeby teraz znikać - denerwuje się mama, zapominając już szczęśliwie o telefonach i depeszach. - No, nareszcie są!

Nie, naprawdę? - Marianna nie chce wierzyć oczom. Ten zawsze kochany tatko przyniósł ogromne pudło czekoladek na drogę i różne pisma ilustrowane, a Wojtka też widać ruszyło sumienie i na przeprosiny za te wszystkie głupstwa, których jej tyle przed wyjazdem nagadał, przyniósł owoce i jakąś książkę. Marianna promienieje wychylając się z okna wagonu i nagle urywa w połowie zaczęte zdanie. Bo któż to niby czołg przebija się przez tłumy publiczności i kieruje się w stronę Marianny? To ciotka Natalia, pełna dystynkcji, tkwi już przed wagonem i po ucałowaniu mamy, zaczyna wydziwiać nad "eskapadą" Marianny, jak się wyraża.

- No, no, kto by to powiedział, że nasza mała ma takie oryginalne pomysły - sapie dostojnie ciocia i mruga na mamę znacząco. - Żeby chociaż z dobrym rezultatem! - A potem zwraca się do ojca: - Ja bym co prawda mojej Sabinki do takiej szkoły nie posłała. Nie wiadomo czego będą tam dzieciaka uczyć. Tylko że ty, Bronku, zawsze byłeś taki ekscentryk i radykał, nic więc dziwnego, że twoja córka też ma takie pomysły.

Ojciec śmieje się porozumiewawczo do Marianny i przytakuje ciotce - trudno! już jest taki!

Wtem gwizdek, trzaśnięcia drzwiczek wagonów, okrzyki konduktorów i pociąg zaczyna powoli, prawie niedostrzegalnie posówać się wzdłuż peronu, a potem coraz szybciej mija stojących przed wagonami. Mama woła: - Marianno! depeszuj! -

Ojciec macha ręką i woła: - Sprawuj się dobrze! - a Wojtek dodaje: - Nie przejeżdż się cukierkami! - bo Wojtek ma czasem takie kompromitujące pomysły. To wszystko jednak zbladło wobec faktu, że ciotka Natalia, ni stąd ni z owąd zaczęła płakać.

Wyciągnęła z torebki dużą, białą chustkę do otarcia łez, a Marianna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chustka ta była z góry przygotowana w tym celu.

Pociąg uciekał teraz szybko z dworca, jakby chciał co prędzej zostawić za sobą Warszawę i wszystkie zwyczajne i dawne sprawy. Po chwili nie było już nawet widać białej chustki ciotki Natalii.

Marianna odsunęła się od okna i usiadła na swoim miejscu. Kiedy ochłonęła nieco po wstrząsających przeżyciach pożegnania, rozejrzała się po przedziale. Jakaś starsza pani, która już odżywiała się skrupulatnie, pan w średnim wieku, w okularach, zaczytany w gazecie i szczupły ksiądz, który zdaje się trochę drzemał. Marianna, z godnością doświadczonej globtrotterki, usadowiła się wygodnie, poprawiła nowe, zamszowe rękawiczki i zaczęła przeglądać pisma. Trudno jednak interesować się treścią dzienników, kiedy być może leży przed kimś droga do nowych, niezwykłych przeżyć. A ponieważ jak wiadomo, wszelkie przeżycia psychiczne wywołują reakcję w organizmie, w tym wypadku u Marianny jako reakcja wystąpił głód. Słodka pomarańcza i czekoladki okazały się środkiem przywracającym równowagę i jasność myślenia. Czyż pomysł ze szkołą w Jagodnem nie był dobry? Marianna raz jeszcze stwierdziła, że w każdym razie, w najgorszym nawet wypadku, ryzykuje tylko miłą wycieczką do nie znanej miejscowości. Co będzie dalej? - to się okaże. No i to zdumienie ciotek też było wiele warte.

Skierniewice dostarczyły niejakiego urozmaicenia w postaci nowego pasażera. Był to młodzian, w tym samym stopniu jasnowłosy co długonogi. Ubrany był tak strasznie elegancko, tak strasznie podróżnie, że Marianna spoglądała na niego nieomal z zazdrością. Niewątpliwie ponieważ był to pociąg mający bezpośrednie połączenie z Wiedniem, młodzieniec jechał co najmniej do Monte Carlo, jak to podobno według różnych klasycznych powieści, zwykli robić synowie rodzin zamożnych lecz zrujnowanych.

- Niech sobie tylko nie wyobraża, że go podziwiam, albo że mu zazdroścę - zirytowała się Marianna i sięgnęła po książkę ofiarowaną jej przez Wojtka.

Naturalnie! Wojtek musi zawsze coś takiego wymyślić. Była to książka angielska i Marianna, rada nie rada, zaczęła się porać ze swoją dość słabą angielszczyzną. Czytała już piątą stronę zabawnej zresztą powieści, kiedy usłyszała nad sobą

gdakliwy głos młodzieńca. Podniosła przerażona głowę, lecz jak się okazało, młodzian pragnął jedynie poinformować się, dokąd Marianna jedzie. Pytanie zresztą zupełnie niewinne, gdyby nie to, że młodzian zadał je w dziwnie brzmiącej angielszczyźnie.

- Aha! tak widać mówią prawdziwi Anglicy - pomyślała Marianna. Ale zaraz zaniepokoiła się, że jest to być może międzynarodowy hochsztapler, szukający okazji do ściągnięcia jej walizek. Odpowiedziała więc uprzejmie lecz chłodno, z możliwie dobrym akcentem, że jedzie w stronę Krakowa.

To oświadczenie młodzian przyjął z niekłamanym entuzjazmem. - Czy podoba się pani Polska? - zapytał, zerkając przy tym do małej książeczki, która miała wszelkie pozory słownika.

- Ooowszem - wyjąkała przyszła słuchaczka uczelni w Jagodnem.

Wyznanie takie najniespodziewaniej zachęciło jasnowłosego młodzieńca do wygłoszenia małego odczytu o pięknie naszego kraju. Marianna przytakiwała skwapliwie, podziwiając erudycję zagranicznego gościa, który zaniechawszy wreszcie zachwytów nad malowniczością Pienin, zagadnął zniemacka: - Czy jednak pani nie uważa, że Londyn jest najpiękniejszym miastem? Bo jeśli chodzi o mnie, to sądzę, że żadna stolica nie wytrzymuje z nim porównania.

To widać taka megalomania angielska - wywnioskowała Marianna, uśmiechając się w odpowiedzi pobłaźliwie. I kiwnęła głową, bo akurat nie mogła znaleźć odpowiednich słów, aby sklecić jakieś zgrabne zdanie, sławiące należycie w języku angielskim stolicę Wielkiej Brytanii.

Trochę już była zła na tego zagranicznego nudziarza, który swoją gadaniną psuł jej przyjemność pierwszej samodzielnej podróży, zwłaszcza że reszta towarzystwa w przedziale z żywym zainteresowaniem śledziła przebieg tej znajomości. Już chciała przeprosić natrętnego młodzieńca i wyjść na korytarz, kiedy nadszedł konduktor, żądając biletów. Marianna wobec tego rozpoczęła gwałtowne poszukiwania w torebce i po kieszeniach, i przez chwilę zamierała ze strachu, bo zdawało się jej, że tatko zabrał bilet razem ze swoją peronówką. Ale na szczęście bilet tkwił na miejscu, w małej przegródce torby.

Znacznie gorzej natomiast przedstawiała się sprawa cudzoziemca, który podał konduktorowi jakąś książeczkę i z bardzo pewną siebie miną oczekiwał na jej zwrot. Konduktor długo oglądał tajemniczy dokument i wreszcie oświadczył:

- Proszę pana, ten bilet jest już nieważny.

Wobec tego Marianna, poczuwając się do obowiązku gościnności względem cudzoziemca, pospieszyła z wyjaśnieniem, że jest to Anglik, który niewątpliwie nie wie, o co chodzi.

- Zaraz mu przetłumaczę wszystko, panie konduktorze.

I aczkolwiek funkcjonariusz kolejowy miał wyraźnie zniecierpliwioną minę, starała się jak najdokładniej wyjaśnić młodzieńcowi, że bilet jest przedawniony.

Anglik nie odpowiadał, ale miał tak dziwny wyraz twarzy, że Marianna zaczęła z lekka powątpiewać, czy jest to gentleman zupełnie normalny. Raczej należało podejrzewać pewien niedorozwój umysłowy.

- Więc chyba już go tak zostawię - zdecydował wreszcie kolejarz, zirytowany niezrozumiałą gadaniną - ale niech mu pani powie, że na stacji zapłaci karę. - I wyniósł się obrażony.

Jeszcze gruby konduktor przeciskał się przez korytarz, kiedy nagle domniemany cudzoziemiec zaterkotał najczystsza polszczyzną: - To pani mówi po polsku? Pani jest Polką? Boże! a ja się wygłupiam i gadam moją kiepską angielszczyzną. Stokrotnie przepraszam, pani pozwoli, że się przedstawię: Smolik jestem, Antoni Smolik z "Echa Warszawskiego".

Marianna osłupiała patrzyła na Smolika potrząsającego jej prawicą. Wreszcie wyjąkała: - No dobrze, ale dlaczego pan zaczął do mnie mówić po angielsku?

- Przecież pani czytała angielską książkę. Więc tak jakoś, nie wiem dlaczego wydało mi się, że pani jest cudzoziemką...

Ach! więc to lektura dostarczona przez Wojtka stała się przyczyną nieporozumienia!... Marianna zaczęła śmiać się tak niepohamowanie, że aż z tego śmiechu łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły kapać po policzkach. I w owym śmiechu rozplynęła się cała obawa i lekki wstyd na temat tego, co gotowi sobie o niej pomyśleć towarzysze podróży. Że może zwariowała, albo coś w tym rodzaju. Ale nie myśleli na pewno nic złego. Kiedy podniosła na nich rozbawione oczy, dostrzegła, że wszyscy uśmiechają się życzliwie i że właściwie to całe qui pro quo strasznie im się podoba. To jej dodało nieco otuchy. I może ten fałszywy Anglik, to naprawdę dziennikarz, a nie hochsztapler? Swoją drogą przyjemnie byłoby mieć takiego znajomego, który pisuje w gazecie. Można wtedy mówić: mój jeden znajomy, redaktor... jakże on się nazywa? aha! Smolik, redaktor Smolik...

A właśnie tenże Smolik podtykał jej teraz przed oczy ową nieszczęsną książeczkę, którą tak zlekceważył gruby konduktor.

- Wie pani? On miał rację. Ten bilet jest przedawniony. To taki redakcyjny bilet. Wcale nie zauważyłem, że zapomnieli go przedłużyć. Ale dzięki temu, że pani zrobiła ze mnie Anglika, mogę jakoś bez większych kłopotów dojechać do miejsca przeznaczenia...

- Ja z pana zrobiłam Anglika? - zaczęła oburzać się Marianna. Ale nie zdążyła więcej powiedzieć, gdyż pociąg właśnie zatrzymał się i rozległy się okrzyki:

- Skarżysko-Kamienna!

Wobec tego były cudzoziemiec zaczął spieszenie żegnać się z Marianną, po czym rącho pomknął przez korytarz ku wyjściu. Kiedy zaś znalazł się na peronie, jeszcze stamtąd pokrzykiwał jakieś adresy i numery telefonów, domagając się przy tym, aby Marianna koniecznie napisała do niego, albo zatelefonowała.

Pociąg łomotał wesoło i usłużnie i już Skarżysko-Kamienna dawno znikło, kiedy Marianna ochłoneła wreszcie jako tako po tej pełnej niespodzianek znajomości. Jako reakcja wystąpił teraz wspaniały apetyt, który usiłowała zaspokoić kanapkami z szynką i pasztetem. Gdyby jeszcze do tego szklanka herbaty! Stanowczo pomarańcze nie mogły zastąpić tak pożądanego ciepłego płynu. Wreszcie przypomniała sobie, że przecież podczas swojej angielskiej konwersacji ze Smolikiem widziała idącego przez korytarz chłopca z wagonu restauracyjnego. Prawda! przecież można było pójść na herbatę do owego wozu, gdzie przy stolikach siedziało eleganckie, dorosłe towarzystwo. Pokusa była bardzo silna, podwójnie silna - po pierwsze: pragnienie, a po drugie: życie wytworne.

Dłuższe opieranie się tej pokusie było już ponad siły Marianny. Podniosła się więc, zdecydowana na udawanie osoby nie tylko zupełnie dorosłej, ale ponadto obytej z dalekimi podróżami.

W istocie, w wagonie restauracyjnym było bardzo przyjemnie. Marianna zdołała zająć jedyny jeszcze pusty stół i zamówić herbatę, kiedy usłyszała pytanie: - Pani pozwoli? - O biedna Marianna! ogromnie się zarumieniła. Bo jakiś pan, starszy i grubawy, a z nim oficer: szczupły i młody major, stali przy stoliku, uprzejmie oczekując jej zezwolenia, aby się przysiąść. No tak, rzeczywiście nigdzie nie było już wolnych miejsc. I Marianna, z godnością obytej światowej osoby, skinęła przyzwalająco. Trochę żałowała, że tego jej dorosłego zachowania nie podziwiała choćby ciotka Natalia, albo i Wojtek, który jej nigdy nie traktował poważnie, chyba że wtedy, kiedy piekła ciastka.

Towarzysze przy stoliku okazali się bardzo mili i zaopiekowali się Marianną

po rycersku. Dzięki ich interwencji dostała szybko upragnioną herbatę, doradzili jej zamówienie obiadu, otworzyli okno, bo w wagonie było duszno, a następnie dopilnowali, aby zjadła porządnie cały befsztyk. Najprzyjemniejsze zaś było to, że jak się okazało, córka pana Pełki, tego starszego jegomościa, również była wychowanką szkoły w Jagodnem.

- Pojechała tam już dwa dni temu - wyjaśnił. - Myślę, że się polubicie, chociaż ona jest starsza od pani, moje dziecko. Jest już na trzecim kursie i kończy teraz akurat osiemnaście lat. Niech pani odnajdzie po przyjeździe Teresę Pełczankę i pozdrowi ją od ojca. I proszę też jej powiedzieć, żeby się nie leniła z pisaniem listów do domu.

Syta herbaty i wrażeń, wracała Marianna do swojego przedziału, kiedy nagle silne szarpnięcie wagonów oraz krzyki konduktorów, wykrzykujących nazwę jakiejś stacji, poprzedziły zatrzymanie się pociągu. Była to dziwaczna nazwa, której nie dosłyszała, mimo iż jak sama później stwierdziła, nazwa ta godna była zapamiętania. Na peronie owej stacji, a właściwie przystanku, panował gwar. Kobiety wiejskie, objuczone tobołami i bańkami z mlekiem, kręciły się nawołując piskliwie. Chłopi łazili sennie, trzymając biczyska lub kobiałki, w których bieliły się sery i brązowiwały grzyby, a to wszystko przy akompaniamencie gegania gęsi i płaczu dzieciaków. Ponadto tu i ówdzie ukazywały się wśród tłumu, spacerujące parami lub po kilka, młodociane damy, przyodziane w kolorowe sukienki. Poniektórym towarzyszyła młodzież męska. Od razu i na pierwszy rzut oka można było zorientować się, że to miejscowa elita zażywa przechadzki, a peron stacyjny stanowi coś w rodzaju promenady.

Marianna stanęła w otwartych drzwiach wagonu i naraz poczuła lekkie pociągnięcie za sukienkę. Ze zdumieniem spojrzała na drobną, młodą Cyganekę, przyodzianą klasycznie, w kolorowe, poszarpane łańchmany. Cyganicha płaczliwie i niewyraźnie gadała: - Pani, pani, potrzyj go trocha, niech ja się z tobołami za ten czas wpakuję! - I podawała małe, czarnookie Cyganiątko. Marianna nieco przerażona, odruchowo sięgnęła po śmiesznego dzieciaka, wiedziona szlachetnym zamiarem dopomożenia jego cygańskiej matce. Tymczasem Cyganeczka zakręciła się po peronie koło jakichś tobołów i szmat, które leżały w pobliżu wagonu. Zbierała je powoli, jakby z trudem, jakby nie mogąc poradzić sobie z tym wszystkim. Wtem, sprężysty, dziarski i nieporównanie elegancki miejscowy zawiadowca w czerwonej czapce i niepokalanie białych rękawiczkach, dał sygnał odjazdu.

- Jeszcze nie! proszę pana, jeszcze nie! - krzyknęła Marianna, widząc, że

Cyganka na pewno nie zdąży wgramolić się do wagonu. Rozejrzała się bezradnie, nie wiedząc, czy nadal błagać wspaniałego zawiadowcę o zatrzymanie pociągu, czy też wyskakiwać samej, aby oddać cygańskiej matce jej cygańskie dziecko. Ze zgrozą też spostrzegła w pewnej chwili, że Cyganka najwyraźniej zaniechała zbierania tobołów i z właściwą swojej rasie niefrasobliwością i lekkomyślnością macha do niej życzliwie ręką. A pociąg, jakby w zмовie z młodą wiedźmą, przyspieszał biegu.

- Drzwi zamykać! Czy pani chce razem z dzieckiem wylecieć? - wrzasnął w tej chwili ktoś nad uchem Mariannie i tenże ktoś pchnął ją energicznie w głębi korytarza, zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi. Był to ten sam gruby konduktor, który tak srogo potraktował podrabianego cudzoziemca. Spojrzał na nią wzrokiem pełnym nieopisanego zdumienia i oddalił się szybko. Marianna w pierwszej chwili chciała pobiec za nim, aby zaproponować zatrzymanie pociągu, ale zabrakło jej odwagi. A poza tym Cyganiątko ciążyło jej porządnie i chciała przede wszystkim rozpatrzyć się w sytuacji. Dobrnęła więc jakoś do swojego przedziału, gdzie powitały ją niepomiernie zdziwione spojrzenia towarzyszy podróży. W dodatku okazało się, że przybył jeszcze jakiś pan, starszy i strasznie chudy, który, jak od razu można było zauważyć, nie zdradzał zachwyty na widok piszczącego bagażu taszczonego przez Mariannę. Spojrzał na nią z odrazą, a Marianna doszła do wniosku, że stanowczo wzrok rozdrażnionego bazyliuszka musi posiadać więcej słodczy.

- Najwygodniej byłoby wsiąść z dzieckiem do damskiego przedziału - oświadczył skrzekliwym głosem. I od razu było widać, że wcale nie ma zamiaru posunąć się chociaż trochę, aby zrobić nieco miejsca nieszczęsnej piastunce cudzego Cyganiaka. Dopiero interwencja pozostałych podróżnych, wyjaśniających, że Marianna zajmowała to miejsce i że jest ono dla niej zachowane, zdołała zmusić zgryźliwego staruszka do częściowej kapitulacji. Nie zaniechał jednak mruczenia w dalszym ciągu wymyślnych impertynencji pod adresem "bezczelnych bab" z wrzeszczącymi dziećmi.

Na domiar złego, Cyganiątko, jakby specjalnie na złość i wyraźnie w celach prowokacyjnych, zaczęło dawać wspaniały koncert kwilenia, które stopniowo zaczęło przechodzić w ryk. Ach! należało jednak co prędzej wyjaśnić sytuację. Więc Marianna spieszenie i bezładnie zaczęła przy akompaniamencie wrzasku małego diabelca opowiadać, w jaki sposób awansowała na opiekunkę tego potomka koczowniczego i lekkomyślnego plemienia. Co o tym sądzili towarzysze podróży, nigdy nie było im dane ujawnić, gdyż dalsze wrzaski Cyganiątka zagłuszyły

wszystko. Jak się uspokaja płaczące dzieci? Zdaje się, że bardzo praktycznie jest w takich wypadkach śpiewać. Ale pomysł ten, w zastosowaniu do jej przypadkowego pupilka, wydał się Mariannie najzupełniej nieodpowiedni.

- Cukierek trzeba mu dać, koniecznie - poradziła wreszcie jadąca w przedziale pani.

Tak, cukierek został łaskawie przyjęty przez podrzutka, który łypnąwszy ogromnymi, czarnymi oczami, zaniechał na razie krzyku. W dodatku nawet uśmiechnął się z wielkim wdziękiem, co mu zjednało zaraz sympatię całego towarzystwa, z wyjątkiem zgryźliwego starca, który był nieprzejednany.

- Biedactwo - roztkliwiła się owa starsza pani, siedząca vis ??a??? vis Marianny. - Ma pewnie około pół roku. - I cóż pani teraz pocznie, moje dziecko? - zwróciła się do Marianny. - Chyba będzie pani musiała oddać go policjantowi na najbliższej stacji.

- Nie wiem, czy to się uda - mruknął powątpiewająco inny pasażer. - Taka historia musi potrwać trochę czasu. Na pewno policjant będzie chciał sporządzić protokół, a pociągu, jak należy przypuszczać, nie zatrzymają specjalnie w tym celu. Najwyżej pani będzie musiała przerwać podróż.

Marianna zawsze ubóstwiała podróże, ale w tej chwili wolałaby zrezygnować z tak niezwykłych urozmaiceń, a może nawet i z samej wyprawy do Jagodnego. Bo cóż, na litość boską, począć? Żal jej było tego małego, czarniawego biedactwa, przytulającego się teraz do niej z całym zaufaniem. Czarne oczy z nieprawdopodobnie długimi rzęsami spoglądały na nią coraz sennie i wreszcie Cyganiątko zasnęło błogo a niewinnie.

- Niech je pani teraz położy na ławce - poradziła Mariannie współtowarzysze - przecież pani ręce zemdleją.

Uf! rzeczywiście, co za ulga, pozbyć się ciężaru bezwładnego dzieciaka. Marianna rozciera zdrętwiałe ręce i bezradnie spogląda w przyszłość.

- Należałoby może zwrócić się nie do policjanta, a raczej do członkini Towarzystwa Opieki nad Kobietami. Podobno mają dyżury na wszystkich dworcach - doradza pani siedząca vis ??a??? vis.

Ale inny podróżny (grubas w okularach) odniósł się do tego pomysłu z gryzącą ironią... - Jeśli Towarzystwo Opieki nad Kobietami, to nie Towarzystwo Opieki nad Dzieciakami, i to w dodatku cygańskimi, proszę pani...

- To może pani spróbowałaby z kolei podrzucić komuś innemu... - wpadła na

nowy pomysł starsza pani.

- Oooo, bardzo proszę! byle tylko nie mnie! - zastrzegł się od razu ten staruszek z gatunku jadowitych, a reszta towarzystwa, mimo że na ogół spoglądała na niego nieprzychylnie, w tym wypadku solidaryzowała się z nim najzupełniej, wcale nie aprobując pomysłu z powtórным podrzuceniem. Mariannie również ten projekt nie wydawał się dobry. Nie, na pewno nie potrafiłaby podrzucać niemowlęcia.

Niemniej jednak trzeba było coś postanowić. Rozważanie i projektowanie najbliższej przyszłości podrzutka okazało się w rezultacie zajęciem szalenie absorbującym, tak że Marianna nawet nie spostrzegła, kiedy pociąg zbliżył się do małej podkrakowskiej stacyjki, gdzie należało wysiąść, aby przesiąść się do autobusu jadącego do Jagodnego. Co robić? Rozejrzała się po obecnych. Wszyscy mieli miny współczująco uprzejme, ale od razu było widać, że nikt na pewno nie weźmie Cyganiątka.

Ach! prędzej, prędzej, bo pociąg daje już sygnał i zaraz zatrzyma się na chwilę, na jedną małą chwilę, podczas której trzeba będzie wyładować się z wagonu, razem ze wszystkimi bagażami. Prędko! Ktoś pomógł zdjąć z półki większą walizkę, jeszcze trzeba zamknąć walizkę mniejszą i neseserek. I jeszcze pled. W pled można doskonale zawinąć dzieciaka, któremu pewnie jest chłodno. Prędko! prędzej! pociąg już stanął i zaraz ruszy dalej. Numerowy! gdzie jest numerowy?!

Jak się okazało, na tej stacji nie istniała instytucja numerowych, a właściwie był jeden, ale w tym wypadku nie warto o nim mówić, gdyż akurat tego dnia obchodził imieniny i nie urzędował. Ktoś więc podawał walizki z przedziału, ktoś życzliwie i współczująco wołał: - Ach, niech pani zostawi to na stacji - (to - niby Cyganiątko), ktoś powiedział: - Do widzenia!

- I co dalej?

- Bagaże do autobusu pewnie, co? - zapytał ktoś sennie.

Marianna odwróciła się szybko. Młodociany tubylec, przyodziany w obszarpane pumpy, zaproponował jej swoje usługi. Zaniesie tobołki (tak nazwał bez szacunku eleganckie walizy Marianny) do stacji autobusowej, za umówioną z góry, dosyć przystępną cenę. A po drodze, jak zapewnił, można dostać mleka dla dzieciaka, który znów zaczynał płakać.

- Tymczasem cumeleczek mu pani daj! - doradzał doświadczonego tonem przedstawiciel miejscowej ludności.

- Ba - pomyślała biedna, znękana podróżniczka - dałabym mu nawet i tego

cumelecza, gdybym wiedziała przede wszystkim, co to jest. - I chciała zaraz o to zapytać, ale nie było jej dane dowiedzieć się znaczenia dziwacznie brzmiącego słowa, gdyż jak się okazało, autobus odchodzi za dwie minuty i trzeba co prędzej wsiadać. Z tym wsiadaniem też zresztą nie było łatwo. Wewnątrz odrapanego dosyć wozu panował szalony tłok i nie było ani jednego siedzącego miejsca. Dopiero jakaś zażywna paniusia ulitowała się nad Marianną i trąciwszy w bok siedzącego obok młodego chłopaka, powiedziała: - Wstańże, wstańże Kazku! bo tu kobieta z dzieckiem. - I zaraz wszczęła rozmowę: - A pani dokąd, moja pani?

- Do Jagodnego - odpowiedziała Marianna złamanym głosem.

ROZDZIAŁ 3 - Jagodne

Gdybyż jeszcze tak się złożyło, że Marianna zajechałaby przed pusty ganek i zaraz potem mogłaby udać się do dyrektorki szkoły, aby jej wyjaśnić całą historię z Cyganiątkiem i prosić o pomoc w ulokowaniu podrzutka. Ale nie! Perfidny los sprawił inaczej. Zupełnie jakby naumyślnie, Mariannę oczekiwało na ganku całe grono przyszłych koleżanek, roześmianych, rozbawionych i beztrudnych kandydatek na "przyszłe narzeczone", jak się wyraziła autorka owego wspaniałego reportażu, który tak zachwycił Mariannę. Najwyraźniej humor dopisywał im całkowicie, a widok nowej uczennicy, wlokącej się za chłopakiem niosącym walizki i objuczonej wrzeszczącym dzieciakiem, wydał się im co najmniej oryginalny, a w każdym razie nie pozbawiony dużej dozy specyficznego wdzięku. Szczęście, że Marianna nie usłyszała żadnego z rzuconych pod jej adresem dowcipów, bo na pewno znienawidziłaby Jagodne do końca życia. Tę przysługę oddał jej zresztą zagłuszający wszystko swoim rykiem podrzutek.

- Cicho! no bądź już cicho! - zaklinała go ze łzami, ale na próżno! Syn koczowniczego plemienia był w tym wypadku nieugięty i ani myślał przestać.

Wtem, poprzez krzyk dzieciaka, dobiegł do niej miły, wesoły głos: - Pani do nas? do Jagodnego? do szkoły?

Jednocześnie czuć było w tym głosie takie lekkie, leciutkie zdziwienie.

- Tak, właśnie przyjechałam, przyjechałam z Warszawy - usiłowała przekrzyczeć swego pupilka nieszczęśliwa Marianna. I z jeszcze większą wyrazistością wyobraziła sobie w tej chwili, jak wygląda po tej pełnej niespodziewanych przygód podróży, w zestawieniu z tymi wszystkimi czysto ubranymi i porządnie uczesаныmi dziewczętami i wobec tej bardzo przystojnej pani, jeszcze zupełnie młodej, ubranej w skromną, prostą suknię ogrodową. To wszystko zdołała jeszcze Marianna zauważyć, mimo piekielnego zmęczenia i przygnębienia.

- Jestem Szelażkówna - wyjąkała wreszcie, korzystając z chwilowej przerwy w ryku Cyganiaka, zainteresowanego widzieć nowym otoczeniem.

- Pewnie jesteś moje dziecko porządnie zmęczona podróżą - podjęła uprzejmie ładna pani - zwłaszcza z takim krzyczącym bagażem. Czy to...

- To podrzutek!... - spiesznie wyjaśniła Marianna, rozglądając się bezradnie. Zdawała sobie doskonale sprawę, jak dziwacznie i wprost nedorzecznie brzmi to jej tłumaczenie.

- Drogie dziecko! pani jest naprawdę strasznie zmęczona! - przestraszyła się ta czarująca osoba. - Nie chcę już o nic pytać, bo przede wszystkim trzeba odpocząć. - I zaraz krzyknęła w stronę ganku: - No, dziewczynki, która z was chce zdawać praktyczny egzamin z higieny dziecka? Może Zuzia, co? Zabierz zaraz dzieciaka i przede wszystkim wykup go. Doktor Nadolska zaraz do ciebie przyjdzie.

Nie, doprawdy, Marianna nie wierzyła szczęściu, że nareszcie ktoś zabrał od niej ten zabeczany bagaż. Stała ogłupiała i nieszczęsna i uśmiechała się bezradnie i rozbrajająco.

- Zajmijcie się nią, dziewczynki - powiedziała jeszcze ta bardzo miła pani i w tej chwili Marianna poczuła, że jest wokół niej ciasno, że tłoczą się przy niej te wszystkie roześmiane dziewczyny z ganku i że w ogóle naprawdę nie wie, co ma ze sobą zrobić. Podawały jej rękę, wymieniały różne nazwiska i imiona, pytały skąd przyjechała. Wszystkie przy tym mówiły jednocześnie i nie wiadomo, kiedy skończyłyby się ta beładna gadanina, gdyby nie nagła a zupełnie niespodziewana pomoc. Pomoc nadeszła w postaci małej, a za to bardzo okrągłej osóбки, przyodzianej w pstrą i falbaniastą sukienkę. Na głowie piętrzyły się wysoko zakręcone misternie loczki, a usta umalowane były w doskonale piękne serduszko.

- Ach, panienki! - jęknęła z wyrzutem osóбка - dlaczego ją tu trzymacie? Przecież chyba musi trochę odpocząć i przebrać się przed kolacją - mówiła śmiesznym, grubym głosem, wcale nie pasującym do jej drobnej postaci i delikatnej buzi z zadartym noskiem. Dziewczęta nazywały ją panną Mirką, a jedna z nich zdołała objaśnić Mariannie, że jest to nauczycielka prowadząca lekcje prania.

- Prania? - zdziwiła się niepomiernie Marianna, ale nie było już czasu na dalsze rozmowy na ten temat, bo właśnie panna Mirka zaczęła dopytywać się, jak ma na imię nowo przybyła.

- Maria, ale właściwie wołają na mnie Marianna - wyjaśniła z zażenowaniem. Trochę była zła na siebie, że się tak wygadała z tym domowym nazwaniem. Zupełnie nie miała pewności, jak to zostanie przyjęte przez te wszystkie dziewczęta, tak skore do dowcipów, no i przez pannę Mirkę. Ale, o dziwo! imię spotkało się z ogromnym uznaniem, co Mariannę zaraz podniosło w jej własnych oczach. Okazało się bowiem, zdaniem nowych koleżanek, że "Marianna" brzmi bardzo elegancko, bardzo kobieco i nawet, według jednej ze starszych uczennic - bardzo dystyngowanie. Nie było jednak czasu na dalsze i szersze rozważania, gdyż panna Mirka zadysponowała energicznie: - Prędeż panienki, niech Dorotka każe przygotować kąpiel dla naszej podróżniczki.

Chyba będziesz miała ochotę opłukać się po podróży, prawda kochanie? I pomóżcie jej rozpakować walizki.

- A do której sypialni będzie należeć? - dopytywała się chuda blondynka, z włosami zabawnie upiętymi na czubku głowy.

- Zaraz, zaraz - zafrasowała się panna Mirka - muszę pójść do dyrektorki i zapytać.

I zostawiwszy Mariannę na pastwę koleżeńskiej ciekawości potoczyła się w stronę owej pani, która pierwsza przywitała Mariannę przed gankiem.

- Więc to jest dyrektorka? - zdziwiła się Marianna. - Taka ładna i młoda?

- A coś ty myślała? - zapytały z dumą dziewczęta. - To jest właśnie pani Hurłowa.

Panna Mirka przyturlała się tymczasem z powrotem, pokrzykując po drodze: - Do szóstej, do szóstej sypialni!

- O, biedactwo! - jęknęła współczująco któraś z dziewcząt, co Mariannę mocno zaniepokoiło. Ale właśnie, kiedy miała się z zamiar dowiedzieć czegoś bliższego o sypialni szóstej, panna Mirka, wespół z jedną z uczennic, długonogą i chłopakowatą, porwały ją i zaprowadziły do łazienki.

- Ach! cóż to za rozkosz, taka ciepła woda. Cóż za bajeczny wypoczynek. Ma się wrażenie, że wszystkie kłopoty i razem z nimi całe znużenie, roztapia się w wodzie i spłukuje razem z pianą z różowego mydła, pachnącego naprawdę różami. Czyż jest coś przyjemniejszego nad suche, wygrzane prześcieradło kąpielowe? Wtem ktoś zapukał do łazienki. - Czy można? - Aha, Marianna poznała po głosie tę chłopakowatą, nową koleżankę, na którą inne dziewczęta wołały: Małgosiu! Zapytywała teraz z przejęciem, czy nie trzeba czasem wyjąć czegoś z walizy i dostarczyć do łazienki. - Naturalnie, że trzeba, koniecznie! Więc Marianna okropnie potrzebuje w tej chwili grzebienia (jest w neseserku) oraz pary czystych pończoch, bo te, które porzuciła właśnie na posadzce łazienki miały w trzech miejscach spuszczone oczka. No i poza tym Marianna prosi o niebieską sukienkę! Postanowiła bowiem bezwarunkowo naprawić wrażenie, jakie mogła wyrzeć jej powierzchowność w momencie przybycia do Jagodnego.

- Już! Piorunem! - odpowiedziała na te wyliczenia nowa koleżanka i po chwili słyhać było tylko dudnienie jej długich nóg po schodach.

Kiedy w dwadzieścia minut później Marianna już przebrana i wypiękniona spotkała Małgosię, ta nie omieszkała wyrazić jej swojego uznania. - Bój się Boga!

strasznie jesteś elegancka! W naszej, to jest w szóstej sypialni, jest taka...

Ale akurat stanęły na progu jadalni i Marianna znów nie dowiedziała się niczego o tej sypialni, która, jak to zdawały się wskazywać znaki na niebie i ziemi, musiała zalecać się jakimiś szczególnymi właściwościami.

Zachwyt Marianny na widok sali jadalnej był prawie nie do wysłowienia. Jedyne, co zdołała w pierwszej chwili powiedzieć, to pełne głębszej treści: Ooooo!

- Podoba ci się to nakrycie stołów? - zapytała nonszalancko i z odcieniem lekkiego lekceważenia Małgosia, wskazując na ładne, bardzo efektowne wnętrze. Stoły, ubrane astrami w dwóch odcieniach, były prawdziwym arcydziełem sztuki dekoracyjnej.

- Nie, dziś nie jest nadzwyczajnie nakryte - krytykowała dalej Małgosia - bo to jest arcydzieło nudnej Luli Piskorskiej. I chociaż ona już niby jest tą siostrą gospodarczą, to właściwie niewiele jeszcze umie. Według mnie nie ma za grosz gustu. Przypuszczam, że kiedy na ciebie, Marianno, przyjdzie z czasem kolej, potrafisz to zrobić tysiąc razy ładniej.

- Ach! co też ty mówisz? - przeraziła się zupełnie szczerze Marianna. - A właściwie co to jest "siostra gospodarcza"? Co prawda czytałam w tym artykule coś niecoś, ale...

- Nie wiesz? - przerwała Małgosia. - To tytuł, który przysługuje słuchaczce po ukończeniu pierwszego roku nauki.

- Aha, to i ja też mogę dostać taki tytuł, o ile oczywiście potrafię dać sobie radę z tymi wszystkimi mądrościami.

- Boję się, że jesteś strasznie skromna. Coś w rodzaju sasanki, czy innej niezabudki - zmartwiła się Małgosia. - I jeśli będziesz opowiadała takie rzeczy o sobie, to będę musiała zająć się zorganizowaniem odpowiedniej reklamy dla ciebie, aby doceniono twoje ukryte talenty, a po drugie...

- Ojej! lepiej nie!...

- Ach! bo już widzę, że jesteś gotowa zachwycać się wszystkimi wyczynami tutejszych słuchaczek. Tak, jak z tą dekoracją. To jest po prostu...

Byłaby zdaje się chętnie wygłosiła bardziej obszerny wykład na temat sztuki dekorowania stołów, ale jakaś pani, prawdopodobnie nauczycielka, wysoka i tęga, krzyknęła na nią gromko, aby siadała do stołu i nie nudziła nowicjuszeki, której pewnie po długiej podróży głód dopisuje nie najgorzej.

Prawda, ta podróż. Marianna w tej chwili przypomniała sobie o swoim

pupilku i z niepokojem spojrzała w stronę dyrektorki, która akurat siedziała do stołu. Dyrektorka była widać osobą domyślną, bo uśmiechnęła się mile do Marianny poprzez stół i uspokajająco skinęła głową. - Najpierw trzeba się posilić - powiedziała - a potem będziemy radzić. O nic się teraz nie martw, moje dziecko.

- Dyrektorka jest cudowna - westchnęła Marianna, zabierając się z czystym sumieniem do apetycznie wyglądającej sałatki jarzynowej, a Małgosia mruknęła tajemniczo: - Uhm, jeszcze zobaczysz niejedno.

- A kto to jest ta pani, taka strasznie wysoka i tęga? - zapytała Marianna nieoględnie głośno.

- Ciiiit, cicho - zaniepokoiła się Małgosia, oglądając się za siebie z wyraźnym przerażeniem. Ale na szczęście, owa ogromna osoba zajęta była chwilowo gnębieniem jakiejś adeptki szkoły narzeczonych, przyodzianej w biały fartuch i twarzowy czepeczek.

- Przetopowane jarzyny, wyraźnie przetopowane! od razu czuje się, że są zbyt miękkie. Obrzydlistwo! - mówiła do nieszczęsnej delikwentki zjadliwym szeptem owa gruba pani. - Co za przedziwna mania, żeby tak wszystko rozgotowywać. Nie mówiąc już o smaku potrawy, trzeba przecież pamiętać o witaminach, które się w ten karygodny sposób niszczy. Niszczy! powtarzam.

- Ona jest w ogóle straszna - szeptała tymczasem demonicznie Małgosia - jest zupełnie bezlitosna, jeśli chodzi o witaminy. To jej ulubiony konik. Ty myślisz, że się na tym skończy? Będzie biednej Pełczance wymawiać to przynajmniej przez sześć tygodni!

- Pełczance? Pełczance? - zastanawiała się Marianna. Nazwisko wydało się jej znajome. Gdzieś już je kiedyś słyszała. Prawda! - przypomniał się jej wreszcie obiad w wagonie restauracyjnym i uprzejmy starszy pan, ojciec Pełczanki. Trzeba będzie koniecznie zagadać do niej po kolacji i pozdrowić ją od papcia. Może ją to trochę pocieszy po tej niezbyt miłej pogawędce z witaminową olbrzymką. Swoją drogą, to straszna rzecz taka nagana publiczna! I Marianna ścierpła nieco na myśl o czymś podobnym.

- Musisz od samego początku okropnie się pilnować, żeby nie miała powodu do przyczepiania się do ciebie - pouczała poufnym szeptem Małgosia: - Ona prowadzi tak zwane "potrawy z jarzyn i leguminy". Teoria i zajęcia praktyczne. W ogóle krzyż i męczeństwo z tą Witaminą.

- Z którą witaminą? - zaniepokoiła się Marianna.

- No, z tą właśnie. Przecież ci mówiłam, że tak ją nazywamy.

Knedle, które podano następnie, były za to istnym arcydziełem i nie budziły żadnych zastrzeżeń. Dyrektorka, chwając apetyczne, ładnie podane kulki, dopytywała się, kto je przygotował. Okazało się, że było pięć utalentowanych autorek tego majstersztyku sztuki kulinarnej. Między nimi była też Terka Pełczanka, zrehabilitowana w ten sposób i już nieco pocieszona. Za to Marianna znów doznała niemiłego uczucia cierpienia skóry, kiedy uprzytomniła sobie, że i ją czeka szereg popisów tego rodzaju, pod okiem czujnej Witaminy. W tym żalonym nastroju, cokolwiek już zniechęcona do pobytu w Jagodnem, popijała jakiś wspaniały sok owocowy, kiedy usłyszała, że ktoś wymawia jej nazwisko.

- Dyrektorka do ciebie mówi - szepnęła któraś z dziewcząt.

W istocie, pani Hurlowa, najmiłsza z dyrektorek, kiwała głową w stronę Marianny i mówiła wesoło: - No, cóż? podróżniczko z przygodami, jak się czujesz? Moje dziecko, po kolacji pokaż się w moim gabinecie. Ale jeszcze przedtem idź do panny Mirki.

Malutka, wesoła panna Mirka zaciągnęła Mariannę poprzez kręte schody i skomplikowane korytarze do małego pokoiku, bajecznie czystego i białego, gdzie niczym plamka atramentowa, czerniał w łóżeczku podrzutek. Spał słodko i niewinnie, w świerzej pościeli, śliczny i miły, a długie, dziecinne rzęsy nadawały jego twarzyczce jakiś anielski wyraz. Wierzyć się nie chciało, że to ten sam brudny, nieznośny i rozwrzeszczany diabelec.

- Kapałam go w dwóch wodach i szorowałam marsylskim mydłem - zdawała relację owa Zuzia, której pani Hurlowa powierzyła Cyganiątko, jako zadanie praktyczne. - Waży sześć kilo i pięćdziesiąt pięć dekagramów. Doktor Nadolska zbadała go i orzekła, że jest zdrowy, tylko niedożywiony. I ospy jeszcze nie ma zaszczepionej. Małe biedactwo! - dodała cichym głosem i pogładziła czarny, trochę kołtuniasty łeppek. Była w tej chwili bardzo ładna, w białym fartuchu pielęgniarki, a jej okrągła buzia, miała wyraz małej Madonny.

Nie, nie ma co ukrywać. Marianna w tej chwili uczuła coś w rodzaju zazdrości i zbliżyła się do łóżeczka. Bądź co bądź, to ona, Marianna, przytaszczyła czarnego podrzutka i miała chyba do niego niejaki prawa. Bardzo by chciała również przyodziać fartuch i krzątać się przy dziecku. Zapracowała sobie chyba na to, nie?

Panna Mirka, nieświadoma gorzkich od zazdrości myśli Marianny, w najniewinniejszej intencji dolewała oliwy do ognia, nie żałując słów zachwyty dla

czarnego podrzutka - że jest śliczny, że ma cudowne oczy (bo akurat mały obudził się), że na pewno, ale to na pewno będzie z niego genialny skrzypek. Bo jej jedna ciotka, ta, która mieszka w Starym Sączu, opowiadała kiedyś o takim Cyganie, który był sławny na cały świat. Zresztą ona sama, panna Mirka, była nawet na takim okropnie wzruszającym filmie...

Nie to jednak było ważne w tej chwili, co mówiła panna Mirka, tylko to, że dziecko uśmiechnęło się. Uśmiechnęło się do Marianny. To nie ulegało wątpliwości. Wyciągnęła ręce, aby wyjąć małego z łóżeczka, kiedy panna Mirka przypomniała sobie: - Prawda, przecież zaraz musisz pójść do pani dyrektorki!

- Nie, nie trzeba go ruszać - wzbraniała jednocześnie Zuzia, co w zestawieniu z jej strojem i nieco kliniczną atmosferą pokoju brzmiało poważnie i nawet srogo.

Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko powędrować pod przewodnictwem małej, zabawnie kolebiącej się panny Mirki do gabinetu dyrektorki, aż hen! na drugi koniec rozległego domu.

- Ogromny dwór - dziwiła się uprzejmie Marianna, ale serce miała przepełnione rozterką, zalem i smutkiem. Myślała, co powie dyrektorce i jak wpłynąć na pozostawienie dziecka w Jagodnem. Czowała teraz, że będzie jej bardzo trudno rozstać się z małym. I chyba najlepiej będzie, jeśli po prostu opowie, w jaki sposób obdarowano ją, wbrew woli tym biednym dzieckiem.

Pani Hurłowa wysłuchiwała wszystkiego z należytych przejęciem. A potem zaczęła mówić mniej więcej to samo, co mówiono w wagonie. Że trzeba będzie zgłosić małego do policji, że spiszą protokół i że pewnie zabiorą dzieciaka do jakiegoś przytułku.

- Czy to konieczne? - zapytała wtedy Marianna drżącym głosem. I dodała nie bardzo pewnie: - bo może ja bym sama to dziecko wychowała, albo co?

Pani Hurłowa spojrzała na nią uważnie, trochę przy tym zdumiona.

- Nie - potrząsnęła głową - nie, kochanie. Rozumiem doskonale, że żal ci dziecka i że czujesz się niejako odpowiedzialna za jego dalsze losy. Ale to niemożliwe. Jakżeż mogłabyś wziąć go na wychowanie, kiedy jesteś niepełnoletnia. Postaramy się ulokować go w pobliżu, może w domu sierot w Krakowie.

To wszystko jednak nie wydawało się Mariannie dość przekonujące. Stała pełna rozpaczy.

- A czy szkoła, to znaczy ta szkoła, w Jagodnem, nie mogłaby go wychowywać? - zapytała wreszcie głosem zachrypniętym ze wzruszenia, sama zdając

sobie jednocześnie sprawę z bezcelowości pytania.

I wtedy dyrektorka powiedziała po krótkiej chwili zastanowienia: - Pomyślę jeszcze nad tym. - A Mariannie kamień spadł z serca i życie na nowo stało się jako tako znośne, zaś pobyt w Jagodnem najzupełniej miły.

Kiedy tak stała w korytarzu po wyjściu z gabinetu, zakłopotana, w którą stronę ma powędrować, aby trafić do swojej sypialni, o której tak tu wszyscy dziwnie mówili, zobaczyła nadbiegającą Terkę Pełczanę. Była to dobra okazja do oddania pozdrowień i ewentualnie wybadania Terki na tenże tajemniczy, sypialniany temat.

- Koleżanko! - zawołała. Niezupełnie była pewna, jak należy zwracać się do tej właściwie nie znanej, a starszej od niej dziewczyny.

Ale Terka okazała się bardzo miła i bezpośrednia. Ucieszyła się i rozczuliła na wzmiankę o swoim poczciwym papciu i zaraz objęła Mariannę wpół, jak starą przyjaciółkę. - Bardzo się cieszę, że cię poznałam - powiedziała po prostu. - Od razu spodobałaś mi się, kiedy przyjechałaś z tym dzieciakiem. Miałaś zrozpaczoną, ale nieugiętą minę i to nam naprawdę zaimponowało. Mam wrażenie, że i dyrektorce się spodobałaś i że cię polubiła. Nie dla wszystkich jest taka łaskawa, żeby zaraz wzywać na rozmówki do swego gabinetu.

- Ach! to właśnie w sprawie tego małego! - szepnęła tragicznie Marianna. I odwróciła trochę głowę, aby Terka nie zauważyła, że zaczerwieniły się jej lekko powieki, co było zwiastunem łez. Bała się rozmawiać dalej na ten temat, bo nie była pewna swego głosu, który stawał się łamiący i chrypliwy od tamowanego płaczu, kiedy przypomniawszy sobie, że ten śmieszny, czarny, żywy kleksik z białego pokoiku dziecięcego, powędruje jutro w świat, skazany na smutny los przybłądy i podrzutka. Jednocześnie prawie przypomniawszy sobie, że dotychczas nie dotrzymała obietnicy danej mamie o wysłaniu depeszy do domu, więc zapytała Terkę, jak to zrobić.

- Jadę jutro z samego rana do miasteczka, to nadam tę depeszę - ofiarowała się mile Terka. - A teraz wędruj już do łóżka, bo późno.

- A gdzie jest szósta sypialnia? - zapytała skwapliwie Marianna, licząc, że teraz właśnie dowie się wreszcie czegoś naprawdę o swoich współlokatorkach, ale Terka wskazała jej uprzejmie schody wiodące na pierwsze piętro i objaśniła: - Trafisz tam od razu! Na pewno sama się zorientujesz, które to drzwi... Strasznie przepraszam, że nie odprowadzam cię na górę, ale muszę już lecieć do siebie. U nas opiekunką sypialni jest Witamina, rozumiesz więc chyba sama...

Tak, można było zrozumieć, że Terka się spieszy. Witamina wyglądała

naprawdę groźnie.

- Jutro jeszcze pogadamy - obiecały sobie na pożegnanie i Pelczanka zapisała treść depeszy do państwa Szelażków. Potem zaś Marianna powędrowała na pierwsze piętro. Ciekawa była, kto jest opiekunką jej sypialni. Może ta miła panna Mirka? Chyba nie, życie byłoby zbyt piękne. A może jakiś sobowtór Witaminy? Marianną wstrząsnął dreszcz przerażenia i szybko pobiegła we wskazanym przez Terkę kierunku.

ROZDZIAŁ 4 - SYPIALNIA NR 6

Przystanąła zadyszana i zdezorientowana. Na korytarzu było troje drzwi. Które prowadziły do sypialni szóstej? Wprowadzie Terka powiedziała, że na pewno od razu trafi, ale doprawdy, w jaki sposób?... Na drzwiach powinny być cyfry, ale tu, w końcu korytarza było ciemnawo.

Biedna Marianna! Niesamowity pisk i śmiechy, jakie rozległy się za drzwiami, tymi na lewo, stanowczo nie podziały kojąco na jej stargane nerwy. Dosłownie podskoczyła ze strachu do góry, a kiedy mimo woli spojrzała w kierunku wzmagającego się pisku, dojrzała w półmroku na drzwiach tabliczkę z cyfrą 6. I od razu zrozumiała, że popularność sypialni szóstej jest najzupełniej uzasadniona. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pupilki, które w tej chwili powinny właśnie układać się do snu z wdziękiem i słodyczą właściwą tak subtelnym i wiośniwym istotom, zajmują się co najmniej skalpowaniem jakiejś ofiary.

- No, trudno, przecież muszę też gdzieś spać - pomyślała z rezygnacją Marianna i pełna jak najczarniejszych przeczuć, z głupim uczuciem onieśmienia pchnęła drzwi.

Widok był raczej dziwny niż wstrząsający. Wysoka, szczupła postać, przyodziana w jakieś filmowe negligé i uczesana w gwiazda wytwórni hollywoodzkiej, stała na łóżku z zamkniętymi oczami i piszcziała. Właściwie nie piszcziała, stosowniejsze raczej byłoby określenie: wyła. Wyła cienkim, przeraźliwym głosem, podczas gdy pozostałe dziewczęta śmiały się tym nieukojonym zaraźliwym śmiechem, od którego bolały zębra i mięśnie twarzy. Wpatrywały się przy tym w jakiś punkt na podłodze i nie wiadomo dlaczego, w pewnych momentach, jakby w zależności od tego czegoś, co znajdowało się na dywaniku przy łóżku, wznosiło się lub zcichowało wycie eleganckiej ofiary oraz radosne turlanie się innych dziewcząt. Wejście Marianny nie zakłóciło bynajmniej osobliwego a tajemniczego obrządku. Wobec tego przystanąła z boku, przypatrując się ze zdumieniem podrygującej i piszczącej postaci ofiary, która od czasu do czasu zasłaniała twarz i odwracała ze wstrętem głowę od widoku tego tajemniczego "czegoś". Wreszcie Marianna poczuła czyjeś dotknięcie. Obejrzała się - była to Małgosia, z twarzą zalaną łzami, jęcząca coś poprzez dławiący ją atak śmiechu. Jąkała jakieś słowa, wskazując w kierunku łóżka, ale zupełnie nie można było zrozumieć, o co jej chodzi. Wreszcie po długiej chwili, wśród dalszych ataków konwulsyjnego śmiechu, zdołała wyjąkać: - Myyyyszy!

- Mysz? - zdumiała się nowa lokatorka sławnej sypialni nr 6.

Małgosia zdołała znów tylko skinać głowę, pochwycona przez nowy atak śmiechu i wskazała w kierunku dywanika.

Rzeczywiście! Pośrodku pluszowych kwiatków, na purpurowej róży dywanika, siedziała biedna, malusieńka, szara myszka, ledwie się poruszając. Kiedy Marianna zbliżyła się do niej nieszczęsna przedstawicielka mysiego rodu usiłowała poruszyć nieco energiczniej łapkami i uciec, ale zupełnie jej się to nie udawało. Była tak maleńka, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest to mysie dziecko, małoletnie i nieruchawe.

- Biedactwo - westchnęła Marianna i przyklękła, biorąc myszkę do ręki. Ale temu opiekuńczemu gestowi zawtórowało momentalnie tak niesamowite i wzmożone wycie osoby w negliżu, że co prędzej puściła biednego zwierzaka z powrotem na miękki plusz, między róże i niezapominajki.

- Aaaach! Aaaaach! - piszczła wytworna istota, miotając się na łóżku - boję się, boję się, zabijcie ją!

- Kogo mają znów zabić? - złękła się nie na żarty Marianna. Przez moment doznała niezupełnie przyjemnego uczucia, że może ona ma paść ofiarą krwiożerczych wymagań, ale już w następnej sekundzie pojęła, że to chodzi o biedną mysz. Roześmiała się serdecznie i na nowo ujęła biedne, wystraszone stworzonko. Nie zważając już na dalsze produkcje wokalne wytwornisi podniosła się z klęczek i rozejrzała wokoło. Na stoliku przy łóżku stała mała bombonierka, widać po niedawno zjedzonych cukierkach. Tak, to było zupełnie odpowiednie. Marianna wpuściła do wnętrza pudełka myszkę i podsunęła jej okruszek czekoladki leżący na dnie. Mysz jednak była strasznie zdenerwowana i na razie nie chciała słyszeć o jedzeniu, mimo uprzejmych zaproszeń ze strony Marianny. Dopiero kropelka wody kapnięta na dno bombonierki spotkała się z przychylnym przyjęciem. Woda ochłodziła stargane nerwy myszy, która już teraz uspokojona, przysiadła ufnie na tylnych łapkach, a w przednie ujęła czekoladkę. Nadgryzła ją i z wyraźnie zadowoloną miną spojrzała na otoczenie.

- No wiesz? jesteś nadzwyczajna - zachwyciła się Małgosia pomysłem Marianny w zakresie dożywiania mysząt. - Może ty jesteś taka zaklinaczka, jak ten szczurołap, co to wyprowadził dzieci z miasta. Przyznaj się od razu, że masz zamiar w ten sposób wyprowadzić nas z Jagodnego.

- Tak, to genialna tresura! - mieszkanki sypialni nr 6 były oczarowane.

Wszystkie stały teraz naokoło Marianny, dopytując ze zdumieniem, co zamierza dalej robić ze swoją mysią pupilką, ogryzającą właśnie z apetytem następny okruch, tym razem marcepanowy.

- Och! myślę, że będę ją hodowała - oświadczyła lekkomyślnie i nonszalancko. A Małgosia natychmiast podchwyciła. - Naturalnie, że będzie się mysz hodowało. My ci pomożemy, Marianno, licz na nas. Zatrzymamy ją tu, w sypialni i wychowamy wspólnymi siłami na piękną, dorosłą mysz. Chyba damy sobie radę. Takie śliczne mysie dziecko! Takie cudne, słodkie, najmiłsze myszątko - pisnęła na koniec, spoglądając bacznie w stronę łóżka, gdzie siedziała na razie uciszona owa strasznie elegancka osoba, chwilowo zajęta przeglądaniem się w lusterku. Osoba z godnością odłożyła je i powiedziała tonem niepomiarne wytwornym: - Ach! cóż za gminne zachowanie. Proszę natychmiast zabrać to obrzydlistwo i wyrzucić - przy czym wskazała wyraźnie na bombonierkę z jej żywą zawartością.

- Gdzie, kochanie, wyrzucić? - zapytała tkliwie jedna z dziewcząt. - Może do twojego łóżeczka, o szlachetnie urodzona Jolanto?

I już pochwyciła bombonierkę. Wobec tego elegancki negliz wraz ze swoją wrażliwą zawartością podskoczył na łóżku, czemu towarzyszyła nowa seria pisków, tak donośnych, że nikt nie zauważył otwierających się drzwi i wejścia nowej osoby dosyć wysokiej i szczupłej, ubranej z tak zwaną szlachetną prostotą. Mariannę od razu tknęło przecucie, że jest to postać złowieszcza i że zjawienie się jej nie wróży nic dobrego. Jakoż i naprawdę tak było. Hieratyczna istota zapytała nagle głosem głębokim i dramatycznym: - Czy wolno wiedzieć, co stoi na przeszkodzie temu, aby panie spoczywały już w łóżkach? Bo pora jest co najmniej odpowiednia.

Dziewczęta skamieniały.

Ale mała, drobna dziewczynka, wyglądająca na niecałe czternaście lat, ta sama, która wymachiwała bombonierką przed nosem eleganckiej Jolanty, natychmiast odzyskała humor i szepnęła niewinnie: - Ach! proszę pani! Jolanta zachorowała!

- Zachorowała? - zainteresowała się troskliwie nowo przybyła. - Cóż jej jest? Czy ma bóleści?

- Oczywiście, że ma - wtrąciła się teraz do rozmowy Małgosia, ale dziecinnie wyglądająca dziewczynka mruknęła tajemniczo: - To będzie chyba coś poważnego, bo zdaje mi się, że ona ma halucynacje.

- Halucynacje? Co ty pleciesz, Nelu? - nowo przybyła była jednak zaniepokojona.

Jolanta miała najwidoczniej zamiar wyjaśnić w tej chwili, że jej stan zdrowotny nie pozostawia nic do życzenia, kiedy Nela, patrząc w jej stronę, odciągnęła konspiracyjnie nowo przybyłą panią na bok i wyjaśniła uprzejmie: - Nie jestem pewna, proszę pani, czy to na pewno tak się nazywa, ale wszystkie objawy wskazują na to, bo ona jest taka jakaś dziwna. - I powtórnie zbliżyła się do łóżka, wymachując bombonierką z udanym roztargnieniem.

- Ostrożnie, uważaj na zawartość - syknęła na nią Małgosia, ale uwaga została zagłuszona ponownym piskiem Jolanty.

- Uspokój się, moje dziecko - zgromiła ją z godnością wysoka pani. - Jeśli nawet cierpisz, powinnaś się opanować. Pamiętaj, że cierpienie...

- Oooch! Ooooch! Ooooch! - piszczała dalej, coraz głośniej Jolanta, śledząc zbliżającą się z niewinną minką Nelę.

- Co ci dolega, dziecko? Może zjadłaś zbyt wiele słodczy? - wysoka pani przemawiała teraz łagodnie, z macierzyńską tkliwością.

- Oooo! mysz! mysz!

Pisk wykwintnisi przeszedł teraz w coś w rodzaju kwiku nieletniego i skrzywdzonego prosiątka.

- Niech się pani nie obawia - szepnęła z godnością i uspokajająco Nela. - To nic groźnego. Zdaje mi się, że ona ma delirium tremens. Podobno właśnie wtedy ludzie mają halucynacje i najczęściej widzą myszki.

- A kto to jest? - szepnęła w międzyczasie Marianna Małgosi, wskazując nieznacznie na wysoką panią.

- To jest opiekunka naszej sypialni i naszego kursu, panna Janina, dietetyczka - objaśniła spieszenie i szeptem Małgosia, trochę zniecierpliwiona dopytywaniem się Marianny, które przeszkodziło jej w śledzeniu dalszego rozwoju afery z myszką.

Tymczasem Nela nie przestawała szaleć z bombonierką, wymachując nią coraz bliżej swej ofiary. Panna Janina również przysunęła się do łóżka, nieco przestraszona i niedowierzająca.

- Jolanto, moje dziecko, proszę wreszcie położyć się spokojnie. Ach Boże! Trzeba będzie wezwać lekarkę, tylko całe nieszczęście, że doktor Nadolska już pojechała do domu...

Ale Jolanta, wpatrzona w Nelę, uparcie powtarzała swoje: - Oj! mysz! mysz! - wobec czego Nela porozumiewawczo skinęła w stronę panny Janiny. - Lepiej ją zostawmy, proszę pani. To przejdzie. Mam wrażenie, że to skutek przepalenia

głowy.

- Wyrzućcie tę mysz! - wyłkała Jolanta.

- Jaką mysz? Dziecinko! - przemówiła łagodnie dietetyczka. - Pewnie ci się zdaje. Połóż się spokojnie, nie ma żadnej myszy.

- Jest! - wrzasnęła rozgoryczona. - Jest! wstrętna szara mysz!

- Szara? - zastanowiła się panna Janina. I nagle przypomniała sobie: - Przecież przy delirium widzi się białe?

- Tak - pospieszyła z wyjaśnieniem Nela - ale to przy delirium wywołanym przez alkohol. A Jolanta po prostu albo przepaliła głowę, albo też może nie znosi konfitur z róż, których dziś próbowała dosyć sporo w magazynie. I to jej zaszkodziło!

- Skarżypyta! - jęknęła na to cierpiąca Jolanta.

- O, widzi pani? Zdaje mi się, że ona już odzyskuje przytomność - ucieszyła się Nela, wręczając ukradkiem Małgosi pudełeczko z myszą. Małgosia zakręciła się z zafrasowaną miną po sypialni i ulotniła na chwilę. Wróciła dosyć szybko i zaraz uspokoiła Mariannę. - Jest jej bardzo dobrze, umieściłam ją w doskonałych warunkach zdrowotnych!

- Kogo? - zapytała zdumionym szeptem Marianna.

- No, mysz! - odpowiedziała nieco urażona i zgorszona jej brakiem domyślności.

Tymczasem panna Janina zaaplikowała Jolancie krople walerianowe i zimny kompres na głowę, po czym zaczęła zaklinać dziewczęta, aby prędzej kładły się spać. Wtem spostrzegła Mariannę.

- Prawda, to ty, moje dziecko, również należysz do szóstej sypialni.

Przyjechałaś ostatnia. Mam nadzieję, że będziesz czuła się tu dobrze. Panienki, czy wskazałyście koleżance jej łóżko i szafę?

- Zaraz wskażemy - obiecała grzecznie Nela, a panna Janina dodała: - Zapoznajcie ją z regulaminem sypialni. Dobranoc!

- Do-bra-noc pa-ni! - wyrecytowały chórem dziewczęta, tonem używanym w przedszkolach, co jednak nie wytrąciło dietetyczki z równowagi. Wyszła dostojna i zadowolona.

Marianna rozejrzała się bezradnie. Na nowo ogarnęło ją zmęczenie i szczyt jej marzeń reprezentowany był w tej chwili przez łóżko i możliwość zaśnięcia. Małgosia rzuciła na nią okiem i jęknęła: - Boże! tu się wyprawiają takie wariactwa, a ty ledwie żyjesz. Oto jest twoje dziewicze łóżko. Różami zasypię je kiedy indziej.

- Oj, przy Jolancie? - szepnęła nieco speszona Marianna.

- To nic, ona jest przeważnie nieszkodliwa - uspokoiła ją Nela. - Właściwie tylko widok myszy może ją wytrącić z równowagi i oderwać od podziwiania własnej elegancji. Za to z drugiej strony śpi Małgosia.

Tak, to było pocieszające. I Marianna z zadowoleniem wyciągnęła z walizy mocno pogniecioną koszulę nocną, niebieską w różowe kwiatki, po czym przebrała się szybko i nie troszcząc się już o nic więcej, dała nurka w rozkoszną i chłodną biel pościeli.

ROZDZIAŁ 5 - O KLEKSIE I INNYCH SPRAWACH

Marianna przeciągnęła się z przyjemnością i otworzyła raptownie oczy. Uderzyło ją silne światło dzienne. Czyżby mama już odsunęła firankę w oknie? Ach nie! Prawda, przecież to Jagodne! Szósta sypialnia! Spojrzała na Małgosię, która spała z nosem utkwionym w poduszce. Jej druga sąsiadka - Jolanta, również jeszcze spała. Wygląda zupełnie jak lalka - pomyślała Marianna, rozśmieszona widokiem nieskazitelnej fryzury przewiązanej różową kokardą. Aż uniosła się na łokciu, aby jej się lepiej przyjrzeć, kiedy spostrzegła, że Nela już również nie śpi i powiewa do niej na powitanie jakąś częścią garderoby. Już miała ochotę odpowiedzieć podobnym sygnałem, kiedy zabrzączał dzwonek. Pozostałe współlokatorki (Marianna policzyła je - było ich siedem) spały nadal mocno i niewinnie, a hałas wywołany przez dzwonek, zdawał się jeszcze potęgować moc snu. Wreszcie Nela zdecydowała się wyskoczyć z pościeli. W zabawnym czerwonym szlafrocuku, w którym wyglądała jak krasnoludek, przydreptała do Marianny. - Wiesz? trzeba zaraz wstawać i pędzić do łazienki. Tylko jeszcze przedtem obudzę Małgosię. Nie masz pojęcia, jak potem wszystkie pchają się do umywalni.

Budzenie Małgosi nie było jednak łatwe. Nela musiała zastosować szereg argumentów, z których najskuteczniejszym okazało się łachotanie w pięty.

- Wstawaj, najdroższa Małgorzato! bo potem będziesz musiała czekać godzinami, dopóki boska Jolanta nie domyje szyi.

- Jeśli już tak mnie zaklinasz, to chyba wstanę - mruknęła w końcu jeszcze porządnie zaspana Małgosia i z zamkniętymi oczami usiadła na łóżku, po czym wysunęła swoje długie nogi spod kołdry.

- Widzę, że zapomniałaś już, że skrzętna, wzorowa gospodyni powinna wstawać w charakterze zorzy porannej, o świtanie - pouczała Nela. - Ty się też pospiesz - poganiała Mariannę - pewnie trzeba ci będzie podać szlafrok, bo oczywiście nie wyjęłaś go jeszcze z walizki. Czuję, że moim zadaniem będzie wydobyć go z czeluści twoich wytwornych kufrów podróżnych.

Tak, Nela miała rację. Szlafrok spoczywał w walizce i to na samym dnie. Nela, dumna niczym Amundsen po odkryciu bieguna, wyciągnęła go z trudem i czując swoją przewagę, poganiała teraz Mariannę i Małgosię. - Prędejj, prędejj. I zajmujcie w umywalni te lepsze krany, skąd lepiej kapie!

Podczas, kiedy we trójkę szorowały się w łazience, Małgosia pouczała

Marianę:

- Wiesz? Ta nasza sypialnia ma okropną opinię. Że niby tu się wyprawia największe głupstwa. I to już jest, wyobraź sobie, taka tradycja z roku na rok. Podobno dyrektorka próbowała tu umieszczać same ideały, takie chodzące wzory i też nic nie pomogło. Zaraz wstępował w nie jakiś szatan i zaczynały się różne wariactwa. Ty zobaczysz, że taka Jolanta też w końcu zdobędzie się na trochę dowcipu. W ogóle mamy tu miłe i inteligentne dziewczęta. Jedna Jolanta jest taka trochę inna, ale to nie jej wina, bieduli, że jej tata zrobił na czymś pieniądze, a ona koniecznie chce być wytworna i bezwarunkowo nieskazitelnie elegancka. Poza tym sama zobaczysz. Tu jest bardzo miło. Dziś to jest właściwie takie jeszcze leniuchowanie, bo prawdziwa robota zacznie się od jutra.

I znów dzwonek! Marianna poczuła młody, zdrowy głód. Na szczęście była już ubrana. Nela także, tylko Małgosia kończyła swoje oryginalne upięcie włosów. - Prędej Małgorzato, śniadanie!

Pobiegły co prędzej na dół, za nimi zjawiły się w jadalni jeszcze cztery dziewczynki z ich sypialni. Uśmiechnęły się przyjaźnie i dokonały uroczystej prezentacji, uzupełnionej przez Nelę komentarzami. Śniada brunetka, z gładkimi lśniącymi włosami - to Bietka Sulacińska (uważasz, dziewczyna z zachodu). Trochę nijaka szatynka - to Hanka Żmurkówna (prawie narzeczona - jak zaznaczyła uroczyście Nela, co wywołało rumieniec na twarzy Hanki), trzecia: Lucynka Sempolińska (Żaba - brzmiał w tym wypadku zwięzły komentarz) i wreszcie: Aldona Brysiówna - bez komentarza, gdyż właśnie do jadalni weszła dyrektorka.

- Dzień dobry, dzień dobry, dziewczynki - uśmiechnęła się, a do Marianny powiedziała poważnie - chciałabym z tobą jeszcze pomówić, moje dziecko.

Marianna zbladła i poczuła, że serce powędrowało jej aż pod gardło. To ona tak się świetnie tu czuje i ma doskonały humor, podczas gdy tę małą biedotę nie wiadomo co czeka. Przypomniała się jej bezbronność czarnego maleństwa i była bardzo z siebie niezadowolona, że mogła o nim zapomnieć. Wyrzucała sobie egoizm i lekkomyślność. Nie smakowała jej nawet cudownie aromatyczna kawa i wspaniałe, chrupiące pieczywo domowe. Nie cieszył jej pachnący złoty miód ani ukochany dżem porzeczkowy. Mały, czarny, rozczochrany łepok i rozbrajający uśmiech dziecka - wszystko to rozlewało się i wsiąkało w jej życie, jak atramentowy kleks na białym obrusie. I plama ta była nie do wywabienia.

Nie mogła już doczekać się końca śniadania, a tymczasem ciągle ktoś

przychodził z jakimś interesem i zdawało się, że dyrektorka nigdy już nie znajdzie chwili czasu na tę tak ważną rozmowę. Wreszcie podniosła się i skinęła na Mariannę.

- I cóż, bardzo ci żal tego małego? - zapytała, kiedy były w gabinecie.

Marianna odwróciła głowę i zawzięcie oglądała jakiś dagerotyp na ścianie. Czowała, że oczy ma zaczerwienione i że jeśli wydobędzie z siebie jedno słowo, to za nim popłyną łzy.

- No tak - pokiwała głową pani Hurlowa - szkoda go. I dlatego postanowiłam jednak, mimo że początkowo wydawało mi się to zupełnie niemożliwe, zostawić małego w Jagodnem.

- Oooo - zdołała tylko wykrztusić Marianna - naprawdę?

- Naprawdę - powiedziała dość chłodno pani Hurlowa. Marianna spojrzała na nią bacznie. Twarz dyrektorki była spokojna i mądra, łagodna i pełna zrozumienia spraw ludzkich.

- Ach, ona jest taka - przemknęło Mariannie przez myśl - że nie lubi roztkliwiania się. I mnie w ten sposób powstrzymała od rozbeczenia się.

- Jeszcze są tylko pewne formalności do załatwienia w gminie - mówiła pani Hurlowa - w rezultacie mały będzie wychowankiem naszej szkoły i wszystkie będziecie musiały po trochu nim się zajmować. Przypuszczam, że jest jeszcze nie chrzczony i ksiądz prefekt ma ochotę dokonać tego jak najprędzej. Ponieważ to jest twój pupilek, zostawiamy ci wybór imienia dla niego.

- Och, pomyślę - szepnęła zachwycona Marianna.

- Doskonale, a teraz idź i postaraj się zapoznać z całą szkołą, zanim zaczną się wykłady - powiedziała już zupełnie oficjalnym tonem dyrektorka i podała jej rękę.

Marianna wpadła do jadalni rozpromieniona. Ale zaraz z rozczarowaniem spostrzegła, że nie ma tu już dziewcząt z pierwszego i drugiego kursu, tylko te najstarsze, z trzeciego. Niektóre z nich miały strasznie dorosłe miny, ale na szczęście nie wszystkie były takie dostojne i jedna z nich, ślicznie opalona szatynka, pospieszyła z informacją, że koleżanki z pierwszego kursu są właśnie w sąsiedniej sali.

Były tam rzeczywiście. A Małgosia zaraz zaczęła gwałtownie machać do niej ręką. - Siadaj obok nas - zawołała, robiąc jej miejsce przy wąskim, białym stole. - To jest jedna z sal wykładowych i zajmuje się teraz miejsce na cały rok. A z tobą siedzi Nela.

- Czy ty tu już jesteś drugi rok?

- Ach, skądże? - oburzyła się Małgosia.

- No, bo tak się tu świetnie we wszystkim orientujesz - powiedziała Marianna.

- A widzisz! a jestem tu pierwszy. Przyjechałam co prawda na dziesięć dni przed tobą, ale już zdołałam zgłębić mniej więcej tajemnicę starego dworu w Jagodnem oraz więzionych w nim stu czterdziestu sześciu dziewcz. Rozumiesz, inteligencja, zdolności detektywistyczne i coś w rodzaju jasnowidztwa.

- Nic jej nie wierz - zdemaskowała zaraz Małgosię Nela. - Ona po prostu miała tu siostrę i stąd płynie jej mądrość i znajomość terenu.

- Tak? - zdziwiła się Marianna - nie wiem, dlaczego wyobrażałam sobie, że jesteś jedynaczką.

- Bo właściwie od prawie półtora roku, chwała Bogu, jestem szczęśliwie czymś w tym rodzaju, odkąd moja siostra opuściła rodzinną strzechę, aby poślubić pewnego czarującego gentlemana. Poza tym, jestem wskutek tego nie tylko jedynaczką ale i ciotką. Synek mojej siostry...

- Prawda! przecież to strasznie ważne! - Marianna przerwała w tej chwili familijne zwierzenia Małgosi. - Wiecie? Cyganiątko zostanie w Jagodnem!

Tak! nowina była wstrząsająca.

- Niemożliwe! - zważyła Nela.

- Jak to niemożliwe? Przecież wracam w tej chwili od dyrektorki i w dodatku mam wybrać dla niego imię.

- Chyba Tumry lub Manru - zaproponowała Nela, wykazując swoją erudycję w zakresie imion cygańskich.

- Nie - oburzyła się Marianna - to musi być jakieś prawdziwe imię.

- Najładniej byłoby Robert - zabrzmiał okropnie dystyngowany głos Jolanty, która nie mogła oprzeć się pokusie, aby nie wziąć udziału w tej interesującej naradzie. Zapomniała już o myszy i była w zupełnie dobrym humorze. - Albo może Bazylim.

- A idźże z tym Bazylim - huknęła na nią Małgosia - to dobre raczej dla kota. Stanowczo powinien nazywać się albo Melchior, albo Kacper, albo Baltazar. Bo podobno któryś z nich był czarny. Tylko nie jestem pewna który.

- Nie - potrząsnęła głową Marianna. - Ja już wiem. Ponieważ jest właściwie zgubą, a znalazł tu dom, niech się tak nazywa, jak patron od rzeczy zgubionych a odnalezionych, czyli Antoni.

- Ach, tak zwyczajnie - jęknęła Jolanta. I już miała zamiar coś powiedzieć, ale właśnie do sali weszła panna Janina. Była poważna i doskonała, tak samo, jak

wczoraj wieczorem. Wzór, ideał wymagań pedagogicznych - jak jeszcze zdążyła zapewnić Mariannę niezbyt dyskretnym szeptem Małgosia.

- Panienki, nie wątpię, że pragnęłybyście zapoznać się z planem wykładów oraz zwiedzić sale, w których odbywać się będą zajęcia praktyczne - powiedziała niezmiernie uroczyście.

- Naturalnie, proszę pani - odpowiedziały grzecznie dziewczęta. Tylko Małgosia mruknęła zjadliwie: - O niczym innym nie marzyłam. - Ale Marianna zgromiła ją, bo naprawdę miała ochotę obejrzeć porządnie szkołę.

Tak, naprawdę, już po to samo warto było przyjechać do Jagodnego. Bo choćby tylko ta kuchnia, cudowna! wspaniała! Cała kaflowa! Albo ogród warzywny! a sad! albo ta nadzwyczajna sala wykładowa z małymi stolikami, przy których były zainstalowane płytki elektryczne - kuchenki. Albo laboratorium chemiczne, albo nawet i taka pralnia - wręcz rozkoszna, z małymi pralkami i szeregiem żelazek do prasowania, połyskujących na półkach.

- Mniej się będziesz zachwycać, kiedy cię zagonią do prania - dogadywała Małgosia. Ale nic nie zdołało osłabić zachwyty Marianny, zwłaszcza że przy zwiedzaniu znanego już jej wzorowego pokoju dzieciennego, zastała w nim swoje Cyganiątko, i z dumną miną przyjmowała gratulacje koleżanek z racji pozostawienia pupilka. Oczywiście gratulacje trzeba było składać bardzo dyskretnie ze względu na pannę Janinę, która nie lubiła wszelkich dystrakcji wtedy, kiedy uczennice były pod jej opieką.

- Kochany Kleksik - przypomniała sobie potem Marianna swego pupilka. Taki był uroczy w tym białym łóżeczku. Naprawdę tak jakoś zabawnie wygląda, zupełnie jak kleks atramentowy. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Nelą, która przyznała jej pełną rację. - Jest uroczy - potwierdziła, głaszcząc w ten sposób nieomal macierzyńską dumę Marianny.

Wobec tego, Marianna, uszczęśliwiona już zupełnie, nie poprzestała na ucałowaniu Neli, ale uczyniła to samo także z pewnym małym i rozkosznie różowym prosiaczkiem, żałośnie kwiczącym ze strachu, gdyż akurat właśnie zwiedzały chlewnię. Zachwyciła ją również perspektywa hodowli drobiu w Jagodnem, a widok dziesięciu krów w oborze wydał się jej ze wszech miar godnym entuzjazmu.

- Poczekaj kochanie! - mitygowała ją Małgosia - dopóki nie zaczniesz nabywać wiedzy z zakresu dojenja. Zobaczysz wtedy, co to za nieznośne bydlaki.

- Jak to dojenja?!

- A tak, sasanko z Warszawy. A coś ty myślała? Nie wiesz, że Jagodne nazywają szkołą narzeczonych?

- Owszem, czytałam taki artykuł, którego autorka nazywa żartem Jagodne w ten sposób, ale cóż to ma wspólnego...

- To nie żarty, moja droga - przerwała srogo Małgosia. - Tu albo się hoduje idealne gospodynie, albo nie. A jeśli taka idealna narzeczona natrafi na jakiegoś rolnika, jakiegoś osadnika, czyli, jak to mówią u nas dziewczęta, wyjdzie za mąż na wieś, to co będzie z krowami i te de?

- Ach tak! - zachwyciła się Marianna. I natychmiast postanowiła napisać o tej rewelacji do domu. Może ciotki przy okazji dowiedzą się o wszechstronności i doniosłości jej studiów i nareszcie coś im zaimponuje. Czy idealna urzędniczka Sabinka albo gwiazda baletu Iwona, potrafią doić krowy? Na pewno nie. Nareszcie, nareszcie jest coś, czego nie potrafią te utalentowane ideały. I ku zdumieniu koleżanek, pisnęła: - Jak ja się z tego strasznie cieszę!

- No, wiesz? - zdumiała się Nela - przecież taka krowa może kopnąć albo ogonem będzie ci machać po nosie.

- Nic nie szkodzi - promiennie oświadczyła Marianna.

- Czyżbyś miała w programie jakiegoś rolnika?

- Ach nie, to mnie cieszy raczej ze względów rodzinno-reklamowych.

- Wymagającą masz wobec tego rodzinę - westchnęła współczująco Małgosia, przysiadając na odwróconym skopku. - Mojej mamie wystarcza najzupełniej, że przez trzy lata nie będzie mnie w domu. To im gwarantuje niejaki spokój. Bracia też są unieszkodliwieni na jakiś czas, bo obydwaj są w szkole podchorążych, no a Lidka, jak wiesz, wyszła za mąż. Mama swoją drogą liczy, że za trzy lata popełni też coś w tym rodzaju. Ale zdaje mi się, że zawiodę oczekiwania rodziny. Pewnie po Jagodnem pójde jeszcze na weterynarię i albo założę własną klinikę dla zwierzaków, albo postaram się o posadę w jakimś zoo.

- Możesz już zacząć od razu praktykować w naszej sypialni - dobrotliwie doradziła Nela.

- Czekaj, masz rację, ale na razie nie przeszkadzaj, kiedy marzę na głos. Uszanuj moje wzloty. Więc wyobraźcie sobie takie cudowne życie. Podchodzi człowiek na przykład do klatki z tygrysem, a on... oooooch!

W tym momencie niedoszła pielęgniarka i wychowawczynie tygrysów jęknęła żałośnie, chwytając się za nos.

- Przeczuwałam, że któraś z nas dostanie ogonem - oznajmiła Nela. - Swoją drogą, taka krowa to nietaktowne i niewyrobione towarzysko zwierzę.

- Ach, ty zawsze jesteś pełna przeczuć - powiedziała urażona nieco Małgosia, bo to ona zaproponowała, aby siadły w tym właśnie miejscu, a nie gdzie indziej. - Ale ja też mam wieszczę przecucia. I właśnie jedno z nich dotyczy obiadu. Mam wrażenie, że będzie jeszcze nieprędko. Co będziemy robiły przez ten czas?

- Myślę, że rozpakuję nareszcie na dobre moje walizy - przypomniała sobie Marianna.

Małgosia spojrzała na nią z politowaniem. - Boję się, że jesteś strasznie wzorowa.

- Nie, wcale nie, ale zdaje się, że mam wszystkie sukienki i fartuchy fatalnie pogniecione.

- Zdążysz, zdążysz powyjmować, a Mirka pomoże ci prasować. Będzie z tego powodu szczęśliwa przez trzy dni.

Wbrew jednak złowieszczym przecuciom Małgosi, prawie zaraz rozległ się dzwonek obiadowy. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko pobiec szybko, aby jeszcze zdążyć umyć ręce. Wpadły zdyszane do umywalni, gdzie zastały resztę dziewcząt.

- Panienki, prędzej - poganiała panna Janina, która nie wiadomo skąd, też tam się znalazła.

- Już, już, proszę pani, idziemy. Jeszcze chwileczkę! Która ma mydło? Dajcie mi ręcznik! - pogadywały wesoło dziewczęta i już po chwili pędziły po schodach.

- Proszę od razu siadać na swoich stałych miejscach - komenderowały panna Janina i Witamina. I wyznaczały, gdzie która ma się usadowić. Na widok Marianny, Neli i Małgosi, które spiesznie usiadły obok siebie, panna Janina zrobiła taką minę, jakby miała ochotę je rozdzielić, ale widok Marianny, spokojnej i grzecznie uśmiechniętej, wyglądającej tak potulnie i wzorowo w swojej niebieskiej sukience, wpłynął widocznie na jej decyzję, bo zostawiła całą trójkę w spokoju. Poza tym jeszcze kilka miejsc było nie zajętych.

- Kogo tu brak? - zainteresowała się Witamina. A panna Mirka zaraz zaczęła wyliczać, rachując na palcach, że dziś nie będzie na obiedzie doktor Nadolskiej, bo pojechała do Krakowa i że jeszcze nie przyjechała pani inżynier Snopkówna i inżynier Letycki, i że nie ma również pani Ceglowskiej i pani Kulanki.

- To wszystko nauczycielki i nauczyciele - szepnęła Mariannie Małgosia.

- No tak! - panna Mirka trzymała rozcapierzone - paluszki swojej tłustej, małej łapki i ani rusz nie mogła sobie przypomnieć, kogo jeszcze brak. Dwa krzesła są dotychczas nie zajęte. Ach, prawda, jedno, to miejsce doktora Gruszki (- Weterynarz, bardzo podobno elegancki i przystojny. - demonicznie zakomunikowała koleżankom Małgosia), a to drugie miejsce?...

Prawda! To drugie miejsce należało do Jolanty, która właśnie weszła, powitana przeciągłym aaaaaa obecnych.

- Przepraszam, moje dziecko - odezwała się po chwili panna Janina, która na moment najwidoczniej zaniemówiła ze zdumienia. - Zdaje mi się, że jesteś trochę dziwnie ubrana. To jest zupełnie odpowiednie, ale na jakiś wieczór taneczny, ewentualnie na rewię mody.

Jolanta poczerwieniała, lecz bohatersko usiłowała bronić swej kreacji. - Proszę pani, w eleganckim świecie jest zwyczaj przebierania się do obiadu.

- Ona czytała taką jedną książkę o hrabinie i lordzie - mruknęła dosyć głośno Nela.

- Uspokój się, Nela - zmitygowała ją nauczycielka, mimo że Marianna miała wrażenie, iż uwaga Neli raczej przypadła jej do gustu. Panna Janina zaś uśmiechnęła się do Jolanty bardzo uprzejmie i ciągnęła dalej z podejrzaną słodyczą: - Jolanto droga, wcale nie wątpię, że taki zwyczaj istnieje, tylko że jest to na ogół obiad podawany wieczorem. Stanowczo powinnaś dokładniej studiować obyczaje wielkoświatowe.

Dziewczęta dławily się ze śmiechu zupą i jeszcze przy deserze wspominały ogłupiałą minę Jolanty. Tylko złowrogie spojrzenia Witaminy działały uspokajająco na rozbawione towarzystwo.

- Panienci, proszę po obiedzie zapoznać się z planem wykładów i przygotować sobie wszystko. W kancelarii szkoły dostaniecie podręczniki. Jutro zaczynamy rok szkolny - powiedziała jak zawsze sroga i dostojna.

- Oj, jak dobrze - ucieszyła się Marianna w duchu. Była zadowolona, że zacznie już normalny tryb życia, a swoją drogą obawiała się trochę, jak sobie poradzi z tymi wszystkimi kulinarno-gospodarczymi cudami.

- E, jakoś to będzie. - I na pociechę poszła zajrzeć do swego Kleksika, jak go pieszczotliwie nazywała. A po drodze zapukała do dyrektorki: - Proszę pani, czy mógłby nazywać się Antoni?

- Naturalnie, bardzo dobrze. Bardzo ładne imię - pochwaliła pani Hurłowa. - I

może jutro od razu go ochrzczimy, bo przyjedzie ksiądz prefekt, żeby odprawić nabożeństwo na rozpoczęcie naszego roku szkolnego.

ROZDZIAŁ 6 - TRAGICZNY OMLET

Tak więc Kleksik został ochrzczony uroczyście i dokumentnie. Trzymała go do chrztu pani Hurłowa z panem doktorem Gruszką (tym od weterynarii), a dziewczęta z drugiego i trzeciego kursu złożyły się i kupiły neoficie złoty medalik.

- Jest tak śmiesznie czarny, że zdaje mi się, że jestem misjonarką w Afryce, a twój Cyganiak, to świeżo nawrócony ludożerca - oświadczyła Nela.

Ale Marianna tak była przejęta ważnością chwili, że zareagowała zaledwie bladym uśmiechem. Zresztą, jak przystało na solidną osobę, była wszystkim głęboko i dostatecznie wzruszona. I uroczystością rozpoczęcia wykładów, i przemówieniem dyrektorki, i nawet tym, że po raz pierwszy włożyła jeden z tych uroczych, wykrochmalonych i świeżo uprasowanych fartuszków, którymi tak się cieszyła jeszcze w Warszawie. Ubierała się weń rano z całym namaszczeniem i starannie zawiązywała troczki na elegancką kokardę. - Zupełnie jakby miała zamiar występować na rewii mody kuchennej - zaopiniowała Małgosia, spoglądając bokiem na Jolantę, co ta przyjęła oburzonym lecz dystygowanym wyęcieniem ust, co do których barwy, szczególnie żywej, można by mieć zastrzeżenia.

- Ach - jęknęła w odpowiedzi Marianna - ty się nie śmiejesz, Małgosiu. Ja się tak okropnie boję.

- Czegoż ty się znów boisz, dziewczyno?

- Wiesz? boję się, czy potrafię. Jak ja patrzę na te wszystkie faszerowania, dekoracje, panierowania, przysmażania, idealne blanżerowania i inne niesamowite cuda, jakie wyczyniają te z wyższych kursów, to na mnie chwilami skóra cierpieć i po prostu żałuję, że tu przyjechałam. Mam wrażenie, że tego nigdy, przenigdy nie zdołam się nauczyć.

- Widać, masz kompleks niższości, właściwy osobom mało obytym - wtrąciła wyniośle Jolanta.

- O, jaka ta nasza Jolanta uczona, jakie ona dziwne i cudzoziemskie wyrazy potrafi powiedzieć - podziwiała Nela, uśmiechając się dobrotliwie. - Czy mogłabyś nam wytłumaczyć co to znaczy, bo my, ciemne, nieoświecone kucharki, nic nie rozumiemy. A zdaje się, kochanie, że co dzień starannie studiujesz słownik wyrazów obcych.

- Impertynentka! - syknęła dystygowanie Jolanta, według wszelkich przepisów, dotyczących zachowania się dam obrażonych.

- A co to znaczy impertynentka? - dopytywała nadal z niewinną miną Nela. - Czy możesz nam to powiedzieć własnymi słowami?

Ku wielkiemu żalowi Małgosi, która również miała zamiar wziąć udział w tej rozmówce, nagle zjawiała się obok nich panna Janina, poganiając: - Prędeży, prędeży, pokażcie no się, wszystkie porządnie uczesane? fartuchy nie wygniecione? Dlaczego Małgosia ma tak zawadiacko zbakierowany czepek na jedno ucho? Popatrzcie na Mariannę, jak jest starannie ubrana. Nela, naturalnie ma już coś nie w porządku i agrafka, jak widzę, w robocie. Zaraz proszę przyszyć tu guziczek. Jolanta! dziwnie efektowny makijaż! Proszę zaraz pójść do umywalni i porządnie zmyć to wszystko. Mimo że jest pani najstarsza z pierwszego roku, nie mogę się na to zgodzić. Żadne malowidła nie są w szkole dopuszczalne. Alda i Bietka, wasze fryzury są zbyt eleganckie. Schowajcie zaraz porządnie te loki. To jest niedopuszczalne przy gospodarstwie, zwłaszcza tam, gdzie macie do czynienia z przygotowaniem posiłków. No, proszę prędeży, panienki.

Marianna, upojona pochwałą, stała pośrodku, nie śmiejąc nieomal oddychać, aby nie pognieść niepokalanego fartuszka i postanowiła w tym momencie, że pójdzie w tym kuchennym rynsztunku do fotografa i pośle zdjęcie rodzicom. - Zaraz będą mnie w domu poważniej traktować - pomyślała. I podreptała razem ze wszystkimi dziewczętami do sali wykładowej.

Ach, te pierwsze wykłady! Teoria, jak teoria. Bardzo ciekawe rzeczy, ale wszystko mniej więcej w normalnym trybie szkolnym. Notatki, podręczniki, tablice. Naprawdę, zupełnie zwyczajnie. Natomiast zajęcia praktyczne! Te rozkoszne i wspaniałe sprzęty kuchenne, to misterium takiego a nie innego płukania i obierania ważyw, fascynujące sekrety zagniatania klusek i dzielenia mięsa, poezja zestawiania potraw przy układaniu menu, te wszystkie onieśmielające cuda: blanżerowania, szpikowania, faszzerowania, panierowania i tak dalej, ta urocza magia błyszczących łądli, skwierczącego wesoło tłuszczu czy rosnącego w dzieżach ciasta. Marianna, szczęśliwa i zasłuchana, ze świętym przejęciem skrobała marchewkę, krając ją tak a nie inaczej, wałkowała ciasto lub trybowała mięso. Żyła w podniosłym nastroju udanej zupy, idealnie rumianych frytek, czy też ładnie skrzepniętej galaretki. Uwijała się okrągła, rumiana, skupiona, słuchając rozporządzeń Witaminy lub pani Cegłowskiej, mistrzyni od potraw mięsnych. Potem, wśród innych prac, przy obowiązkowych zajęciach w pralni lub przy sprzątaniu, wspominała jeszcze jakąś szczególnie udaną potrawę, za którą kurs dostawał pochwałę. Małgosia i Nela

świętokradzko podśmiewały się z kulinarnych natchnień i gastronomicznych wizji Marianny, kiedy przejęta rozmawiała na temat zupy rakowej lub klusek francuskich. (Rzeczy wytworne, jak majonezy, kokilki, ryby w galarecie oraz pasztety i torty, a także różne inne niezliczone cuda były dopiero w programie kursu drugiego). Zazwyczaj, obrażona nieco, szła na pociechę do dziecinnego pokoju, do Kleksika. Żalowała bardzo, że pierwszy kurs nie obejmuje jeszcze pielęgnowania niemowląt i szczerze zazdrościła tym starszym, z wyższych semestrów. One to miały cudowne prawo, a raczej obowiązek doglądania Cyganiątka, kąpania, karmienia kleikiem i sokami z owoców. Ten ich szczęśliwy przywilej był powodem zawarcia nieśmiałej przyjaźni z ową ładnie opaloną dziewczyną, z którą rozmawiała kiedyś, zaraz po przyjeździe, w jadalni. Dziewczyna miała zupełnie zwyczajne imię: Zosia, co wyróżniało ją spośród wszystkich, bardzo wymyślnie nazywających się dziewcząt. Ona też i Terka Pełczanka łaskawie zniżyły się do obcowania z pierwszokursistką, zaznaczając od czasu do czasu, że robią to ze względu na pełne godności zachowanie Marianny, oraz jej niejaki prawa do Kleksika. Natomiast Nela i Małgosia nie cieszyły się bynajmniej ich względami. - Jak możesz z nimi wytrzymać? - mówiła łagodna i pogodna Terka. - Są takie nieznośne. - A Zosia dodawała sentencjonalnie: - Po prostu nie dorosły do swoich zadań. - Marianna miała nieraz ochotę zapytać, jakiego rodzaju miały być te zadania, ale milczała, pełna obawy, aby nie zrazić swoich dostojnych przyjaciółek taką ignorancją.

Na ogół czuła się w Jagodnem doskonale. Dni płynęły pogodnie i spokojnie, urozmaicane doniosłością zagadnień w rodzaju udanego budyniu lub twardej pieczeni. Powoli Marianna, różowa i poważna, zawsze przejęta wszystkim ale spokojna, zaczęła być typowana na gwiazdę pierwszego kursu. Zdaniem Małgosi, wyglądała zupełnie jak plakat reklamujący cudowny proszek do pieczenia lub przyprawę do sosów. Kluseczki przez nią przygotowane zawsze były najładniej krajane, sznycle najapetyczniejsze, ziemniaki obrane najstaranniej, a panna Mirka stawiała ją za przykład, pokazując wyprasowaną przez Mariannę bieliznę. W takich momentach Marianna była skłonna uwierzyć, że życie jest naprawdę piękne i że w ogóle nie wiadomo, dlaczego ludzie narzekają na zły los. Ale czy to kiedy wiadomo, co przyniosą najbliższe chwile?

Było to tak: tego dnia rano przyszedł list z domu. Mama pisała, że Wojtek zmienił się nie do poznania, że od niejakiego czasu czyści sobie buty, myje się zupełnie dobrowolnie (nawet szyję) oraz domaga się coraz to nowych kreacji z

zakresu mody męskiej. A co najdziwniejsze, zaczyna lekko, ale za to stale wspominać o ożenieniu się. Podobno widują go ludzie często asystującego jakiejś panience, a ciotka Janina twierdzi, że miał komuś powiedzieć, że to jego narzeczona i że wkrótce się ożeni. No, a mama sama nie wie, co o tym myśleć.

To była wiadomość wstrząsająca. Po pierwsze, trudno było sobie wyobrazić Wojtka z czystymi paznokciami, a po drugie: Wojtek żonaty! Marianna przeczytała list parokrotnie, aby upewnić się, że dobrze zrozumiała, o co chodzi, gdyż mama miała chwalebny zwyczaj nie używania znaków przestankowych, co stwarzało nieraz niesamowite pogmatwania. Ale mimo tych braków, treść listu była zupełnie jasna. Co to będzie, jeśli Wojtek, który był uparty jak dziki kozioł, naprawdę zechce się ożenić? Marianna nie wiedziała właściwie, co o tym myśleć. Najpierw była przerażona. Bo jeśli Wojtek wpadł w sidła jakiejś złej i przewrotnej kobiety, jak to nieraz zdarzało się na filmie, to nie wiadomo, co z tego wyniknie. Ale zaraz pocieszyła się, że to przecież może być zupełnie niezła dziewczyna, tylko widać trochę nienormalna, jeśli zakochała się w Wojtku, w tym krzykliwym, długonogim Wojtku, i chce za niego wyjść. Więc gdyby ten ślub miał już tak koniecznie być, to oczywiście Marianna byłaby druhną. I zajęłaby się urządzeniem weselnego przyjęcia. Dopiero by się wszyscy zdumiewali.

W głębokiej zadumie, pochłonięta wizją rodzinnej uczty-arcydziela, Marianna siedziała przy swojej płytce i stoliku kuchennym w sali zajęć praktycznych. Nie słyszała, co mówiła Witamina, gdyż właśnie była w rozterce, czy na pieczone właściwe byłoby podanie indyka z kompotem, czy raczej kaczek z pomarańczami. Machinalnie sięgnęła po naszykowane na stoliku produkty - mąkę i dwa jaja. Ach! już wszystkie dziewczęta przy swoich stolikach coś ubijają, coś mieszają, z końca sali dopływa apetyczny zapach smażonego masła.

...Czy lepszy byłby tort orzechowy, czy też może przekładany marcepanem. Jest taki doskonały przepis. Jak we śnie kataleptycznym Marianna rozbija jajka ruchem lunatyczki i miesza je z mąką.

- Smaż go prędzej - szepce dramatycznie stojąca obok przy swojej kuchence Bietka.

- Co? kogo? - budzi się Marianna.

- Omlet! Omlet! prędzej, bo Witamina zaraz przyjdzie.

- Ojej!

Już masło skwierczy na patelence. Wiadomo, co to będzie za omlet, bez ubitej

piany. Zupełnie nieudany. Ale cała nadzieja w tym, że może Witamina jakoś szczęśliwie ominie Mariannę. Tak zawsze dotychczas była zadowolona z jej arcydzieł, że darząc ją zaufaniem, przeważnie nawet nie sprawdzała dokładnie przygotowanych przez nią potraw.

A tymczasem w Witaminę najwyraźniej tego dnia wstąpił szatan. Jak samum, jak chmura gradowa, pędziła przez salę groźna i nieubłagana. Zbeształa bezlitośnie Nelę za omlet zbyt przypalony, pastwiła się przez dłuższą chwilę nad Jolantą, a potem krzyczała na Aldonę, że omlet jest zbyt płaski i za mało zrumieniony. A teraz sunęła sroga i sapiąca wprost na Mariannę. Wyraz twarzy miała w tej chwili triumfujący i ufny.

- Chcecie zobaczyć, jak powinien wyglądać naprawdę porządnie usmażony omlet? - zaczęła, rzucając pełne pogardy spojrzenie na pozostałe dziewczęta - to zobaczcie, jak usmażyła Szelązkówna! - I Witamina jednym śmiałym, niemal bohaterskim gestem, wyrwała patelnię z rąk Marianny. Dziewczęta przyglądały się z uprzejmym zainteresowaniem. Z kolei i ufna w talenty Marianny nauczycielka, spojrziała na trzymaną w ręku patelnię.

Marianna stała pąsowa i skamieniała. W całości przypominała dramatyczny posąg z czerwonego piaskowca - "Skorpion i dziewczyna", jak orzekła potem Małgosia, kiedy wieczorem rozpatrywały niezapomnianą scenę z omletem. Stwierdzone zostało, że Marianna była w tym momencie czerwona, tak że właśnie przypominała doskonale kolorytem wymieniony odcień piaskowca, natomiast zdania były podzielone co do tego, czy skorpionem była Witamina czy też omlet. W każdym razie słuchaczki z sypialni szóstej stwierdziły zgodnie jedno: że to, co leżało na trzymanej wtedy przez Witaminę patelni, bez wątpienia bardziej przypominało podeszew solidnego sportowego buta, niż cokolwiek innego, nie mówiąc już o przedmiotach jadalnych.

Jako dalszy ciąg tragedii, należy wspomnieć złowieszczy syk Witaminy na temat nieudanego omletu oraz fontannę łez Marianny, oblewającej w ten sposób pierwszą niedostateczną ocenę. Czerwone oczy i spuchnięty nos były dowodami rzeczowymi, jak biedna kandydatka na siostrę gospodarczą, ciężko przeżywała swój nieudany wyczyn. Wszelkie kondolencje, składane w związku z tym tragicznym zdarzeniem, przyjmowała w charakterze sekretarki osobistej Nela. Wieczorem zaś zespół sypialni nr 6 zawiadomił swoją niepokieszoną lokatorkę, że odbędzie się na jej cześć akademia.

- Akademia? - zdumiała się Marianna.

- Ciiiit, tylko cicho, zobaczysz sama - konspiracyjnie szeptnęła Małgosia - tylko już nie rozpaczaj więcej. Zobaczysz sama, jakie to będzie wspaniałe.

Tak, określenie “wspaniałe”, jakiego skromnie użyła Małgosia, było w tym wypadku nawet zbyt słabe dla oddania walorów owej uroczystości. Przede wszystkim zaraz po zniknięciu panny Janiny, uspokojonej głębokim snem swoich pupilek, przystąpiono do właściwego urządzenia sali. Łóżko Marianny, jako honorowego gościa, zostało umieszczone na środku i wysłane poduszkami, aby godnie spełniało rolę łoża reprezentacyjnej. W głębi zaś, z prześcieradeł i koców urządzono dekorację sceny. Lampka nocna z wkręconą silniejszą żarówką (Alda zabrała ją na ten wieczór z laboratorium) odgrywała z powodzeniem rolę reflektora, rzucając po owinięciu bibułką, światło nastrojowe i efektowne.

Po długich krzątaniach i szeptach nastąpiła wreszcie cisza, po czym na tle kurtyny z dwóch prześcieradeł, ukazała się Nela, ubrana w czerwony kostium kąpielowy, do którego przypięta była z tyłu i na bokach firanka, tworząc krynolinę, otwartą z przodu. Na nogach miała srebrne, trochę za duże pantofelki, pożyczone wyjątkowo przez Jolantę, a na głowie wspaniałą stylową perukę z wiórków drzewnych. Wyglądała fascynująco. Wykonała następnie jakiś oryginalny taniec (w programie wręczonym gościowi honorowemu było napisane, że jest to “Taniec z ometem”), przy akompaniamencie, bardzo zresztą dyskretnym, na grzebieniu, po czym przechodząc do roli konferansjera, oznajmiła: “Marsz żałobny Beethovena w wykonaniu autora”.

Po tak intrygującej zapowiedzi kurtyna rozsunęła się nieco opornie, ukazując drewniane schodki, używane zazwyczaj w dużych kuchniach przez kucharki, mieszające w wielkich, wysokich kotłach. W tym wypadku jednak zastępowały one z godnością fortepian, przy którym zasiadł mistrz tonów. Długie nogi mistrza żywo przypominały Małgosię. Przyodziany był w piękne pasiaste spodnie, które wcale nie wyglądały na to, że są od piżamy, oraz w zgrabny fraczek, trochę tylko przypominający zakiet od kostiumu Hanki Żmurkówny. Zawiązany na szyi biały ręcznik z godnością imitował stylowy halsztuk, a długie, sięgające ramion włosy, odczesane były do tyłu. Cierpienia i męki natchnienia wycisnęły na obliczu genialnego kompozytora złowrogie ślady, podkreślone na umęczonym tle, węglem drzewnym. Mistrz skłonił się w milczeniu i rozpoczął grę. Była to gra bezgłośna, lecz porywająca bogactwem impresji i plastycznością wykonania. Głębia uczucia,

mieszcząca się w zgrabnych akordach i pasażach, wywołała zrozumiały oddźwięk wśród widowni. Elegancki bukiet kwiatów bibułkowych był wyrazem hołdu, złożonego geniuszowi. Niestety, ze względu na konieczność unikania zbytniego rozgłosu, mogącego zwabić niepożądanych profanów, zrezygnowano z oklasków.

Następny numer zapowiedziany przez fertyczną konferansjerkę był to taniec wschodni wykonany przez Aldę. Gwiazda baletu wywołała zachwyt swoim strojem, składającym się przede wszystkim z szerokich szarawarów, upiętych zrecznie z dwóch nocnych koszul, po jednej na każdą nogę, a w jadowym węź, oplatającym ramię tancerki, z trudem można było rozpoznać długą pończochę Małgosi, wypchaną nie wiadomo czym. Po tym tańcu, odtwarzającym realistycznie trujący czar wschodu, nastąpił numer ostatni: - Jagodne-girls w swoim popisowym repertuarze.

W istocie produkcja ta mogła być bez wątpienia zaliczona do tak zwanych przebojów sezonu. Cztery lokatorki sypialni nr 6, przyodziane w nocne koszulki, wykonały brawurowy taniec z patelniami dokoła wyniosłej postaci Witaminy, składającej się z Małgosi oraz wielu, wielu poduszek i stołka, na którym stała. Czyż trzeba wspominać, że zachwyt publiczności był bez granic?

Na zakończenie udanego spektaklu, aktorki i widownia wzmocniły nadwątlone wrażeniami siły, spożywając zaimprovizowaną ucztę, której zasadnicze menu stanowiły czekoladki, dostarczone w większej ilości przez Aldę, jako że jej papa pracował w znanej firmie cukierniczej i co jakiś czas przysyłał swojej pociesznie odpowiednie paczki, aby mogła podzielić się z koleżankami.

To wszystko sprawiło, że Marianna, zasypiając po dniu tak dramatycznym, zdołała jeszcze w ostatnim momencie przed zaśnięciem stwierdzić, że jednak przyjaźń osładza życie, po czym, połknąwszy resztki grylażowej czekoladki, pogrążyła się w błogim śnie.

ROZDZIAŁ 7 - PAŚOWE RÓŻE

- Nocniej! mocniej! - zachęcała ochoczo pani doktor Kulanka - mocniej! ale nie szarpiąc! Mleko powinno tryskać ładnym, równym strumieniem!

Doktor Kulanka była jak zawsze, radosna i pełna zapału, niezmordowana i energiczna. Po prostu nieprzyzwoicie szczęśliwa w ten szary jesienny poranek, kiedy Marianna, przyodziana w niepokalany fartuch, pod którym miała dwa swetry, siedziała na niskim stołku, wsparta rozpaczliwie głową o ciepły bok Kwiatuli. Mleko nie tryskało ani ładnym, ani równym strumieniem, jak to promiennie zalecała doktor Kulanka. Raczej ledwie a ledwie cykało po kropelce, a Kwiatula była wyraźnie zirytowana tym nieudolnym szczypaniem, zamiast solidnego dojenia.

- Mocniej! równo! spokojnie! - zalecała dalej radośnie pani doktor Kulanka.

- Kiedy ona nie chce - odważyła się wreszcie wyjąkać Marianna.

- Jak to nie chce? - zdumiała się już mniej radośnie. - Czego nie chce?

- Dawać mleka - wyjaśniła nieśmiało adeptka sztuki dojenia.

W sąsiedniej przegrodzie, gdzie Małgosia tkliwie przemawiała do równie nieugiętej Krasuli, rozległo się coś, co przypominało krztuszenie się.

- A od czego jest wobec tego krowa? - zapytała rzeczowo radosna agronomka, zajmując miejsce Marianny przy skopku. Ledwie dotknęła wymion Kwiatuli mleko tryskało równymi, obfitymi strumieniami i spływało do podstawionego naczynia.

- Widzisz, moje dziecko? - triumfowała mistrzyni - no, równo! mocno! nie szarpiąc! - zalecała. I przeszła do sąsiedniej przegrody.

Marianna, zachęcona przykładem, energicznie zabrała się do dzieła. Raz! dwa! - nareszcie! Biały, słodki strumień trysnął obficie, lecz z pewnym odchyleniem. Ominął bowiem podstawiony wzorowo skopek i chlusnął na zmartwione oblicze dójki. Marianna jęknęła rozpaczliwie nad własną nieudolnością, aż zmalretowana Kwiatula obejrzała się na nią ze współczuciem. Jeszcze nieco wysiłku i wreszcie coś niecoś dostało się do skopka.

- No, co? dalej? - zajrzała przez przegrodę Małgosia.

- Dalej! - burknęła przez łyzy Marianna.

- Uparte bestie! Krasula też jak zaczarowana. Ale ja ją wytresuję - obiecała groźnie Małgosia, po czym spytała szeptem: - Jest tu jeszcze ta kontenta agronomka?

Marianna wyjrzała przed oborę. Nie, doktor Kulanka już zniknęła, poszła do chlewni, gdzie gromiła Aldę i Hankę, szykujące jedzenie dla prosiąt.

- Dobrze, że sobie nareszcie poszła - mruknęła niewdzięczna Małgosia. - Skaranie boskie z taką dziarską gospożą. Słuchaj, Marianno! Jedziemy dziś do Krakowa! takie psie życie z tym dojeniem i w ogóle. Trochę się rozerwiemy!

- Ale w jaki sposób? dlaczego? przecież panna Janina...

- O, naiwne, małoletnie stworzenie! - gadała Małgosia, porajac się w międzyczasie z apatyczną Krasulą. - A nastap się! - Więc słuchaj dziecino! (to było skierowane już do Marianny, a nie do Krasuli) panna Janina nie ma nic do pozwalania, jeśli pani Hurłowa natychmiast i kategorycznie zażąda, abyśmy możliwie wczesnym autobusem jechały hen w siną dal! do Piastowego, czy tam Krakowego grodu, w charakterze oficjalnym.

- Nie żartuj! - jęknęła boleśnie Marianna - to zbyt piękne, aby było prawdziwe.

- Ja nie żartuję, tylko pytam, czy chcesz jechać, czy nie?

- No, wiesz? Jak możesz nawet pytać? - szepnęła z wyrzutem Marianna, biorąc się z powrotem do szczypania nieszczęsnej krowiny.

- Wobec tego podój tu jeszcze trochę - poleciła protekcyjnie Małgosia - a ja idę do dyrektorki.

Jakże to się stało, że powróciła po dwudziestu minutach, pokrzykując do Marianny: - Prędko, prędko, jazda! Musimy się tylko porządnie wyszorować po tej oborze i przebrać.

- Zupełnie nie rozumiem, jak to zrobiłaś - dziwiła się Marianna, uszczęśliwiona i namydlona, kiedy pospiesznie chlapały się w łazience.

- Mam takie zakłęcia - pyszniła się Małgosia, szorując w błyskawicznym tempie swoje długie nogi. - Uważasz, panna Janina jedzie po zakupy, a sama nie da sobie rady, więc zawsze w takich wypadkach zabiera ze sobą dziewczęta.

- Skąd o tym wiesz?

- Mój prywatny wywiad. Otóż rozumiesz, że dowcip polegał na tym, aby kandydować na taką pomocnicę. A ja mam w Krakowie wuja, który ułatwi nam te zakupy i to po hurtowej cenie. Więc rozumiesz, że moje protekcje rodzinne w tym wypadku na coś się przydały. Już jesteś ubrana? Wyglądasz elegancko, tylko bardzo niewinnie i wzorowo. Czekaj! jeszcze trochę czuję oborę - i Małgosia chlapanęła na Mariannę zawartość swego flakonika z perfumami.

- Panienki już gotowe? Zaraz będzie autobus - denerwowała się tymczasem panna Janina.

- Już gotowe! lecimy! pędzimy! - gadała Małgosia, ciągnąc Mariannę po schodach i doganiając opiekunkę sypialni szóstej. - Jedziemy, proszę pani.

Panna Janina spojrzała na nie uważnie i już miała zamiar wygłosić małe, ale srogie przemówienie na temat perfum, których używanie było w szkole źle widziane, dała jednak spokój, bo właśnie z dala dobiegło trąbienie autobusu, który podjeżdżał na postój.

Zakupy w Krakowie, dzięki uprzejmości Małgosinego wuja, pana Zadroznego, załatwiono szybko, po czym panna Janina i dziewczęta, ponieważ była jeszcze cała godzina czasu do powrotnego autobusu, postanowiły przejść się po mieście.

- Może pójdziemy na Wawel? - zaproponowała nieśmiało opiekunka, jako że na Wawelu były już trzy razy podczas różnych poprzednich wycieczek szkolnych. Ale Małgosia zbuntowała się. - Ach, proszę pani nie zdążymy! Lepiej może obejrzymy Sukiennice.

- Zdaje mi się, że znasz je też zupełnie dokładnie.

- Ech, prawie wcale, raczej powierzchownie, ale może przejdziemy się przez Floriańską? Tam są takie cudne kapelusze i podobno wspaniałe płaszcze jesienne.

Cudne kapelusze! Płaszcze jesienne!

Panna Janina walczyła bohatersko ze sobą, aby nie zejść z jasno wytkniętej drogi obowiązku pedagogicznego, czyli oglądania zabytków Krakowa. Pokusa była jednak bardzo silna, zwłaszcza że kapelusz panny Janiny wyraźnie prosił o dymisję. Małgosia w lot przeczuła rozterkę duchową opiekunki.

- Podobno, proszę pani, modne są teraz takie małe cylinderki. Pani byłoby bosko w takim fasonie - zaczęła wodzić na pokuszenie wychowawczynię. - No, pójdziemy, pani przymierzy, a my doradzimy.

- Rzeczywiście przydałby się - szepnęła już bezsilnie panna Janina. Zatraciła swoją zwykłą szkolną sztywność i była teraz po prostu młodą, przystojną kobietą, która czuje się nieszczęśliwa w starym, niemodnym kapeluszu.

- Idziemy, tylko prędko - objęła komendę Małgosia. I popędziły wszystkie trzy na Floriańską.

Cóż to za urocza godzina! Panna Janina przymierzała kapelusze odmieniona i wesoła. Dała się wreszcie skusić na małeńkie cudo z jasnopopielatego filcu, z woaleczką koloru różowopopielatego. Koloru mgły jesiennej - jak utrzymywała sentymentalna Marianna. W sąsiednim sklepie, zakupiony został jeszcze uroczy

szalik oraz rękawiczki zamszowe koloru pośredniego między burgundem a wrzosem. Dziewczęta ze zdumieniem i przyjemnością patrzyły teraz na swoją surową zazwyczaj opiekunkę. Taka była ładna i miła, taka strasznie inna, że wierzyć się nie chciało, że to niewzruszona, hieratyczna, pogromczyni sypialni nr 6.

- No, dziewczynki, teraz prędko do autobusu - oświadczyła ta, sprowadzona z drogi obowiązku istota, głosem swobodnym lecz nieco drżącym.

- Zdaje mi się, że już i tak jest za późno - zauważyła raczej radośnie Małgosia, spoglądając na zegarek. - Autobus odjechał przed dziesięcioma minutami.

- Cóż my teraz zrobimy? - jęknęła złamanym głosem posiadaczka nowego kapelusza w kolorze jasnopopielatym z woaleczką koloru mgły jesiennej.

- Może poszłybyśmy do kina na najwcześniejszy seans? - zaproponowała beztrąsko Marianna, bo i jej udzielił się hulaszczy nastrój Małgosi.

- Ale przedtem coś zjemy - upewniła się ta ostatnia. - Najpierw pójdziemy na kawę z ciastkami, a potem na jakiś film.

- Ach, niedobrze się stało - wzdychała tymczasem trapiąca lekkimi wyrzutami sumienia panna Janina. - Pani dyrektorka będzie niespokojna.

- Może zatelefonujemy do Jagodnego, że nam autobus uciekł i dlatego przyjedziemy później - zaproponowały dziewczynki.

To była dobra myśl. Należało tylko zaraz pójść na pocztę, skąd najłatwiej dostaje się połączenie telefoniczne. Podreptały więc w stronę Plant, kiedy nagle na wąskim chodniku zatarasował im drogę jakiś wysoki i tęgi jegomość, który ucieszył się donośnie: - Kogo ja widzę! Czy śnię, czy marzę? Panno Janeczko! to pani? na pewno pani?

Panna Janina spłonęła tak silnie, że jej policzki nabrały barwy najczystszej karminu.

- Ślicznie pani wygląda. Taki jestem strasznie szczęśliwy, że panią widzę - cieszył się tęgi pan.

- Dzień dobry, panie doktorze - wykrztusiła wreszcie panna Janina.

- Ale dlaczego my tu stoimy, wstąpmy gdzieś pogadać, a to pani siostrzyczki?

Małgosia spiesznie uprzedziła pannę Janinę w odpowiedzi. - To my, proszę pani zatelefonujemy i będziemy czekać o szóstej przy autobusie. - I zanim zdumiona i oszołomiona opiekunka zdołała coś powiedzieć, obydwie pupilki zniknęły szybko za rogiem najbliższej przecznicy.

Biegły, jakby je ktoś gonił. Po chwili zwolniły kroku i przystanąły.

- I co teraz będzie? - zatroskała się Marianna.

- Ślub! to jest chciałam powiedzieć, że oni chyba się pobiorą.

- Kto?

- No, panna Janina i doktor Pragłowski. E, ty nic nie wiesz. Ma się rozumieć, że to jeszcze nie w tej chwili, ale pewnie niedługo. Ja wiem od mojej siostry, że doktor to wielka miłość naszej Janinki. Poznałam go z fotografii, bo Lidka miała jakieś wspólne zdjęcie, na którym był i doktor. No, Marianno, kochanie, lećmy na pocztę ratować naszą srogą Janeczkę przed jeszcze większymi wyrzutami sumienia. Uspokoimy ją, że wszystko w porządku i że w Jagodnem nie zamartwiają się o nas. A potem pójdziemy sobie na małą hulankę, czyli na ciastka. Boję się, że do kina już nie zdążymy.

- To ja zjem dwie bezy - oświadczyła zbulwersowana tym wszystkim Marianna - czuję, że tylko bezy są w stanie przywrócić mi równowagę ducha.

Kiedy zaś o szóstej autobus ruszył i siedziały już w nim razem z panną Janiną, Marianna zauważyła, że na kolanach panny Janiny spoczywają trzy wspaniałe pąsowe róże. Spojrzała więc na Małgosię, a ta porozumiewawczo skinęła do niej głową.

ROZDZIAŁ 8 - NIECO O KALORYCZNOŚCI I JASNOWIDZTWIE

Zbliżał się koniec listopada i wykłady z konieczności obejmowały więcej teorii, a zajęcia praktyczne ograniczały się do gotowania, prania, porządków domowych i skróconego kursu szycia i cerowania. Dziewczęta wzdychały z ulgą, wspominając wszystkie uciążliwe “dołowania” i “kopcowania” oraz kiszenie kapusty.

- Nie zamierzam urządzać czegoś podobnego u siebie - zarzekała się Nela, a wytworna Jolanta oświadczyła, że czuje się wprost chora po tak zabójczej pracy.

- Wiadomo, że jesteś h r a b i n i a - mruknęła Małgosia, wywołując tym powiedzeniem wyraźny niesmak zbołej wykwinłnisi.

Marianna godziła je: - No, cicho, cicho! nie awanturujcie się. Przyznajcie, że miło jest tak siedzieć w ciepłym pokoju przy oknie, zupełnie jak na obrazku w dziecinnej książce. Mnie, po tym kiszeniu kapusty, nawet cerowanie pończoch wydaje się uroczym snem.

- Ciekawa jestem, czy w tym uroczym śnie nie zapomniałaś, że dzisiaj jest zadanie z dietetyki - jęknęła Nela. - Bo ja co prawda, nie zapomniałam, ale za to nic nie umiem.

- Ach, głupstwo! - rozpromieniła się Marianna - ostatecznie, znaj moje dobre serce, pomogę ci!

- Więc zaraz, trzeba ułożyć jadłospis dzienny i tygodniowy, uwzględniając dietę dla diabetyków. Okropność!

- Wcale nie okropność. To nawet dosyć ciekawe zadanie.

- Ciekawe? Marianno, kochanie! czy ty aby jesteś normalna? - zaniepokoiła się Nela - bo zdradzasz takie dziwne upodobania.

- Cóż w tym dziwnego? - obruszyła się Małgosia, łapiąc w międzyczasie uciekające oczko w pończosze. - Wyobraź sobie, że Marianna poślubiła na przykład uroczego młodzieńca w wieku raczej dojrzałym. To znaczy, że młodzieniec jest w wieku dojrzałym, a nie nasza Marianna. Otóż ten, powiedzmy już bardzo dojrzały młodzieniec, jest ideałem jej panięńskich marzeń, ale cóż - diabetyk. Czyż wobec tego należy zrezygnować ze szczęścia i odrzucić dłoń diabetyka?

- Nie pleć, Małgosiu - uprzejmie zaproponowała bohaterka ewentualnego romansu z diabetykiem i naraz pisnęła radośnie: - Patrzcie! patrzcie! sroka siadła na płocie!

- ...będą goście nowi! - dokończyła ze zgrozą Nela. - Broń Boże! Zobaczycie,

że gotowa przyjechać ta zapowiadana wizytatorka!

- Nie mów nawet, bo jeszcze wymówisz w złą godzinę - zaprotestowały dziewczęta.

Ale jak się później okazało, protesty nic nie pomogły, gdyż najniespodziewaniej, właśnie podczas godziny dietetyki, dyrektorka weszła do sali wykładowej, prowadząc z honorami starszą, szczupłą panią.

- Pani wizytatorka... - zaczęła okolicznościowe przemówienie pani Hurłowa.

- Kiedyż ona przyjechała? - zdziwiła się Nela, zapominając w tym zdumieniu, że kwestia węglowodanów oraz zawartość tłuszczu w niektórych produktach są to sprawy szczególnie dla niej obce i dalekie. Dopiero pierwsze pytanie, zadane przez wizytatorkę, oprzytomniło ją nieco. Ofiarą ciekawości wizytatorki, dopytującej nieustępliwie o produkty białkowe, padła Jolanta. Odpowiadała blado lecz dystyngowanie. Coś tam wyszczebiotała cichutko o grzybach i mięsie, i zamilkła. Wizytatorka skinęła z kolei na Małgosię. Tym razem chodziło o cukier i Marianna czuła się lekko pomszczona za owe dowcipy o diabetyku. Małgosia jednak zdołała jakoś szczęśliwie przebrnąć przez ogień pytań i już miała właśnie zamiar zabłysnąć dietami cukrowymi, kiedy gość podziękował jej uprzejmie.

- A teraz może coś o kaloryczności!

Wzrok starszej pani błędził po sali.

- Szuka ofiary - szepnęła Aldona, na co Bietka zaczęła dławić się śmiechem. Spojrzenie wizytatorki zatrzymało się na siedzącej obok Marianny Neli. Wyglądała tak drobno i tak dziecinnie, że mimo woli musiała wzbudzić zainteresowanie.

- No, moje dziecko - uśmiechnęła się do niej wizytatorka życzliwie i zachęcająco.

Nela zbladła i zdrętwiała. Już miała podnieść się, by ponieść tę ostateczną klęskę i skompromitować się beznadziejnie, kiedy naraz wstała siedząca obok Marianna. Zaczęła mówić szybko i płynnie - sugestywnie - jak określiła to potem Alda, aby zagadać niebezpieczeństwo. Jasne było, że wizytatorka może w każdej chwili przerwać jej i sprostować pomyłkę, prosząc by usiadła.

- Ach, Marianno! - zachwyciła się później Nela. - To był poemat, to była saga, Iliada i Odyseja w jednym wydaniu, wspaniały hymn na temat diety, potraw mącznych, białka, kalorii i innych okropności.

Zaskoczona wizytatorka, ze zdumieniem uprzejmie słuchała tej zaróżowionej z emocji dziewczynki, zasypującej ją masą wiadomości z zakresu dietetyki. A zanim

zdołała się na dobre zorientować, rozległ się cudny, błogosławiony dzwonek, zwiastujący przerwę.

Dziewczęta odetchnęły.

- Byłaś wspaniała - mówiły potem - otaczając Mariannę, a panna Janina, najniespodziewaniej w świecie uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo. Tak jakoś po koleżeńsku.

- Mądra jest ta nasza Janinka - mruknęła Nela. - Ona wiedziała doskonale, że ja o niczym nie mam pojęcia i że ją skompromituję doszczętnie, zaledwie tylko zablysnę moją pełną wdzięku ignorancją w zakresie kaloryczności produktów mącznych.

- Właściwie Marianna okazała się geniuszem - skostatowała Alda. - Wicie? coś w rodzaju Talleyranda. Szybkość orientacji połączona z krasomówstwem. Ale trzeba przyznać i to, że nasza Janinka też się robi zupełnie miła. Ciekawa jestem, co się jej stało.

- Ja wiem - wyrwała się Małgosia. Ale zgromiona spojrzeniem Marianny, dodała zaraz niewinnie: - Wiem! ale nie powiem!

- Złota, kochana, jedyna - powiedz! - rzuciły się na nią.

- O nie! - wzdrgała się Małgosia - nie mogę za żadne skarby świata. Za nic na świecie nie zdradzę tej najsłodszej tajemnicy. Taka jestem skryta i już!

- Czego to Małgorzata nie chce powiedzieć?

Dziewczęta obejrzały się. Ach, to ta Zula Nikorska z trzeciego kursu. Znów pewnie przyszła do Aldy, żeby ją nudzić o nowy wzór ściegu na drutach. Alda była w tym zakresie bezkonkurencyjną mistrzynią.

- No, więc cóż to Małgorzata jest taka uparta - dopytywała się protekcjonalnie Zula, jak przystało na słuchaczkę trzeciego kursu, zniżając się w przystępie ciekawości do obcowania z pierwszokursistkami. Zresztą nic dziwnego. Wszyscy wiedzieli w Jagodnem, że Zula jest już okropnie stara, bo ma prawie dwadzieścia jeden lat. Poza tym było to zabawne stworzenie, uczesane w tysiąc misternie ułożonych loczków, z których żaden nie śmiał drgnąć. Były na moc przypinane metalowymi spinkami i szpileczkami. Miała przy tym mały, spiczasty nosek, okrągłe policzki i dolną wargę pełniejszą od górnej i troszkę bardziej wysuniętą. - Strasznie pogardliwie wygląda z tą wargą - zauważyła kiedyś Alda, wydziwiając nad urodą Zuli. Wiadomo było poza tym również, że Zula marzy o tym, aby jak najprędzej wyjść za męża, ale nie tak sobie zwyczajnie, tylko koniecznie bardzo bogato. Z autem,

z toaletami z największych firm, z futrami, brylantami itd. Wobec jej zainteresowania się dyskrecją Małgosi, Nela pospieszyła zaznaczyć ze skromną i niewinną miną: - Ach, bo Małgosia już taka jest. Wyobraź sobie, Zuleńko (tu Nela zniżyła głos do tajemniczego szeptu), że ona wprost nadzwyczajnie wróży. Zupełnie bezkonkurencyjnie - dodała, unikając w tej chwili spojrzenia Małgosi, które nie zapowiadało nic dobrego. - Ona jest medium i podobno interesował się nią jakiś profesor. Od czego to był profesor, Aldonko?

- Zdaje mi się, że od psychoanalizy - skromnie wyjaśniła Aldona.

- O, czyżby? - zainteresowała się na dobre Zula.

- Ależ tak! tak na pewno - zapewniała gorąco Nela. - I właśnie prosiliśmy, żeby nam powróżyła, ale ona nie chce. Rozumiesz chyba, jak nam na tym zależy, jeśli ją aż tak zaklinamy.

- Zwłaszcza mnie - szepnęła znacząco Bietka, spuszczać oczy, co kazało domyślać się szczególnie romantycznych przeżyć, w guście zainteresowań Zuli. Wobec tego Zula spojrzała na Małgosię wzrokiem zahipnotyzowanej kury. - Moja złota! Małgorzatko kochanie! Bądź taka miła i powróz mi! Chodzi mi o pewną sprawę. Doprawdy niezmiernie doniosła.

- Jeśli już nam odmawiasz, to zrób to chociaż dla Zuli - poparła ją Nela - zrozum! sprawa niezmiernie doniosła!

- No, zobaczę - zaczęła Małgosia nieco łaskawiej - jeśli będę miała dobrą passę... Zgłoś się dziś do mnie, do sypialni, wiesz, w czasie tej wolnej godziny po kolacji. Tylko przyjdź punktualnie - dodała wyniośle.

- Och, oczywiście że przyjdę. - Zula była przejęta i wzburzona zarazem. - Strasznie ci dziękuję...

- Nie dziękuj! - przerwała surowo i dostojnie Małgosia - bo wróżba może się nie udać. To powoduje interwencję złych mocy.

- Obawiam się, aby złe moce nie przybrały w tym wypadku postaci panny Janiny albo lubej Witaminki - westchnęła po wyjściu Zuli Nela. - Ale ty Małgosiu, kochanie, wymyślisz chyba coś odpowiedniego do wieczora? Ja wiem na pewno, że staniesz na wysokości zadania. Nie gniewaj się, ale Zula jest taka śmieszna.

- Wiesz co? Zdaje mi się, że jesteś troszeczkę, ale to troszeczkę bezczelna. Wpakowałaś mnie w tę historię i teraz jeszcze wymagasz, żebym była genialna.

- Ach, Małgorzatko, godna uwielbienia! - objęła ją wpół Nela - nie gderaj! Wiem, że na początku byłaś na mnie odrobinę zła. Przypuszczam, że miałaś ochotę

zadać mi jakieś uszkodzenie cielesne. Ale potem, przyznaj sama, wobec perspektywy odkrycia słodkich tajemnic romantycznej Zuli, sama nabrałaś na tę imprezę ochoty. Czytam w błękicie twych oczu, że już mi przebaczyłaś. A co do twojej genialności - ja nie wymagam, żebyś była genialna - ty jesteś genialna.

- I jak każdy geniusz, jestem na razie niedoceniona.

- Kupimy ci za to chałwy - pocieszyła ją Marianna, a Bietka dodała zachęcająco - z orzechami!

- Niech już tam będzie - zgodziła się wspaniałomyślnie genialna wróżka, zeskakując z okna, na którym siedziała wbrew regulaminowi.

Czyż należy nawet wspominać o tym, że Zula zapukała do szóstej sypialni prawie natychmiast po dzwonku, na tak zwaną "wolną godzinę"? Przyszła przejęta i podniecona bliską chwilą ujawnienia jej przyszłości!

Wieszczka przyjęła ją dobrotliwie, ale z godnością, jaka przystała osobom jasnowidzącym. - Proszę zostawić trochę wolnego miejsca na środku sypialni! - zaleciła srogo, cisnącym się koleżankom. Potem przez chwilę wpatrywała się w Zulę wzrokiem przejmującym.

- Czy masz przy sobie jakiś metal? - zapytała po chwili.

- Co? co? jak to metal? - zdumiała się Zula.

- Należy wyzbyć się wszelkiego metalu - oświadczyła obojętnie lecz stanowczo Małgosia. - Nie możesz mieć przy sobie nic metalowego.

- Mam przy sobie pieniądze - wyznała pokornie delikwentka.

- Wyjmij je z kieszeni i połóż na stoliku - głos Małgosi brzmiał monotonicznie, nieomal sennie. - Cóż jeszcze masz więcej? Zegarek, pierścionek, wszystko musisz zdiąć.

Zula wykonała spieszenie zlecenie.

- Ach, czuję, że jeszcze nie mogę nawiązać duchowego kontaktu z twoim astralem - szeptała Małgosia, przymykając oczy. - Obawiam się, że coś jeszcze stoi na przeszkodzie. Czy masz na sobie podwiązki ze sprzączkami?

- Mam - wyznała panna Nikorska z zawstyżeniem.

- Zdejm je! - nakazała natchnionym głosem wróżka, zerkając spod przymkniętych powiek na opadające wskutek tego zabiegu pończochy delikwentki.

- Co widzę? - ciągnęła dalej - metalowe klamerki przy pantoflach? Zdejm natychmiast pantofle. Niech któraś pożyczyci jej swoje - zaleciła omdłym szeptem.

Marianna usłużnie podała Zuli swoje, za duże na nią patynki.

- Ooo, jak strasznie trudno, niezwykle trudno, coś jeszcze stoi na przeszkodzie
- mruzczała ponuro jasnowidząca, nagle dodała, jakby w olśnieniu: - Wiem! już wiem!
Masz metalowe spinki we włosach.

Zula bez słowa zaczęła wyciągać metalowe wsówki ze swojej misternej i niepokalanej fryzury. Powoli, zamiast idealnych loczków, miała na głowie jakby szereg sterczących we wszystkie strony sprężynek.

- Wygląda jak pekińczyk - szepnęła Nela do Marianny, a jasnowidząca, do której uszu dobiegł ten szept, opanowała jakieś dziwne krztuszenie, które ją w tej chwili napadło i zaraz zgromiła ją: - Proszę o ciszę! - Potem przysiadła na środku pokoju, a właściwie przykucnęła i z kieszeni wydobyła talię nieprawdopodobnie zatłuszczonych kart. Dzięki swym rozległym kontaktom towarzyskim, zdołała je jeszcze w ostatniej chwili pożyczyć od stajennego Wicka. Normalnie służyły do hazardowej gry w "oko".

Małgosia przysiadła nieco wygodniej na piętach i mrużąc coś pod nosem, rozłożyła karty na trzy kupki. Potem odkryła jedną z nich - na wierzchu leżał as pikowy.

- Zapowiada się niezwykle - oświadczyła, marszcząc w skupieniu brwi - ale musi powstać teraz krąg magiczny. Trzeba, abyś, jak tego chce karta, okrążyła mnie jedenaście razy.

Zula zawahała się, ale Małgosia miała wyraz twarzy surowy i nieodgadniony, więc zaczęła dreptać naokoło. Człapała w za dużych patynkach Marianny, a sprężynki na głowie kiwały się zgodnie w takt kroków. W kącie sypialni ktoś zaczął krztusić się gwałtownie. To Alda! a zaraz potem Bietka i Nela. Istna epidemia.

- Koklusz czy co? - zirytowała się wróżka. - Proszę opuścić pokój, to mi przeszkadza. - I dalej zaczęła coś mamrotać, tasując przy tym zawzięcie karty.

Wreszcie Zula lekko zadyszana przystanąła, pełna błokiego oczekiwania.

- Powiedz mi, kiedy się urodziłaś. Dokładnie: dzień i miesiąc.

- Dwunastego lutego - wyznała trzeciokursistka.

- Dwa razy dwanaście, to będzie dwadzieścia cztery - szepnęła wieszczko Małgosia, a po chwili, rozkładając powtórnie karty, dodała: - Musisz jeszcze dwadzieścia cztery razy okrążyć mnie i karty. Inaczej nic nie będzie ważne.

Zula zawahała się przez chwilę. Ale tylko przez chwilę. Zaraz potem wystartowała do biegu naokoło Małgosi. Człapanie patynek i powiewanie loczków coraz bardziej rozczochranych, świadczyło dodatnio o staranności wykonywania

zlecenia wróżki. Jeszcze cztery okrążenia, jeszcze trzy, jeszcze dwa, jeszcze jedno i nareszcie finisz!

Wtajemniczona i spoufalcona z nadprzyrodzonymi siłami wróżka podniosła się z niewygodnych klęczek, rozcierając zdrętwiałe nogi. Zula stała przed nią i spoglądała wyczekująco. - No i co? - spytała głosem drżącym z niecierpliwości.

- Czy doprawdy mam ci coś powiedzieć o twojej przyszłości?

- Mów, niczego nie ukrywaj! - bohatersko zażądała panna Nikorska.

- Ach, wołałabym nic nie mówić - Małgosia boleśnie ściągnęła brwi.

- Czy czeka mnie coś złego? - zdenerwowała się Zula. - Już lepiej powiedz wszystko. Jestem przygotowana na najgorsze.

- Czyżby? - zdziwiła się uprzejmie wróżka. - W takim razie gotowa jestem wyznać ci prawdę i tylko prawdę. W międzyczasie możesz się ubrać i z powrotem pozapinać swoje sprężynki, to jest loczki.

- Powiedz, błagam, to najważniejsze, czy prędko wyjdę za mąż? - informowała się niecierpliwie delikwentka, zniżając głos.

- Obawiam się, że nieprędko - westchnęła współczująco wieszczka, podając jej uprzejmie spinki i podwiązki.

- Och, może się mylisz? Na pewno się mylisz - zaszczebiotała ze zgrozą Zula.

- Ja się nie mylę - oświadczyła z godnością Małgosia. - Czy mam ci tego dowieść?

- Proszę, bardzo proszę! Nie potrafisz wcale wróżyć i nic nie wiesz!

- Jak to nic nie wiem? Zaraz ci powiem, Zulusiu, czego się dowiedziałam z tej wróżby. Więc po pierwsze dowiedziałam się, kiedy się urodziłaś, po drugie, że masz różowe podwiązki, po trzecie, że do uczesania używasz czternastu spinek, po czwarte - że jesteś strasznie naiwna, jeśli zgadzasz się latać w kółko z rozwiązanymi sprężynkami, to jest przepraszam, loczkami i wierzysz we wróżby.

Naprawdę Marianna odniosła w tej chwili wrażenie, że wszystkie sprężynkowe loczki na głowie Zuli zgodnie podniosły się do góry i zjeżyły się ze zgrozy wobec karygodnego zuchwalstwa Małgosi. W dodatku ostatnim słowem znakomitej wróżki-kabalkarki towarzyszył szatański chichot lokatorek sypialni nr 6.

- Jesteś bezczelna - wyjąkała wzburzona do ostatecznych granic klientka.

- Trudno - westchnęła melancholijnie Małgosia. I nie patrząc już na swoją ofiarę, zabrała się do rozsznurowywania pantofli.

ROZDZIAŁ 9 - NIESPODZIANKI

Marianna uwijała się w kuchni, czerwona od żaru i wzruszenia. Szeleściła białym, uniformowym fartuszkim, budzącym poszanowanie nie tylko rodziny, ale także nawet i samej Teodozji. Teodozja była to osoba nieprzystępna i wymagająca, i normalnie tak zwane wtrącanie się do kuchni przyjmowała z głęboką odrazą, lekceważąc w sposób zupełnie kategoryczny wszelkie nieśmiałe uwagi swoich chlebobawców. Dziś jednak, nie wiadomo, czy ze względu na liryczny nastrój wigilijny, czy też olśniona potęgą wiedzy kulinarnej, roztaczanej przez Mariannę, zachowywała się raczej łagodnie i przystępnie. Zezwalała nawet na wydawanie sobie poleceń i częściowo wypełniała je, choć przypuszczalnie uważała, że to uwłacza jej godności.

- Jeśli włoszczyzna już mięknie, trzeba w ten smak włożyć karpia - komenderowała tymczasem Marianna. - Czy mak już utarty? A migdały sparzone? To kruche ciasto musi przez pół godziny poleżeć za oknem, przynajmniej tam jest należycie zimno.

Ach, miała straszną treść przed tą popisową wigilią w domu rodzinnym. Mama, kochana mama, zaglądała ciągle, ofiarowując swoją pomoc, ale Marianna odpowiadała wesoło, że da sobie radę, a Teodozja popierała ją w tym wypadku i dobrotliwie zalecała pani, aby zajęła się ubieraniem choinki. I żeby czekała na gości. Ci goście to ciotka Natalia z mężem i Sabinką, i ciotka Janina z Waldemarem. Ciotka Helena ze swoimi gwiazdami i wujem Jerzym pojechała na szczęście do Zakopanego na całe święta, więc nie będzie opowiadać o swoich utalentowanych pociechach.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Marianna drgnęła. - Oj, któż tam idzie? Może już ci goście, a tu jeszcze wigilia w lesie! Teodozjo kochana, prędzej trzeba posolić te kawałki ryby do smażenia. Gdzie jest śmietana?

Teodozja ma w tej chwili moment idiosynkrazji do bardziej intensywnej pracy i oświadcza, że sama wie, co należy robić. Ale Marianna, zbrojna w jagodniańskie doświadczenia, ma pod pancierzem nakrochmalonego fartuszka serce nie znające trwogi nawet przed takim smokiem jak Teodozja, która nadeła pogardliwie policzki i zaczyna po swojemu, biodrami i łokciami rozpychać się przy kominie.

Dzwonek na szczęście okazał się fałszywym alarmem. To tylko Wojtek, który wrócił od fryzjera, woniejący niczym drogeria. Historia z damą serca i zamiarami matrymonialnymi skończyła się i Wojtek ostatnio przeżywał stadium szerokich

zainteresowań naukowych, aż do astronomii włącznie. Ku wielkiemu jednak zadowoleniu mamy pozostał nadal niezmiernie elegancki i nawet szorował porządnie paznokcie oraz czyścił ubranie i buty. Teraz zajął na chwilę do kuchni, ale zniechęcony groźnym sapaniem Teodozji, poszedł pomagać mamie przy drzewku.

- Teodozjo! trzeba teraz odstawić karpia, bo się rozgotuje!

- Jeszcze czas - mruknęła stanowczo Teodozja.

Marianna możliwie kategorycznym tonem powtórzyła zlecenie, walcując w międzyczasie kruche ciasto, co jak wiadomo, wymaga szczególnej pieczołowitości. Ale jak przystało na kobietę noszącą wspaniałe imię cesarzowej Bizancjum, Teodozja pozostała nieugięta. Cóż więc pozostało innemu Mariannie, jak porzucić misterne kruche łamańce, które wraz z niezwykle przyprawionym makiem, miały stanowić numer popisowy menu wigilijnego, i co prędzej odstawić płaski rondel z melancholijnie rozgotowanym karpem.

- Proszę tymczasem wstawić blachę z łamańcami do pieca. Tylko na krótko. Niech Teodozja patrzy na zegar! Zupę rybą już sama przyprawię.

Nieszczęsny karp, zanadto rozgotowany, z trudem dał się umieścić na półmisku. Właśnie Marianna w natchnieniu gastronomicznym układała wokoło gwiazdki z marchwi i pietruszki, kiedy poczuła woń spalenizny.

- Łamańce! - krzyknęła dziko i rozpaczliwie, a Teodozja przypomniała sobie, że co? A jakże, są w piecu, są.

- Właśnie czuć, że są w piecu!!!

I chluba pierwszego kursu w Jagodnem otworzyła gwałtownie drzwiczki piekarnika. Na blasze leżały smętne, czarne wiórki, wyjątkowo mało podobne do wymarzonej przez Mariannę wizji złocistorumianych ciasteczek.

Łzy kapwały rześście po rozpalonych od kuchennego ciepła policzkach Marianny. Byłaby w tej chwili nader chętnie, własnoręcznie uśmierciła dostojną Teodozję i nie mogła powstrzymać się od gorzkiej wymówki:

- A przecież wołałam, żeby je prędzej wyjąć z pieca!

Imienniczka cesarzowej bizantyńskiej odwróciła się od stołu i złowrogo spojrzała na młodocianą mistrzynię sztuki kulinarnej. Była oburzona. Zaznaczyła też od razu, że nie lubi, jak ją ktoś pogania, bo ona sama wie, co ma robić.

- Ach, tak! - zirytowała się Marianna - to proszę, niech Teodozja w ogóle się dzisiaj nie fatyguje. Proszę do niczego się nie dotykać, bo właśnie Teodozja nie wie, co ma robić!

Słusznie zauważył jakiś myśliciel, że kobiety są to istoty nieodgadnione. Bo któż by się spodziewał, że to zuchwałe przemówienie dotrze do uszu wspaniałej Teodozji i rozbudzi jej zawodowe ambicje? Biegała teraz po kuchni, niczym zdenerwowany hipopotam i w milczeniu smażyła rybę i pilnowała gotujących się klusek. Tymczasem Marianna, wymijając zręcznie bujne kształty pomocnicy, krzątała się przy robieniu nowych ciasteczek, a w międzyczasie przyprawiała smak do galarety.

- Niech panienka spróbuje, czy ten sos chrzanowy jest dobry - zaproponowała w pewnej chwili jeszcze dosyć ponuro Teodozja, a Marianna doceniając ten dyplomatyczny krok, stwierdziła z przyjemnością, że sos jest nie tylko dobry, ale wprost pyszny, i w ten sposób, przy wzajemnej wymianie uprzejmości i komplementów, na nowo został nawiązany kontakt towarzyski, co wpłynęło dodatnio na wzmożenie tempa pracy Teodozji. Można było teraz pogodnie odnosić się do dzwonek zwiastujących gości. Przychodzili już kolejno, witani w przedpokoju przez Wojtka i tatka. Więc słychać było wysoki, dystygowanie zakatarzony głos ciotki Natalii, radosny i wylewny bas wuja Ksawerego na zmianę z niskim, zachrypniętym altem ciotki Janiny i trochę kogucim barytonem Waldka. W pewnej chwili mama zajrzała nieśmiało do kuchni. - Kiedy kochanie, można będzie podawać?

- Za chwilę, mamó - powiedziała Marianna, cokolwiek ważna. Bądź co bądź zdołała przygotować całą elegancką wigilię, a w dodatku w międzyczasie poskromiła Teodozję. To chyba też się liczy!

Teraz jeszcze należało sprawdzić, czy nakrycie jest w porządku. - Acha! i proszę, niech Teodozja galaretę z ryb wyniesie do spiżarni, to prędzej skrzepnie.

Tresowany hipopotam o bizantyńskim imieniu wykonał dość opieszale zlecenie. - Zastygnie, zastygnie i tak - zapewniała, ale że już zaczynała być w podniosłym nastroju wigilijnym, więc bardziej była skłonna do chrześcijańskiej pokory i pozwalała sobą komenderować.

No tak! Stół zasługiwał na pierwszą nagrodę. Jagodne mogło się nie wstydzić swojej pupilki. Biel obrusa, lśnienie porcelany, iskierki światła, załamujące się w kryształowych kieliszkach, a między tym gałązki świerczyny i jemioly, przewiązanej kokardkami ze srebrnej wstążki. Aż przykro było, że pani Hurłowa nie może ocenić tego popisowego numeru.

Na wyraźne i ogólne życzenie gości i rodziny, Marianna wystąpiła w swoim najelegantszym, reprezentacyjnym fartuszk i wigilia się zaczęła. Było to coś w

rodzaju debiutu młodocianej primadonny. Uwertura w postaci sałatki rybnej i śledzików przyprawianych w sposób skomplikowany a tajemniczy, przyjęta została przez publiczność życzliwie. Goście uśmiechali się zachęcająco i przetykali zakąski, dodając odwagi ich autorce okrzykami: - Doskonała sałatka! proszę mi jeszcze trochę nałożyć!

Zupa rybna z kluseczkami, był to niejako duet w wykonaniu: Marianna-Teodozja. Uwagi wypadły pochlebnie, a nawet wuj Ksawery orzekł, że jeszcze nigdy nie jadł tak smacznej zupy. Wojtek, jako że nie chciał być posądzony o zbyt stronnicze popieranie siostry, w milczeniu składał hołd jej talentom, zjadając drugą porcję powyższego arcydzieła.

Teraz z kolei miała nastąpić wielka popisowa aria! - galareta rybna z czerwonym winem. Debiutantka sama podniosła się od stołu, aby przynieść ze spiżarni dzieło swego kulinarnego natchnienia. Na wszelki wypadek wołała sprawdzić, czy aby zakrzepło należycie. Pobiegła więc szybko przez kuchnię, wymijając szczęśliwie Teodozję, która też podniosła się od stołu wigilijnego, aby przynieść sosy i wpadła na mały przedkuchenny ganeczek, gdzie mieściła się spiżarnia. Nie było tam oświetlenia, gdyż wieczorem wystarczał blask padający z sąsiedniego okna. Zbliżając się do drzwi spiżarni, Marianna zatrzymała się na chwilę. Wydało się jej, że słyszy jakiś ponury i złowieszczy jęk. Jęk się powtórzył i można było śmiało przypuszczać, że to jakaś pokutująca dusza, w braku lepszego zajęcia, skraca sobie w ten sposób czas pokuty. Chłuba pierwszego kursu w Jagodnem nie ulękła się jednak byle jakich jęków i śmiało ruszyła dalej. Ale tajemniczy jęk powtórzył się jakby wyraźniej. Przypominał wycie wichru w ponury dzień jesienny. A co ciekawsze, chwilami był to dwugłos, który zresztą dla urozmaicenia, przechodził od czasu do czasu w żalosne zawodzenie, nieomal dziecięce kwilenie.

Ach, śmieszne, żeby przejmować się takimi odgłosami - skarciła się surowo dzielna prymuska pierwszego kursu. Podeszła do drzwiczek spiżarni i otworzyła je śmiało. W tymże momencie śmignął jej pod nogami jakiś smukły kształt. Kształt uciekał szybko i zwiernie.

- A psik! - zawołała pogodnie Marianna i wyciągnęła rękę po półmisek z galaretą rybną, z galaretą w czerwonym winie, majstersztykiem sztuki kulinarnej. Ruchowi temu zawtórowało nowe, tragiczne wycie. Tym razem dochodziło ono wyraźnie z półmiska. Marianna speszyła się nieco, gdyż jak wiadomo, ryby nie wydają z siebie głosu. Nawet ryby w galarecie. Otworzyła szerzej drzwiczki i wtedy,

w blasku padającym od oświetlonego okna zobaczyła, że na półmisku, wśród niedogryzionych resztek, siedział wspaniały rudy kocur, dławiąc się ością.

- Podły! - krzyknęła dramatycznie, co jednak kocur, który właśnie zdołał przełknąć dławiacą go ość, przyjął z cynicznym spokojem.

Jasne jest, że cały zbiorowy wysiłek rodziny został przez resztę wieczoru skierowany ku pocieszeniu ofiary kocich złodziejstw. Poniektóre podarki zdołały zresztą otrzeć łzy nieszczęśliwej debutantki. Na przykład taki cudny, malusieńki zegareczek na bransoletce! - to od ojca. Albo piękny, granatowy materiał na suknię - to od mamy. Lub tuzin ślicznych chusteczek od ciotki Janiny albo perfumy od Waldka. A znów Wojtek też wspaniale wystąpił, ofiarowując jej przemiałe rękawice na futerku.

Na tenże właśnie zegareczek od tatka spogląda teraz Marianna, wracając z ferii świątecznych. Jest czwarta. Za pół godziny trzeba będzie wysiadać. Ucieszyła się. - Strasznie polubiła Jagodne.

Na stacji - niespodzianka! Małgosia i Nela!

Czekały na nią. Przyjechały same do Jagodnego rano, więc teraz pani Hurłowa pozwoliła im wybrać się po Mariannę saniami.

- Na podrzutki, w razie gdybyś ich ze sobą przywiozła większą ilość, jest specjalnie zarezerwowane miejsce w sankach - zapewniła ją uprzejmie Nela.

- Boże! zobaczę Kleksika - ucieszyła się Marianna, wspaniałomyślnie wybacząc złośliwą uwagę. - Przywiozłam mu z Warszawy taką gumową piszczącą laleczkę. I opowiadajcie zaraz, co robiłyście przez święta!

- No cóż? w dniu wigilijnym, nie chcąc uchylać się od tradycji, bo ja szanuję tradycje, przyjmowałam łaskawie podarki - westchnęła męczeńsko Nela. I naraz aż podskoczyła w saniach: - Marianno, kochanie! ty jeszcze nie znasz najważniejszej nowiny! Co ty wiesz wobec tego! Więc wyobraź sobie, że mamy nową koleżankę.

- Niemożliwe! - zdumiała się Marianna.

- I jaką jeszcze - westchnęła z zachwytem Małgosia. - Jest zupełnie niezwykła. Zresztą sama ją zobaczysz.

- A w której sypialni ją pani Hurłowa umieściła?

- Jak to w której? w naszej! I ma na imię Izabella. Ale mniejsza o to. Chodzi o coś zupełnie innego. Czy ty wiesz, że ona nosi na szyi jakiś kluczyk? Nie mam na razie odwagi zapytać jej, od czego on jest. Chyba nie od walizki!

- Nie, nie od walizki - zapewniła Nela. - On jest taki trochę dziwaczny. Może

to jest taki klucz, co to się rzuca w morze, niby od serc złączonych, czy coś takiego.

- Nie pleć, Nelusiu - łagodnie zaproponowała Małgosia, ale Nela uparła się.

- Zobaczysz, że ja mam rację.

I w tej chwili właśnie zajechały przed ganek, na którym stała panna Mirka z Kleksikiem na ręku.

- Kochanie moje! - zawołała Marianna, wyskakując z sań.

ROZDZIAŁ 10 - KLUCZYK

Łóżko Neli powędrowało bardziej w stronę okna, a łóżko Bietki przysunięto bliżej drzwi i w środku osiadła Izabella. Osiadła - to najważniejsze określenie, ze względu na rozmiary i wagę Izabelli - zauważyła Nela, a Bietka przysięgała na wszystko, że widziała na własne oczy, jak siatka łóżka Izabelli ugięła się pod jej ciężarem tak, że sięgała prawie do podłogi.

- Coś w rodzaju hamaka - dodała ze zgrozą.

Marianna, istota na ogół o miękkim sercu, czuła się w obowiązku sprostować tę informację: - Nie, siatka nie wyciąga się wcale aż do samej podłogi, nie oczerniajcie znów aż tak Izabelli!

- Dobrze, kochanie - zgodziła się Bietka - jestem gotowa na drzwiach sypialni umieścić sprostowanie: Nieprawdą jest, iż siatka w łóżku koleżanki Czumerówny sięga aż do samej podłogi, natomiast prawdą jest, że odległość ta wynosi 10 cm.

- Przypuszczam, że więcej.

- Marianno, nie bądź małostkowa! - zgromiła ją Małgosia. - Właściwie najlepiej byłoby w czasie niewinnego snu dziewczęcia zmierzyć tę odległość, aby zaspokoić twoje poczucie sprawiedliwości. Kto się tego podejmie?

- Ja - zgłosiła się ochoczo Nela - szalenie lubię tego rodzaju zajęcia.

Wczołgam się pod łóżko, i jak zawsze nieustraszona, dokonam pomiarów. Przypuszczam, że w tym momencie siatka nie zerwie się i ujdę cało.

- Ma się rozumieć, że nic ci się nie stanie - zlekceważyła tę ofertę Małgosia. - Nie przeceniaj swojego bohaterstwa. Ona waży zaledwie siedemdziesiąt sześć kilo i najwyżej trochę by cię przydusiła.

- Skąd wiesz, że siedemdziesiąt sześć? - zainteresowała się Marianna. Sprawa wagi miała dla niej zawsze niepokojący urok.

- Nie przejmuj się, kochanie - chytrze uspokajała ją Małgorzatka. - Brakuje ci do tego jeszcze całe szesnaście kilo. A wiem stąd, że byłam strasznie niedyskretna i niechcący, prawie zupełnie niechcący, rzuciłam okiem na kwestionariusze badań lekarskich, leżące niedbale na biurku pani Nadolskiej. Stamtąd dowiedziałam się również, że nasza Izabelcia jest zdrowa, jak trzy rydze razem wzięte.

W tej chwili, jakby na potwierdzenie relacji Małgosi, skrzypnęły drzwi sypialni i stanęła w nich nowa pupilka szkoły w Jagodnem. Tak, pani doktor Nadolska nie omyliła się, zapisując wagę: 76 kg.

- Witaj, Izabello Aragońska! - ucieszyła się na jej widok Bietka.
- Co to znaczy? - zapytała niespokojnie nowo przybyła.
- Ach, to zwykła uprzejmość towarzyska. Zawsze witamy się w ten sposób -
zapewniła ją Nela.

Izabella, uspokojona uśmiechnęła się, ukazując wspaniałe, trochę zbyt duże zęby. Okrągłe i bardzo czerwone policzki zabawnie przy tym podniosły się do góry, tak że nieduże i mocno niebieskie oczy zamieniły się w wąskie szparki.

- Już trzeba słać łóżka - oznajmiła swoim dziwnym, twardym akcentem z okolic Wolsztyna. Była bardzo skrupulatna i pilnie stosowała się do regulaminu. Układała więc teraz starannie poduszkę, obciągała i wygładzała prześcieradło, przyklepywała kołdrę. Wzdychając melancholijnie, rozpamiętywała zalety ukochanej pierzynki, którą musiała zostawić w domu, bo w Jagodnem uczennice otrzymywały pościel internatową.

- A to co? plasterek i tyle! - zakończyła swoje wspomnienia pierzynowe, pełna pogardy dla różowej kołderki. - Ani to ciepłe, ani łóżko z tym ładnie wygląda. Zupełnie jak w szpitalu. Żeby to moja mama widziała, to chyba by się rozplakała z żalu nade mną.

- Naprawdę? - Nela zainteresowała się uczuciową stroną życia rodziny Czumerów. - Twoja mama chyba cię bardzo kocha.

- No - ucięła krótko wszelkie wątpliwości na ten temat Izabella. Ma się rozumieć, że ją mama kocha. Ale swoją drogą brata chyba więcej, bo to zawsze chłopak! I on dostanie po rodzicach młyn, a Izabella dostanie w posagu tylko dom i wyprawę, no i trochę pieniędzy. Wyprawa, oczywiście elegancka. Umeblowanie do trzech pokoi i kuchni. Wszystko, co potrzeba. Bielizna już się szyje, pościelowa prawie gotowa. Piękne wszystko. Serwety na stół także. Haftowane i richelieu, i angielski haft, i mereżki. A jedna serweta jest szczególnie piękna: w złote kłosa, maki i chabry. Poza tym chrzestna matka Izabelli, bardzo światowa kobieta, obiecała jej na ślubny prezent fortepian.

- Dobrze grasz? - zainteresowała się Bietka. Sama była bardzo muzykalna i dawała się nieraz namawiać na małe koncerty. Grała im wtedy wszystko, czego zażądały, poczynając od Bacha, a kończąc na modnych tangach.

Ale Izabella wzruszyła ramionami na to pytanie. Nie, nie ma czasu na naukę czegoś takiego. Ale chyba w porządnym domu musi być fortepian, nie? I zabrała się do czesania na noc swoich dużych, gęstych włosów, żółtych niczym upierzenie

świeżo wylęgłego kaczęcia. Uczesanieienne, które w tej chwili zniweczyła, było wysoce oryginalne i stanowiło prawdziwą sensację Jagodnego w pierwszym dniu przybycia Izabelli. Wszystkie dziewczęta podziwiałały tę monumentalną konstrukcję zwijanych na papiloty loków z dodaniem drobno karbowanej grzywki.

W tej chwili z wielkim trudem rozczesywała poszczególne pasma i zawijała je na blaszane maszynki.

- Po co się tak męczysz? - zagadnęła ją ze współczuciem Marianna. - Myślę, że byłoby ci bardzo ładnie w innym uczesaniu. Spróbuj zrobić rozdziałek na boku, zapleść warkocze i upiąć je w koszyczek.

Ale Izabella była nieugięta i raczej czuła się dotknięta tego rodzaju propozycją. Ostatecznie, była najlepszą partią w rodzinnym miasteczku i nikt nigdy dotychczas nie wątpił o jej elegancji. A uczesanie takie, na permanentkę, zrobił jej nie kto inny, tylko pan Zenon, ten sam, który miał salon w Rynku z szyldem: "Coiffeur pour les dames" - Salon Warszawski.

Zrobiło się już późno i dziewczęta krzątały się teraz spieszenie przy śłaniu łóżek i wieczornym myciu. Marianna i Małgosia zdołały chytrym podstępem zdobyć miejsca w umywalni, Nela tymczasem szorowała zawzięcie szczoteczką swoje drobne ząbki. Pokrzykiwała właśnie do Małgosi, żeby zostawiła jej mydło, kiedy do łazienki wkroczyła Izabella. Wyglądała wręcz imponująco w luźnym, bardzo kolorowym szlafroku z bai. W ręku trzymała ręcznik, na którym czerwonym jedwabiem było wyszyte: "Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

W oczach Małgosi zajaśniały szatańskie błyski. - O, przedstawiasz się wspaniale - zachwyciła się z niewinną miną, podziwiając egzotyczny deseń na szlafroku. - Zdaje mi się, że już gdzieś widziałam coś takiego. Zaraz, zaraz, gdzież to było...

- Przypomnę ci - podchwyciła z podejrzaną uprzejmością Nela. - Pamiętasz, jak tu parę dni temu chłopcy przyszli z szopką?

- No, naturalnie - Herod, ma się rozumieć.

Majestatyczna Izabella zaniepokoiła się poważnie. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja jestem Herod?

- Skądże znowu? - zaprzeczyła grzecznie Małgorzatka. - Raczej miałam na myśli bogactwo twojej szaty. Ale widzę, że omyliłaś się i wzięłaś nieodpowiedni ręcznik. Tego rodzaju wyszycia wypada mieć tylko na ręcznikach używanych rano.

- Naprawdę? - Izabella stała zdezorientowana.

- Ma się rozumieć. Ja na przykład mam zamiar wyszyć sobie takie wieczorne hasło: "Życie jest snem", do tego ścieg łańcuszkowy. Bardzo gustowne, prawda Neluś?

Niestety, Nela nie mogła w tej chwili udzielić swojej cennej rady, gdyż dostała ataku dziwnego kaszlu.

- Natomiast na rano - ciągnęła dalej rozmarzonym głosem spokojna jak głąz Małgosia - bardzo ładne byłoby wyszyte krzyżykami takie zdanie: "Gdyby rannym słońkiem, wzlecieć mi skowronkiem".

- Zdaje mi się, że Małgorzatka jest dziś szczególnie elokwentna - zabrzmiał w tej chwili głos panny Janiny.

- Takie aktualne sprawy, proszę pani!

Ale panna Janina, nie doceniając poczucia aktualności u swoich pupilek, zaczęła je zaraz popędzać. - Co to? sypialnia szósta jeszcze nie gotowa do spania? Proszę się pospieszyć! Marianna już umyta? to dlaczego jeszcze tu, a nie w łóżku? Gdzie Bietka? Nela, Małgosia, prędzej! Iza na co czeka?

- Pewnie na męża! - mruknęła po cichutku Nela, na co Marianna i Bietka zaczęły dusić się ze śmiechu i pobiegły pędem do łóżek. Mijając przebijającą się w nocną koszulę Izabellę, dostrzegły wiszący na jej szyi tajemniczy kluczyk. Miały wielką ochotę zapytać ją zaraz o zastosowanie tego arcydzieła sztuki ślusarskiej, kiedy znów przeszkodziła im panna Janina. Chodziła po sypialni i z talentem jasnowidzącej przeprowadzała inspekcję. - Dlaczego Jolanta położyła się spać nie umyta? Proszę zaraz pójść do łazienki. Nela! naturalnie, guziki przy poszewce poobrywane! Należałoby przypuszczać, że używasz poduszki do rzucania nią w koleżanki. Marianna, no Marianna, jeszcze jako tako w porządku, ale Bietka! Któż przechowuje podarte pończochy pod poduszką? Albo Małgosia!...

Ach, strasznie dużo miałaby panna Janina do zarzucenia Małgosi. Bo czy można tolerować nieprzepisowe posłanie łóżka, jak również porzucane części garderoby leżące w nieładzie, gdzie popadnie. Nie, nie można tolerować. Panna Janina zmarszczyła srogo swoje ładne brwi i stanęła przy łóżku winowajczyni. Ale winowajczyni zasnęła widać przed chwilą snem tak mocnym, że prawie kataleptycznym i panna Janina, westchnąwszy ciężko, zrezygnowała z poskramiania pupilki. Wygłosiła więc tylko jeszcze małe przemówienie o porządku i życząc lokatorom sypialni nr 6 dobrej nocy, powędrowała do swojego pokoju.

- Poszła już? - zapytała w chwilę potem Małgosia, budząc się gwałtownie ze

swego letargicznego snu.

- Poszła - zakomunikowała na wszelki wypadek szeptem Marianna.

Małgosia usiadła na łóżku. Kluczyk zawieszony na szyi żeńskiej odnogi rodu Czumerów, nie dawał jej spokoju. - Izabello! - zawołała zciszonego głosem - Izabello!
- Ale od strony łóżka Izabelli dobiegło ją tylko melodyjne chrapanie, można by powiedzieć, zbyt basowe, jak na dziewczęce możliwości.

Nazajutrz, gdy zeszły na śniadanie, czekała je niespodzianka. Z wielkiej sali jadalnej zniknęły stoły i krzesła, a stajenny Wicek i chłopiec od ogrodnika, w pocie czoła froterowali posadzkę. Właściwie froterował ten mały ogrodnik, a Wicek stał nad nim i pokrzykiwał ponuro i rytmicznie, zupełnie jakby sam co najmniej wydobywał spod posadzki złomy granitu.

- Hoooo-o! Hoooo-o!

- Co to? gdzie będziemy jeść śniadanie? - zdziwiły się wychowanki panny Janiny.

- W drugim skrzydle, w sali wykładowej - powiedziała wesoło panna Mirka, która właśnie nadeszła.

- A dlaczego nie tu?

- Bo tu będzie bal, doroczny bal, moje małe.

- Ach, to cudownie - ucieszyła się Jolanta. - Nareszcie coś ludzkiego tu wymyślili. Dobrze się składa, bo mam akurat wspaniałą toaletę...

- Strasznie mi smutno, Jolanto, że muszę cię zmartwić - przerwała panna Mirka - ale to jest bal tylko dla dwóch starszych kursów. Taki już jest obyczaj w Jagodnem, że najmłodsze dziewczynki nie biorą udziału w balu.

- Tak, prawda, zawsze tak było - przytaknęła Małgosia. - Słyszałam już o tym od mojej siostry. Ona też rozpacziała, kiedy nie mogła pójść.

- Ale chyba według corocznego zwyczaju, nie odmówicie swojej pomocy przy urządzaniu zabawy, prawda, dziewczynki? Trzeba będzie pomóc przy dekoracji sali, no i przy robieniu kolacji. Trochę przy pieczeniu ciast.

- Bardzo chętnie - ofiarowała się Marianna, zawsze skora do wszelkich kuchennych zajęć - to będzie doskonała praktyka.

- No, widzicie, ja też razem z wami będę pomagała - obiecała panna Mirka.

- To straszne - jęknęła Jolanta - pomagać, a nie być na zabawie.

- Rzeczywiście, straszne - podchwyciła ze zgrozą Małgosia. - Ale chyba jakoś to przeżyjemy, co, dziewczynki?

- Naturalnie - piekliła się dalej Jolanta. - Tobie jest wszystko jedno, twój umysł jest akurat na poziomie czwartej klasy powszechniaka, ale ja? ja przywykłam, moja droga, do kulturalnego trybu życia i do kulturalnych rozrywek...

- Czyżby? - zdziwiła się Małgosia. - Właściwie w takim razie warto by się zastanowić, czy w Jagodnem mają prawo pozbawiać nas ostatnich zdobyczy kultury.

- No, panienki, panienki - poganiała je panna Mirka, która znów zajrzała do jadalni - przejdźcie do tamtej sali i jedzcie szybko.

- Jest to cudna taftowa krynolina - biadała dalej Jolanta między jednym łykiem kawy a drugim - i pomyśleć, że jeśli nie uda mi się wyrwać stąd bodaj na jeden bal do Krakowa, to suknia będzie zupełnie zmarnowana.

- Potworne - mruknęła Nela współczująco. - Ja bym na twoim miejscu nie przeżyła czegoś podobnego. Zmarnowana krynolina! Jeśli masz zamiar popełnić samobójstwo, zasięgnij przedtem mojej rady. Zalecałabym ci utopienie się. Jest to samobójstwo nie kosztowne, poza tym bardzo higieniczne, bo przy okazji kąpiel, a ponadto wypróbowane już przez Ofelię...

- Nie, Nelu, nie - zaprotestowała Alda. - Ja bym raczej odradzała samobójstwo. Może, Joleczko, udałoby ci się wystąpić w masce jako tajemnicza piękność. Wyobraź sobie, co za efekt! Zostajesz królową balu, wszyscy błagają cię o zdjęcie maseczki, a ty jesteś nieubłagana. Dopiero doktor Gruszka, w eleganckim fraku, zdoła dzięki swemu czarowi przełamać twój upór. Wtedy...

- Żarty nie na miejscu! - obraziła się Jolanta swoim zwyczajem. - Doprawdy, chyba zadeszuję do mamy. Może mama będzie mogła wpłynąć na dyrektorkę przez pewnego bardzo wpływowego znajomego.

- Och, jeden wpływowy znajomy to za mało, kochanie - potrząsnęła głową Małgosia. - Ty wiesz, jaka pani Hurlowa jest nieugięta. Myślę, że tu musiałoby interweniować kilku bardzo wpływowych znajomych, a może nawet najskuteczniejsze byłoby postanowienie Rady Ministrów. Taki dekret o balach dla pierwszego kursu. Ewentualnie interwencja premiera...

- Naprawdę? - ucieszyła się Jolanta, ale patrząc na podejrzenie skromną minę Małgosi, wzruszyła pogardliwie ramionami. - Cóż za okropnie niewyrobiony towarzysko element przyjmują do tej szkoły. - I wstała od stołu, pełna oburzenia, a także niezmiernie dystygowana.

Ale nikt się nie przejmował wytwornymi zmartwieniami Jolanty, bo właśnie panna Janina przyszła powiedzieć, że trochę zmieniono plan wykładów i zajęć, i że

teraz zamiast dietyki będzie godzina szycia i reperacji.

- Czy to z powodu balu są takie zmiany? - dopytywała się Bietka.

- Poniekąd tak - przytaknęła panna Janina. Była w doskonałym humorze i zapowiedziała jeszcze raz, że jutro są proszone o pomoc w przygotowaniach balowych. - Będzie to rodzaj egzaminu dla was.

- Ale na bal i tak nie pójdziemy - westchnęła leciutko Alda, kiedy zabierały się do szycia w sali robót ręcznych.

- Nie narzekaj! chyba że też masz zamiar apelować do premiera - dogadywała Nela, sadwiąc się na swoim ulubionym miejscu przy oknie. Na kolanach miała stos pończoch, przeznaczonych do cerowania i perspektywa zacerowania nawet największych dziur wydała się jej radosną okazją wobec odwołania wykładu dietyki.

- Naturalnie! wcale nie ma powodu do rozpacz! - poparła ją Małgosia. - Trudno, każdy pierwszy kurs musi przejść przez ten przykry moment. Za to na przyszły rok, my będziemy już szaleć, a jakieś inne, młodociane ofiary, będą nam zazdrościć. Swoją drogą będziemy już wtedy okropnie stare. Ja będę miała prawie siedemnaście lat, Marianna to samo, Alda jeszcze starsza, bo siedemnaście skończone. Jolanta - prawie osiemnaście. Tylko Nela będzie jeszcze niedorośła - bo zaledwie szesnaście. Boję się bardzo, że dyrektorka i na przyszły rok nie pozwoli ci jeszcze, Nelusiu, balować. Co najwyżej będziesz mogła podziwiać z Galerii Pocieszenia nasze sukcesy towarzyskie.

- Boże, to będzie cudnie. Ja już teraz wyobrażam sobie, jakie to będzie wspaniałe. Ciekawa jestem szalenie, kto by się lepiej bawił - ja na górze, czy wy na dole? Ale nie bój się, Małgorzato godna uwielbienia, nie będę siedziała na górze.

Marianna miała właśnie zamiar wypytać nieco dokładniej o ową Galerię Pocieszenia, kiedy zbliżyła się do nich Izabella. Powitały ją owacyjnie, a Nela ustąpiła jej nawet swoje miejsce, przysiadając się do Marianny.

- Tylko, panienki, nie rozmawiajcie za głośno - prosiła panna Mirka.

Izabella tymczasem zasiadła z godnością i zaczęła rozkładać swoje szycie. Nie miała właściwie chwilowo nic do naprawienia ani do uszycia, przyniosła tylko do wykończenia swoje robótki, jak się wyraziła. Oglądały więc dzięki temu i podziwiały wspaniałą poduszkę, na której kwitły różowe słoneczniki z fioletowymi listkami, oraz serwetę z misternym haftem z zachęcającym napisem: Smacznego!

- Śliczne! - zachwycła się z zimną krwią Małgosia. - Czy to na prezent, czy

też na wyprawę dla ciebie?

Mocno różowe policzki posażnej jedynaczki przybrały w tej chwili barwę nieomal karminową, a jasne rzęsy zabawnie małych niebieskich oczu, zatrzepotały wstydliwie: - Prezent!

- Dla niego, prawda? - szepnęła demonicznie i porozumiewawczo Małgosia, co sprowokowało splonioną Izabellę do dalszych, już bardziej szczegółowych zwierzeń. Prezent przeznaczony był na imieniny. - Szczepan mu na imię - wyznała rozmarzona Izabella.

- Piękne imię - westchnęła Nela. - Takie zdecydowanie męskie. Zawsze chciałam poznać jakiegoś Szczepana.

- Nie przeszkadzaj! - syknęła zirytowana Małgosia, zazdrosna o swoje stanowisko zaufanej powiernicy - no i co dalej, Izabello szlachetna?

Więc dalej okazało się, że Szczepan jest uroczy. I nie tylko uroczy, ale także i bardzo elegancki. I że latem nosi białe spodnie i granatową marynarkę, co jak wiadomo jest szczególnie wytworne. Ponadto ma małe, jasne, krótko przystrzyżone wąsiki oraz rozkosznie kędzierzawe włosy, które zaczesuje z przedziałkiem.

- Przedziałek z lewej, czy z prawej strony? - zapytała rzeczowo Małgosia.

Izabella przypominała sobie gwałtownie, że zmarszczonymi brwiami - z lewej!

- To dobrze! A czy pisuje do ciebie? - Nie, nie pisuje - wyznanie brzmiało bardzo żałośnie.

- Nie pisuje? - zdziwiła się niemile powiernica - a ja przypuszczałam, że właśnie ten kluczyk, który nosisz na szyi, to kluczyk od skrzyneczki na korespondencję.

- Eee, nie - zaprzeczyła dość apatycznie Izabella - to przecież kluczyk od chrztu.

- Oood chrztuuuu?!!! - wyjąkała zdumiona niepomiernie Małgosia. Była tak zaskoczona tym nieoczekiwanym wyznaniem, brzmiącym dziwacznie i tajemniczo, że w pierwszej chwili nie mogła zdobyć się na wydostanie od Izabelli jakichkolwiek wyjaśnień, a kiedy już ochłonęła nieco, było za późno niestety na rozmowę, bo panna Janina stała nad nimi i popędzała, aby prędzej szły na pierwszy w tym roku wykład o leczeniu zwierząt domowych. Był to wykład, który zarówno ze względu na przedmiot jak i wykładowcę, stanowił, jak się kiedyś wyraziła sama Małgosia - atrakcję sezonu. Ale czy Małgorzatka słyszała w tej chwili choć jedno słowo z sugestywnej prelekcji o

konieczności posiadania w apteczkach domowych xeroformu i siarki? Czy dotarł do jej świadomości doniosły fakt, że tego właśnie dnia, bardzo przystojny doktor Gruszka (nosił piękne imię Jerzy) jest ubrany w nowiuteńki granatowy garnitur, a także granatowy w czerwone ciałeczki krawat?

- Może ty się źle czujesz? przyznaj się - dopytywała się Nela, zaniepokojona chorobliwym zamyśleniem Małgosi.

- Skądże znowu? - broniła się powiernica Izabelli słabym głosem - daj mi spokój. Mam w tej chwili zupełnie inne zainteresowania, niż xeroform czy kurze cierpienia.

- Niemożliwe, Małgosiu! - zgorszyła się Marianna.

Ale Małgosia machnęła lekceważąco ręką, co miało obrazować jej stanowisko wobec wszelkich innych spraw, poza sprawą kluczyka Izabelli. I już do końca dnia chodziła jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać rozmarzonego wzroku od postaci jego posiadaczki. Był to zresztą dzień najzupełniej pechowy, cały tak szczelnie wypełniony zajęciami, że umierająca z ciekawości Małgosia nie miała doprawdy ani jednej chwili spokojnej, aby móc dokładnie wypytać Izabellę. Dopiero wieczorem, kiedy panna Janina po zwykłym wyrecytowaniu obowiązkowych upomnień, przeznaczonych dla sypialni szóstej, opuściła salę, można było jednym tygrysim skokiem dopaść do łóżka Izabelli i wreszcie wydrzeć jej tę tajemnicę.

Oczywiście można było. Ale nic z tego! Wierna swoim obyczajom Izabella pochrapywała już moderato i gracioso, jak to określiła Bietka, jako biegły muzykolog.

Ale za to nazajutrz rano... Ach, mój Boże! otwierająca leniwie prawe oko Małgosia, rozmarzona jeszcze snem, zauważyła nagle coś, co ją gwałtownie poderwało z pościeli. Bo ni mniej, ni więcej, tylko Izabellę, ściągającą z szyi łańcuszek ze sławetnym kluczykiem. Już miała zamiar zawołać na nią, ale to, co ujrzała, było tak niezwykle, że znieruchomiała ze zdumienia.

Izabella, z głową najeżoną maszynkami do loczków siedziała teraz po turecku na łóżku i trzymając kluczyk, wyciągała ze swojej szuflady duży album w zielonej, pluszowej oprawie. Małgosia i Nela zauważyły go już kiedyś i przypuszczały, że jest to zbiór fotografii rodzinnych. Miały nawet zamiar prosić o pokazanie im zawartości, ale jakoś zapomniały. A tymczasem Izabella, wydobywszy onże album z szuflady, w pocie czoła usiłowała go otworzyć tajemniczym kluczykiem. Pozostanie na uboczu wobec tych przedziwnych manipulacji było ponad Małgosine siły. Wskoczyła więc z pościeli i błyskawicznie znalazła się przy właścicielce albumu.

- Co ty robisz? - zapytała szeptem.

Izabella, która właśnie w tej chwili zdołała szczęśliwie przekręcić kluczyk, wyjaśniła grzecznie, jak rzecz najzwyklejszą pod słońcem: - Otwieram mój pamiętnik.

- Pamiętnik? - Małgosia zdumiała się. - Pamiętnik? - powtórzyła tak głośno, że aż obudziła najbliższe sąsiadki, nieświadome dotychczas rozgrywających się tuż przy nich niezwykłych wydarzeń.

- Co się stało? - podskoczyła na łóżku Nela, zawsze gotowa do wzięcia we wszystkim czynnego udziału.

- Izabella pisze pamiętniki - wyjaśniła ją Małgosia. Powiedziała to tonem osoby wtajemniczanej i znającej swoją wyższość.

- Oooooo! - mruknęła zachwycona Nela, gramoląc się szybko z pościeli, podczas gdy Alda, Bietka i Marianna, również już przebudzone, grzecznie siedziały w łózkach, czekając na dalsze biuletyny.

Tymczasem Małgosia indagowała niecierpliwie: - No, i co ty w tym pamiętniku piszesz? Oczywiście, nie chcę być niedyskretna, ale wiesz, interesuje mnie to, przyznam się, niezmiernie. Przepadam za pamiętnikami. Czy od dawna go masz?

Izabella spojrzała zdumiona. - Naturalnie, że od dawna. Od samego chrztu!

- Od chrztu? pamiętnik? Izabello, kochanie, co ty pleciesz? Nic nie rozumiem. A wczoraj znów opowiadałaś, że kluczyk ten jest od chrztu! - głos Małgosi brzmiał niepewnie. Spojrzała przy tym badawczo na Izabellę. Wydało się jej bowiem, że posiadaczka zielonego albumu, nie dość, że wyraża się dziwnie i zagadkowo, ale ponadto ma jakieś podejrzane błyski w oczach. I na wszelki wypadek odsunęła się troszeczkę. A Izabella objaśniała dalej uprzejmie - że a jakże, kluczyk i album ma od chrztu. Jak to?! To one nie dostały takiego podarku od swoich chrzestnych? Bo właśnie ona dostała. I prawie wszystkie jej koleżanki z miasteczka też dostały. Jakże może być inaczej! Piękny pamiętnik, zamykany na kluczyk. W tym pamiętniku zapisuje się wszystko uczciwie. Czasem, to Izabella nawet wstydzi się tak szczerze wszystko pisać, bo...

- Ojej, czego się wstydzisz? - pocieszyła ją Nela, która również teraz wpakowała się na jej łóżko. - Przecież możesz takiego pamiętnika nikomu nie pokazywać!

- To po co bym go pisała? - westchnęła Izabella. - Przecież na to go piszę,

żeby był do przeczytania. I kluczyk będę musiała oddać.

- Komu? - zdziwiły się dziewczęta, a Małgosia zaproponowała: - Oddaj najlepiej mnie.

- Jak to komu? - Izabella wzruszyła ramionami z politowaniem. Cóż za głupkowane pytanie. - Przecież mojemu mężowi, w dniu ślubu, żeby poznał całe moje życie.

Głuchy hałas przerwał te zwierzenia. To Bietka, która właśnie wkładała pończochy, usiadła ze zdumienia nie na łóżku, tylko na podłodze.

A Nela dodała z triumfem: - A co? nie mówiłam od razu, że to jest kluczyk od serca?

ROZDZIAŁ 11 - GALERIA POCIESZENIA

Dzień balu był dniem gorączkowej krzątaniny w całym Jagodnem. Pomijając gruntowne sprzątanie, trzeba było jeszcze dekorować salę balową, hall i salę jadalną, w której miała być podana kolacja. Ponadto jeszcze trzeba było zająć się bufetem. Sypialnia szósta, z wyjątkiem naburmuszonej i w dalszym ciągu rozgoryczonej Jolanty, odczo stawiała się do pracy, a Lucynka Sempolińska, ta która nosiła nie wiadomo dlaczego na codzienny szkolny użytek imię Żaba, zauważyła bardzo poważnie, że właściwie sytuacja pierwszokursistek jest o wiele lepsza, niż sytuacja na przykład słuchaczek z trzeciego kursu. - Dlaczego? - zdumiała się tym oświadczeniem Jolanta. - Nie rozumiem! Naharujemy się i nic z tego nie będziemy miały, nawet człowiek się nie pokaże, nawet nie zatańczy.

- Ach, nie umiesz doceniać radości życia, Jolusiu - pouczała ją Żaba. - Bo przecież cóż jest najprzyjemniejszego w każdym balu, jak twierdzi pewna moja znajoma, bardzo mądra pani - najprzyjemniejsze jest oczekiwanie i szykowanie się, bo wtedy każda kobieta przeżywa najwięcej radosnych nadziei. Wyobraża sobie, jak będzie ślicznie wyglądała, jak będzie się wspaniale bawiła, ile usłyszy miłych słów, a potem, jeśli jej balowe nadzieje nie spełnią się, przeżywa gorycz rozczarowania.

- Ja nigdy nie przeżywam rozczarowań - burknęła Jolanta - taka elegancka panna jak ja, zawsze cudownie ubrana, zawsze najmodniejsza, nigdy nie zostanie bez partnerów do tańca.

- Och, nie bądź taka pewna - obruszyła się Nela - nie znasz widać chłopców. Ja mam braci, to najlepiej wiem, jak zawsze wspaniale sobie używają na takich wytwornisiach. Ręczę ci, że wcale nie przepadają za dziewczętami, które myślą tylko o tym, co jest w tej chwili najmodniejsze i zajmują się jedynie tym, czy modniejsze są rękawy wąskie czy szerokie.

- Och, wyobrażam sobie, jacy ci twoi bracia są niezabawni i nieinteresujący - odcięła się Jolanta.

Nela w odpowiedzi roześmiała się. - Zobaczysz na przyszły rok, na naszym balu i sama orzekniesz. Ale swoją drogą Żabciu, Żabencjo najdroższa, twoja mądra znajoma ma rację tylko w połowie. To są refleksje dorosłej, doświadczonej kobiety, która trochę filozofuje. Ale w naszym wieku nie wolno jeszcze filozofować. My musimy brać życie takim, jakim jest. A w naszym wieku wszystko jest piękne i wszystko powinno nas cieszyć. I jeśli potrafimy pracować, to i potrafimy się bawić.

Tylko bawić się tak, jak bawią się dziewczyny szesnastoletnie, a nie rozgoryczone dorosłe panusie. Prawda, Małgosiu?

- Ach! - pisnęła Małgosia - cudownie naśladować wytworną minę Jolanty - ja chcę tańczyć na stole i kapać się w szampanie! I chcę koniecznie mieć ogoniastą suknię ze złotej lamy i do tego brajtszwancowy parasol!

- Żarty zupełnie nie na poziomie! - wykrzywiła się wcale nie wytwornie Jolanta i poszła okropnie obrażona, bo akurat panna Mirka wezwała ją do pomocy przy czyszczeniu nakryć stołowych. - Uważaj, Jolciu, żeby były potem wszystkie jeszcze raz przetarte czystą flanelką - zaleciła. A to zalecenie do reszty rozgoryczyło niedocenioną elegantkę.

Reszta dziewcząt też ruszyła do roboty. Trzeba się było dobrze zwijać, żeby zdążyć na czas, zwłaszcza, że dziewczęta z drugiego i trzeciego kursu już od godziny drugiej miały być zwolnione od wszelkich zajęć, aby miały czas wypocząć przed bale i przebrać się. Bal zresztą zapowiadał się wspaniale, miało przybyć masę gości zaproszonych z zewnątrz przez panią Hurlową i uczennice, między innymi oczekiwano znanej na całym świecie literatki pani Mikejowej oraz słynnego lotnika Bartczaka, który ostatnio pobił rekord w przelocie nad oceanem.

- Mikejowa jest podobno bardzo miła - wzdychała Alda. - Strasznie chciałabym ją poznać.

- Może na przyszły rok też przyjedzie - pocieszała ją Marianna, a Bietka dodała: - Sama nie wiem, czy wolałabym poznać Mikejową, czy zatańczyć z kapitanem Bartczakiem.

- Naturalnie, że wolałabym zatańczyć z Bartczakiem - zakrzyknęła Małgosia, zgromiona zaraz przez pannę Janinę za zbyt spontaniczne reklamowanie swych uczuć.

- A pani z kim miałyby ochotę tańczyć? - zapytała ciekawie Nela.

- Nie wiem, czy w ogóle będę tańczyć - odpowiedziała panna Janina, jak przystało na wzorową nauczycielkę - przecież to jest bal dla uczennic, a nie dla wykładowców. - Ale zarumieniła się przy tym bardzo milutko, a kiedy przyłapała zwrócone na siebie jakby coś wiedzące spojrzenia Marianny i Małgosi, zarumieniła się jeszcze mocniej, aż po szyję.

- Wnioskuje z tego, że doktor Pragłowski będzie na balu - szepnęła wieszczą Małgosia, szczypiąc przy tym Mariannę w łokieć, po czym nucąc pomknęła w stronę jadalni, gdzie przyzywała ją panna Mirka, dozorująca zakładania firanek.

Marianna naturalnie wciągnięta została przede wszystkim do pracy w kuchni. Pani Cegłowska i Witamina jej właśnie powierzyły zaszczytną misję czuwania nad zimnym bufetem i przygotowania zakąsek pod ich światłym, kulinarnym kierownictwem. Marianna więc - jak się wyraziła Nela - szalała w poetycznym i gastronomicznym natchnieniu, układając na półmiskach cuda z sałatek, szykując niezrównane galaretki i przyprawiając sosy do galaret i zimnych mięs. Potem pobiegły razem z Nelą pomóc jeszcze Aldzie i Żabie w ubieraniu stołów kwiatami, podczas gdy Bietka pilnowała stroiciela, znęcającego się nad fortepianem. Oczywiście nie mogła oprzeć się pokusie wypróbowania świeżo nastrojonego instrumentu i zagrała prześlicznego walca, co dało taki efekt, że dziewczynki co prędzej rzuciły swoją robotę, aby chociaż raz przetańczyć naokoło wspaniale wyfroterowanej sali. Nie obeszło się niestety bez tragicznego wypadku, gdyż roztańczona para: Nela-Alda, wpadła na niosącą sosjerkę panią Cegłowską, wskutek czego wytrysnęła najniespodziewaniej w świecie piękna fontanna ładnego w kolorze sosu Kaboul, a porcelanowa sosjerka zadzwięczała srebrzyście, rozpryskując się na posadzce. Poszkodowana już, już miała wybuchnąć piekielnym gniewem na winowajczynię, ale ponieważ Małgosia, która akurat nadbiegła, zapewniła ją, że jest to prognostyk niebywałego szczęścia, pani Cegłowska, która niezmiernie sobie ceniła wszelkie mieszanie się sił nadprzyrodzonych do jej spraw osobistych i była bardzo przesadna, wybaczyła wspaniałomyślnie nieszczęśliwym wykonawczyńom melodyjnego walczyka.

- Zostanie pani królową balu - zapewniła ją na zakończenie stanowczym tonem Małgosia, okręcając korpulentną figurką pani Cegłowskiej, w jakimś oryginalnym, nikomu nie znanym tańcu.

- Ach, po co królową - już aby tylko choć damą dworu - westchnęła na to w rozmarzeniu pani Cegłowska. I poszła, radośnie uśmiechnięta, aby zajrzeć do kuchni.

Tymczasem nadeszła godzina druga, godzina odpoczynku dla balujących. Właściwie wszystko już było gotowe i te najmłodsze też tylko już wykańczały desery i przystrajały torty. Przy okazji poskubywały pokruszone kawałki ciast i smażone w cukrze owoce. - Nie bójcie się, dziewczynki - pocieszała je udobruchana już zupełnie pani Cegłowska - już tu o was nie zapomnimy, dostaniecie też wszystkiego po trochu na spróbowanie.

Obiad był zupełnie skromny, ze względu na brak czasu, a potem zaczęło się szykowanie do balu. Pierwszokursistki były tym nie mniej zaabsorbowane od

debiutantek balowych, to znaczy tych z drugiego kursu i doświadczonych już bywalczyń balowych z kursu trzeciego. Atmosfera tych przygotowań była pełna podniecenia i niepokoju - około pięćdziesięciu młodych i ładnych dziewcząt, ubierających się na bal. Pełno więc było gwaru i lataniny, przymierzania, odprasowywania i pożyczania przeróżnych i nieodzownych drobiazgów. Marianna i Nela cieszyły się u balujących specjalnym powodzeniem, gdyż pierwsza z nich potrafiła świetnie robić elegancki manicure i cudownie czesać, a Nela słynęła w całej szkole z dobrego gustu i artystycznych pomysłów. Wiadomo też było, że zna się świetnie na wszelkich strojach, gdyż miała matkę słynną z elegancji, a sama też była zawsze ślicznie, choć skromnie ubrana. Nic więc dziwnego, że były teraz rozrywane, zwłaszcza, że fryzjer, który miał czesać dziewczęta, spóźnił się fatalnie.

Przede wszystkim, oczywiście musiały asystować przy toaletach swoich sympatii - to znaczy Terki Pełczanki i ładnej Zosi, tej, która tak lubiła Kleksika. Terkę uczesała Marianna prześlicznie, a Zosia miała tak pięknie wymanicurowane łapki, że złośliwa, nie mogąca zapomnieć o swoich niefortunnych wróżbach Zula zaproponowała Mariannie, żeby wzięła się do tego zawodowo i najlepiej została manicurzystką, zamiast udawać, że umie gotować. Marianna przyjęła to milczeniem i rumieńcem gniewu, z którym jej było bardzo do twarzy - jak to zauważyła Małgosia, która nadbiegła z odsieczą, nie szczędząc rzeczowych uwag o wymalowanych, przysmażonych przez fryzjera i polujących na męża pannicach. Tak, Zuli ten występ znów zupełnie się nie udał, bo naprawdę wszystkie dziewczynki zgodnie przyznały, że Marianna jest chlubą pierwszego kursu i wcale nie widzą powodu, dla którego miałyby zmienić "kierunek studiów", jak się wyraziła jedna ze starszych dziewcząt.

W czasie tej dyskusji nadeszła Krystyna Sobocianka z trzeciego kursu. Krystyna była zawsze okropnie zarozumiała i właściwie zupełnie nie wiadomo, dlaczego. Tym razem przyszła zaprezentować się w nowej fryzurze, przy czym nie omieszkała zwrócić uwagi na swój efektowny makijaż.

Teraz, żadna elegancka kobieta nie może się obejść bez różu i tuszu do rzęs - przekonywała nie malującą się nigdy Terkę. - Zrób sobie koniecznie rzęsy, zaraz będziesz lepiej wyglądać.

- Kiedy Terka i tak ślicznie wygląda - zaproponowały przyjaciółki z szóstej sypialni. - Daj jej spokój.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle zabieracie głos - zirytowała się Krystyna. - Moja Terko, naprawdę nie wiem, jak możesz zadawać się z tymi małymi i brać

poważnie ich uwagi. Ja ci dobrze, po koleżeńsku doradzam, zaraz będziesz inaczej wyglądać.

- Terka, ani mi się waż - podskoczyła ku nim Nela - ani mi się waż. Zepsujesz wszystko. Możesz mi wierzyć, że tak wyglądasz bardzo ładnie i w doskonałym stylu. Nie rozumiem, dlaczego masz się upodobnić do Krystyny. Przecież jej rzęsy wyglądają, jak stonogi!

W sypialni kursu trzeciego zawrzało, jak w ulu. Krystyna zaczęła wykrzykiwać, że nie daruje, że to skandal i w ogóle różne inne historie w tym rodzaju, ale na szczęście dzwonek na kolację położył kres awanturze. Po kolacji zaś pozwolono poczekać w ich sypialni na początek balu, a potem przyjść na Galerię Pocieszenia.

- Świetnie - zawyrokowała, słysząc to zarządzenie, Małgosia, i kiedy tylko wskazówki na zegarku zbliżyły się do godziny wpół do dziesiątej, dała hasło do wyruszenia na galerię. Za jej przewodem, wpadły zadyszane na małą galeryjkę, ciągnącą się wzdłuż jednej ze ścian nad salą balową.

- Pysznie! - zachwycała się Marianna - zupełnie, jak w łoży! - i wychyliła się trochę, żeby lepiej obejrzeć całą salę. - Ciekawa jestem, dlaczego nazywa się Galerią Pocieszenia?

- Tradycja, moja droga - mruknęła sentencjonalnie Małgosia. - Wyobraź sobie, że kiedy Lidka tu przyszła, już tak się ta galeria nazywała. Bo tu zawsze biedne pierwszaczki pocieszają się oglądaniem balu, na którym im nie wolno się bawić.

- Ale swoją drogą tu jest bardzo przyjemnie. I właściwie możemy się bawić wcale nie gorzej od tych na dole - obiecywała sobie Alda.

- Tak, tylko to jest najgorsze, że panna Janina nie pozwoli nam tu siedzieć dłużej, jak do drugiej. I nie zobaczymy ani białego mazura, ani błękitnego walca. A ja po prostu umieram z ciekawości, kto wtedy poprosi doktora Gruszkę - biadała Małgosia.

- Ciiiit - ostrzegła ją w tej chwili Bietka, bo właśnie nadeszła panna Mirka. Była już w balowej toalecie i otoczyły ją zaraz, podziwiając, jak ładnie wygląda. Śmiejąc się, wołała, żeby jej nie pochlebiały, ale naprawdę była bardzo ładna w stylowej sukience z mieniącą się tafty. Na sztywnym materiale łamały się kolory popielaty z turkusowym i panna Mirka zawstydzona i roześmiana, wyglądała jak mała turkawka.

- No, dobrze, dobrze, już wam wierzę, ale teraz marsz na skromne, ale solidne

przyjęcie.

- Ojej, a to co za niespodzianka? - zdumiały się dziewczynki - tegośmy się nie spodziewały.

- A widzicie! To jest też taka mała uczta pocieszenia. Przejdźcie panienki do tej małej sąsiedniej salki.

- Strasznie mi się taki tryb życia podoba - zachwyciła się Bietka, kiedy zjadały balowe przysmaki. Naturalnie, że dostały różne małe kawałki, których nie wypadało podać w bufecie, ale to właśnie było bardzo przyjemne. - Zupełnie, jak na wycieczce - stwierdziła Żaba, dumna, że wymyśliła tak doskonałe porównanie.

- Co to znaczy jednak atmosfera balowa - zauważyła Nela - nawet żaby nabierają odwagi i mówią ludzkim głosem. - Żabciu, kochanie, poczęstuj się jeszcze tą indyczą szyjką, mówię ci, że to delicje. Trzeba przyznać, że nasza Cegłósia, to mistrzyni. Alda, kochanie, czy idziesz na dół po dalsze zdobycze kulinarne? Nie zapomnij dziecino o lodach. Ja szczególnie lubię kawowe, na co skromnie zwracam twoją uwagę.

- Postaram się to uwzględnić - kiwnęła łaskawie głową Alda i poprosiła Mariannę. - Chodź, moja droga, bo czuję, że sama nie podołam dostarczeniu tych skromnych zamówień.

Wróciły po dłuższej chwili, niosąc duże talerze, pełne okruchów i połamanych kawałków różnych ciast. Za nimi pokojowa Olesia dźwigała tacę ze szklankami, napelnionymi herbatą.

- No, a gdzie lody? - zaniepokoiła się Nela.

- Nie ma lodów - oznajmiła Alda melancholijnie. - Wyobraźcie sobie, że powiedzieli mi, że na razie nie mogą nam dać, bo jeszcze nie wiedzą, ile porcji będzie im potrzeba. Dostaniemy dopiero pod koniec balu.

- Trudno - westchnęła żałośnie amatorka lodów kawowych. I już miała zabrać się do co najsmaczniejszych kawałków tortu, które jednym bystrym spojrzeniem odkryła wśród sterty okruchów, kiedy Marianna, wzburzona jak nigdy składała dalszy ciąg relacji z ich wyprawy na dół. Więc okazało się, że nie tylko na razie nie ma lodów, ale w dodatku ta nieznośna Krystyna Sobocianka ośmieliła się wystąpić z żądaniem do pani Hurlowej, żeby zabroniła uczennicom z pierwszego kursu przebywać podczas balu na galerii. Powiedziała, że ją to denerwuje, kiedy wie, że jest obserwowana i że są robione na jej temat cyniczne i bezczelne uwagi. Tak powiedziała: cyniczne i bezczelne. A kiedy pani Hurlowa bardzo się zdziwiła i

zapytała, dlaczego mają to koniecznie być uwagi cyniczne i bezczelne, Krystyna z zimną krwią oświadczyła, że przecież nie można oczekiwać czegoś innego od sławnych mieszkanek sypialni szóstej!

- Skandal! - zakrzyknęła Małgosia, dławiąc się przy tym kawałkiem kruchego ciasta.

- Ordynarny skandal! - zauważyła nieco już spokojniejszym tonem Nela, uderzając przy tym w kark przyjaciółkę, aby ułatwić jej przełknięcie fatalnego kawałka.

- Krystyna zawsze była taka! - wołała tymczasem Bietka, nie posiadając się z oburzenia, a poczciwa, spokojna Żaba, mruknęła ze zgrozą. - Ona jest bardzo niekoleżeńska i źle wychowana! - Nawet Jolanta przyłączyła się solidarnie, oświadczając dystyngowanie, że zawsze miała o Krystynie jak najgorsze mniemanie, bo cóż można innego powiedzieć o osobie, która do wizytowej sukni nosi ordynarne jasne pończochy!

- Zgadzam się najzupełniej z Jolantą i ze wszystkimi też - wyszeptała z trudem Małgosia, która wreszcie, przy wydatnej pomocy Neli, zdołała przełknąć dławiący ją kawałek ciasta. - Ale jak to? Pani Hurlowa naprawdę zgodziła się na to?

- Ach, nie - zaprzeczyły radośnie Marianna i Alda - naturalnie, że pozwoliła nam tu siedzieć, tylko prosiła, żebyśmy zachowywały się z godnością. Naprawdę, tak się wyraziła. Więc jej obiecałyśmy, ma się rozumieć. Chyba nie macie nic przeciwko tej obietnicy? - dodała ostrożnie Alda.

- Poniekąd nic - oświadczyła raczej melancholijnie Nela. - Trudno, chodźmy wobec tego zachowywać się z godnością.

Tymczasem na dużej sali zaczynało się już coś dziać. To znaczy, że na małym wzniesieniu paru gentlemanów piszczano na skrzypcach i wiolonczeli, próbując w ten denerwujący sposób instrumentów, a jeden z nich, najbardziej długowłosa, rozsiadł się przy fortepianie i znęcał się nad klawiaturą. Przed domem ciągle słychać było zajeżdżające auta i sanie. Wreszcie zaczęli ukazywać się pierwsi goście balowi. Witła ich uprzejmie pani Hurlowa, bardzo piękna, w powłóczystej sukni z ciemnogrnatowego aksamitu.

- Wygląda, jak królowa nocy - orzekły jednogłośnie lokatorki z szóstej sypialni.

- O, a tego starszego pana, to znam - ucieszyła się Marianna na widok wchodzących nowych gości. - To ojciec Terki Pełczanki. I ten major to też znajomy,

jechał wtedy z nim koleją.

Major skłonił się właśnie przed Terką. Była śliczna, w białej, lekkiej sukni z blad różowymi kameliami w swoich popielatobląd włosach. Ucieszyły się bardzo, widząc, że Terka pierwsza zaczyna tańczyć. - Zobaczycie, że ona też najpierwsza wyjdzie za mąż - proroczy mruknęła Bietka.

Ale już nie było czasu na słuchanie proroctw Bietki, bo przecież warto było popatrzeć na Zule Nikorską, w sukni z żółtego, błyszczącego jedwabiu. Jej wszystkie loczki były tym razem jeszcze bardziej niż zazwyczaj umocnione spinkami i szpilkami. Dreptała z wdziękiem obok jakiegoś starszego łysawego pana, który z niejakim trudem posuwał się na nieco sztywnych nogach.

- Ooo, to jest nasz sąsiad - rozpromieniła się na jego widok Małgosia. - Wiecie? Jest strasznie bogaty. Czuję, że Zuleńka chce zostać moją sąsiadką. Popatrzcie, jak pracowicie wspiera jego kroki w tym rozkosznym walczyku. Ach, dziewczynki, zatańczyłybyście, co?

Coraz więcej par wirowało na tak pracowicie przez Wicka wyfroterowanej posadzce. Więc panna Mirka, zaróżowiona, w objęciach doktora Gruszki, niepomiernie eleganckiego, w nowym fraku i ciemnowłosa Zosia, sympatia Marianny, w kremowej sukience, z bukietem świeżych fiołków przy wycięciu sukni, i pani doktor Nadolska, w czarnej tiulowej toalecie. Sensację budziła pani Mikejowa, w cudnej kreacji ze złotego brokatu, mimo że, jak utrzymywała Jolanta - była to suknia niemodna, gdyż ona, Jolanta, zupełnie sobie nie przypomina, aby gdziekolwiek widziała taki model.

- Zdaje się, że jeszcze wielu rzeczy nie widziałas - zirytowała się Alda, ale Marianna zaraz je uciszyła. - Patrzcie, to Krystyna!

Krystyna weszła na salę, otoczona gromadką młodych ludzi. Zachowywała się okropnie dorośle, jak to stwierdziła publiczność na Galerii Pocieszenia, a ponadto jej zielona suknia (wyraźnie i bezwstydnie wyzywająca, według orzeczenia lokatorek sypialni nr 6), miała z tyłu przepaścisty dekol, sięgający do samego pasa. Ten dekol odsłaniał całkowicie plecy Krystyny, tak chude, że można było wyraźnie odróżnić części jej kręgosłupa.

Nela i Małgosia zamieniły w związku z tym parę słów na temat anatomii pogładowej oraz tańca szkieletów, kiedy przyszła jedna z pierwszokursistek (miłe stworzenie z bardzo grzecznej sypialni nr 7) i przyniosła im lody. Okazało się, że lodów wystarczy dla wszystkich i nawet uwzględniono wielkodusznie życzenie Neli,

przysyłając specjalną porcję kawowych.

- Jednak życie ma swoje uroki - skostatowała Nela po przełknięciu pierwszej łyżeczki lodowatego przysmaku. I właśnie zabierała się do kontemplacyjnego spożywania reszty, kiedy Małgosia z przejęciem chwyciła ją za rękę: - Patrz! patrz! nasza Janinka.

W istocie przy wejściu stała panna Janina, ubrana w jakieś cudo z ciężkiego białego jedwabiu, w czym wyglądała przy swojej urodzie niczym antyczna rzeźba, i rozmawiała właśnie z doktorem Pragłowskim. Jakby przeczuwając, że o niej mówią, odwróciła swoją małą, gładko uczesaną główkę w stronę Galerii Pocieszenia, kiedy z ręki Neli, uchwyconej tak gwałtownie przez Małgosię, wyślizgnął się mały porcelanowy talerzyk i wraz ze swoją lodowatą zawartością spadł na plecy Krystyny.

Rozległ się przeraźliwy okrzyk, ochłodzonej w tak przypadkowy, a doraźny sposób tancerki, a zanim ktokolwiek zdołał się zorientować w sytuacji, Małgosia mruknęła ze szczerym zadowoleniem: - Sprawiedliwości stało się zadość! - i zaraz zaczęły się szykować do zejścia na dół, bo już właśnie Krystyna wyraźnie wskazywała winowajczynię i trudno było przypuszczać, aby najłagodniej nawet usposobiona dyrektorka uznała choćby i przypadkowe rzucanie lodów na cudze dekolty, za zachowanie, które można by nazwać pełnym godności.

ROZDZIAŁ 12 - ...A JAM JEST RYCERZ LOHENGRIN

Wiosna w Jagodnem była cudowna. Sad obsypany białymi kwiatkami, wyglądał jak spełniona bajka i jak twierdziła Marianna, aż się wierzyć nie chciało, żeby tak pięknie mogło być naprawdę. Usiłowała też napisać coś niecoś o tym pięknie w liście do domu, ale jakoś nie bardzo to jej wychodziło, więc dała spokój i zabrała się do komunikatów o swoich "postępach w nauce", jak zwykła się wyrażać w takich wypadkach ciotka Natalia. Ach, czyż ciotce Natalii albo ciotce Helenie kiedyś przyszło do głowy, że Marianna, ta nieutalentowana, godna pożałowania Marianna, będzie mistrzynią w pieczeniu ciasta, a przede wszystkim maślanych bułeczek, że będzie zdobywała pochwały za wykwintne sałatki i paszteciki z mięsem, że będzie zbierała laury za umiejętne układanie dietetycznych jadłospisów?! Ale to jeszcze nie wszystko! Bo oto po wielu próbach i niepowodzeniach, nauczyła się wreszcie dojenia krów i już teraz, jak twierdziła Małgosia, Kwiatuła i Krasuła spoglądają na nią z wyraźnym uznaniem.

- Tylko musisz być jeszcze bardziej promienna i radosna, jeśli chcesz dorównać tej naszej wiecznie kontentnej agronomce - pouczała ją Nela. - Chociaż ja co prawda, mimo moich najbardziej uwodzicielskich uśmiechów, nie mogę przemówić do serca Krasuli, żeby mleko nie tryskało zawsze jednakowo na moje buty, zamiast do skopka. Ach, słuchaj, Marianno, opowiadają w szkole, że podobno nawet paszę dla prosiąt przyprawiasz do smaku. Raz pikantnie, raz na słodko. Przyznaj się!

- Skądże znowu! - oburzyła się Marianna. - To pewnie Krystyna opowiada takie głupstwa. A zresztą nic sobie z tego nie robię - dodała rezolutnie i roześmiała się. Nie, stanowczo w tym wiosennym pogodnym nastroju, naprawdę nie mogła gniewać się nawet na Krystynę.

Siedziały w tej chwili w trójkę na trawniku, korzystając z godzinnej przerwy w zajęciach i było im bardzo przyjemnie.

- Rozmarza mnie ta wiosna i stanowczo mam zamiar zbuntować się i nie pójść dziś na żaden wykład - oświadczyła bardzo kategorycznie Małgosia, wyciągając się na trawie w całej swojej imponującej długości.

- Niezła myśl - przytaknęła z uznaniem Nela, robiąc to samo. Marianna miała właśnie zamiar pójść w ich ślady, kiedy rozległ się dzwonek.

- Marianno, wzorze wszelkich cnót - jęknęła Małgosia - wyjaw nam od razu, jaki teraz wykład?

Ale o dziwo, cóż znaczy wpływ wiosny! Marianna też była zdezorientowana.
- Któraż to godzina? - piąta? - o zgrozo! jak późno. I prawda, już sobie przypomniała
- to przecież cała godzina teraz będzie poświęcona przechowaniu futer i ubrań zimowych w okresie wiosennym i letnim.

- Brrr! - wzdrygnęła się Nela. - Cóż to za okropność, Marianno, kochanie, sprawdź jeszcze raz, a dobrze, może ty się mylisz?

- Zaraz, zaraz - zastanowiła się Marianna. - Którego to dziś mamy? Szesnastego maja! No tak, niestety, nie myślę się, jest to przechowywanie futer. Nie minie nas ten wykład. Trudno, dziewczynki, to są bardzo praktyczne i naprawdę bardzo pożyteczne wiadomości...

- Marianno, skarbie, zlituj się i nie przekonywaj nas, że godzinna gadanina o przechowywaniu odzieży zimowej, stosowaniu naftaliny i tępieniu moli, jest wykładem niezwykle fascynującym. Błagam cię tylko na wszystko, popatrz aby dobrze, czy to na pewno dziś?

- Ojej - zniecierpliwiła się Marianna - już raz powiedziałam, że dziś.

- Nie idę na wykład - wrzasnęła zbuntowana Małgosia - i cóż mi zrobią?

- Nic ci nie zrobią. Najwyżej dostaniesz jakąś karę - przemawiała pedagogicznie Marianna.

- Gwiżdżę na kary!

- Nawet wiem, jaka to będzie kara.

- Ojej, wielka rzecz. Nie dostanę deseru, albo będę musiała mieć dyżur w obozisku, bo Kwiatuła ma zamiar się ocielić.

- Owszem, owszem, jesteś bliska prawdy, Małgorzatko godna uwielbienia - uśmiechnęła się szatańsko Marianna - będziesz jutro miała dyżur. A jutro jest siedemnasty, a siedemnastego jest jarmark w Nowym Targu, na który to jarmark wszyscy jutro wyruszają i my, z Jagodnego też. Aha! a ty zostaniesz przy Kwiatuli!

- Piekło i demony! - jęknęła Małgosia i błyskawicznie podniosła się z trawnika. - Idziemy więc tępić mole. Niech będzie, co chce!

Wykład o przechowywaniu odzieży zimowej i futer odbył się w niezmiernie sennej atmosferze. Rozleniwione słońcem dziewczęta nie bardzo miały ochotę na słuchanie cennych rad z zakresu stosowania środków przeciwmolowych i jak twierdziła Alda, same czuły się jak mole, przysypane naftaliną. Natomiast znacznie więcej uwagi poświęcały sprawie jutrzejszego jarmarku. Wyprawa zapowiadała się nadzwyczajnie, a jarmark miał od lat urobioną opinię szczególnie ożywionego i

urozmaiconego. Kiedy właśnie były tak zagadane i w najlepsze roztrząsały sprawę odpowiedniego ubrania się na tę wyprawę, nagle znalazła się przy nich panna Janina, która obok swoich wszystkich zalet, miała nieporównany talent przebywania jednocześnie w kilku miejscach naraz. Wyrosła teraz przy nich najniespodziewaniej w świecie.

- Zdaje mi się, moje drogie, że zapomnieliście, że jest jeszcze wykład - zgroniła je srogo za tę gadaninę.

- Broń Boże! wcale nie zapomnieliśmy, proszę pani - zapewniała gorliwie Nela między jednym a drugim kichnięciem, bo akurat po sali rozeszła się woń naftaliny, którą wykładająca demonstrowała, jako najlepszy środek antymolowy. - Właśnie rozmawialiśmy najporządniej na świecie na temat zadany - o przechowywaniu futer!

- Cieszy mnie, że macie takie zainteresowania - w głosie panny Janiny czuć było powątpiewanie - przypuszczam jednak, że ograniczycie się do tej wymiany myśli i nie będziecie już więcej rozmawiać. Jesteście niepoprawne gaduły!

Upominała je szeptem, żeby nie przeszkadzać nauczycielce, prowadzącej wykład, więc Nela, która była, jak mówiono o niej w Jagodnem, mała ale zuchwała, zniżając również głos do konspiracyjnego szeptu, spytała podstępnie: - Ale pani jutro z nami pojedzie do Nowego Targu, prawda?

- Pojadę - odszepnęła panna Janina, najwidoczniej zachwycona myślą o wycieczce. I uśmiechnęła się do Neli porozumiewawczo, zapominając już o obowiązku gderania. Po czym dodała zmartwiona: - Wiecie? Trochę się boję, czy będzie pogoda?

- Musi być - oświadczyły wobec tego zgodnie i trochę za głośno jej niesforne wychowanki.

I rzeczywiście pogoda nazajutrz była wspaniała. W autobusie było bardzo ciasno, co oczywiście zostało przyjęte przez mieszkanki Jagodnego, jako jeszcze jedna miła atrakcja, nieodzowna w programie udanej wycieczki. Sypialnia szósta w komplecie (osiem ich teraz było z Izabellą włącznie) zdołała opanować do swego wyłącznego użytku dwie sąsiadujące ławki. Oczywiście, że Izabella, Bietka, Marianna i Hanka Żmurkówna, jako istoty pulchniejsze, skazane zostały na stanowienie tak zwanej pierwszej warstwy, która zasiadła na ławkach, a pozostałe ulokowały się na ich kolanach, przy czym Małgosia, jako istota przebiegła, zdołała zaanektować na swój wyłączny użytek pulchne kolana Izabelli. Tylko Żaba,

wystraszona krzykiem, panującym przy wsiadaniu, nie chciała za nic w świecie zasiać na kolanach Marianny i stała przez całą drogę.

Kiedy przybyły do Nowego Targu i autobus z ostentacyjnym trąbieniem zajechał na rynek, okazało się, że wspaniały jarmark doroczny jest już w swojej najpiękniejszej fazie.

Jakież to wszystko było nadzwyczajne! Marianna, Nela i Małgosia, wysłuchawszy zalecenia panny Janiny, że mają się pilnować, nie zgubić w tłumie i stawić przy postoju autobusu na godzinę trzecią, co prędzej schwyciwszy się za ręce, dały nurka w ten cały kolorowy, rozwrzeszczany i ruchomy tłum. Przepychały się między gospodyniami grubymi od fałdzistych kiecek, omijały z trudem porozkładane na ziemi na dużych liściach osełki masła i złociste kwargle, nad którymi, niby żurawie, sterczeli smukli, długonodzy górale, kurząc śmieszne, gliniane fajeczki. Potem obeszły pełen kwiku i użerania się targujących targ świński i nie mogły się zdobyć na rozstanie z maleńkimi jagniętami, które Małgosia zaczęła lekkomyślnie targować.

- Może by pani Hurlowa pozwoliła hodować je w Jagodnem - zastanawiała się Nela, tuląc do serca cudne, szare z czarnym noskiem, kołtuniaste owcze dziecko.

- Nie wiem, chyba raczej nie - zwątpiła w tego rodzaju możliwość Marianna. - Chodźmy lepiej dalej! - I przezornie pociągnęła je za sobą.

Dotarły wreszcie do straganów. Tu dopiero był ruch! Tu były cuda i cudenka! Tu się zaczęły targi i zakupy! Małgosia targowała się zawzięcie z talentem przekupki, na co Nela zwróciła z niesmakiem uwagę.

- Ach, nie znasz się na niczym! - z politowaniem wzruszyła ramionami Małgosia. - Przecież to połowa przyjemności. Bo cóż to za uciecha tak po prostu przyjść, kupić i zapłacić, ile żądają. Bierz przykład, moja droga, z naszego ludu, patrz, jak pracowicie, w pocie czoła targują się nasze gospodynie. Przynajmniej wiedzą, że kupują!

W myśl Małgosinych zaleceń wędrowały od straganu do straganu, ugadując się ze straganiarkami. Ach, ileż pokus czyhało tu na każdym kroku na kupujące! Ileż było koralu, ileż wspaniałych misek i polewanych garnków, z którymi Marianna nie mogła się rozstać, gdyż miała szczególną słabość do ceramiki ludowej. Wreszcie wytargowała jakieś prześliczne dwojaczki oraz glinianego kogutka z gwizdkiem, którego Nela natychmiast wypróbowała. Z zadowoleniem stwierdziły, że są to dźwięki wystarczająco melodyjne i gwizdząc od czasu do czasu, wyruszyły w

odświętnym nastroju dalej.

Przed straganem z kwiecistymi chustkami krakowskimi, zatrzymały się nieco dłużej, bo czyż można było oprzeć się pokusie posiadania takiego cudeńka. Już samo przymierzanie miało nieoceniony urok. Marianna zdecydowała się wreszcie po długich namysłach i rozważaniach na szafirową w czerwone róże i wyglądała w niej wspaniale.

- Niczym gospodyni na czterdziestu morgach - orzekła Nela. Ona sama kupiła chustkę żółtą i było jej w niej prześlicznie. Taka mała, trochę dziecinna madonninka. Ale za to kłopot był z Małgosią. Jej oryginalna, trochę chłopakowata uroda, nabierała zupełnie specjalnego charakteru w obramowaniu tych pstrych, ludowych kwiatuśków. I kiedy wreszcie zdecydowała się na najładniejszą na całym straganie białą chustę, robiła w niej bardziej niż kiedykolwiek, wrażenie sport lady w egzotycznym przebraniu. - Zupełnie jak prezydent Stanów Zjednoczonych podczas wizyty u Indian, kiedy przywdziewa honorowy strój wodza - orzekła Nela.

Niemniej wszystkie trzy były szalenie zadowolone z zakupów. Poczuły tylko teraz nieco zmęczenie i głód, ale i na to znalazła się rada, bo czyż po drugiej stronie rynku brakowało straganów z pszennymi kukielkami, z wiankami słonych, albo słodkich obwarzanków, z gronami wodnego ciasta, nawlekanego w postaci paciorków na cienkie sznurki, tak że tworzyły jakieś olbrzymie różańce? Albo już dla bardziej wykwintnych i rozkapryszonych klientów, czyż brakowało imponujących pierników w kształcie serc albo konnych "rajtyrów", jak określiła piernikowych rycerzy sprzedająca, lub też wreszcie piernikowych panien krakowianek, z gorsetami nakrapianymi różowym lukrem. Dla amatorów smaków bardziej wytwornych, były pierniki posypywane suto anyżkiem lub też ozdabiane polewą miętową, białą albo różową, tak mocną, że aż szczypała w język i po zjedzeniu piernika należało koniecznie otwierać usta, aby poczuć przyjemne zimno. Tu również należało tradycyjnie targować się i kapryścić, jeśli miało się zamiar okazać znajomość form wielkoświatowych i eleganckiego obycia.

Jakoż, po długich namysłach, zakupiły pokaźną ilość prowiantu, w czym przeważały oczywiście pierniki miętowe. Objuczone, rozejrzały się wokoło. Co robić dalej? Z uciechą i miłym zdziwieniem zobaczyły przy jakimś straganie z piernikami pannę Janinę, a przy niej kogo? to niemożliwe! A jednak, tak, to był doktor Pragłowski! Wręczał jej właśnie najwspanialsze serce z piernika, jakie tylko można było zakupić na całym jarmarku. Nieco dalej natknęły się także na pannę Mirkę w

towarzystwie doktora Gruszki. Nie jedli wprawdzie serc piernikowych, ale za to pogryzywali, śmiejąc się do szaleństwa, słone obwarzanecki, nawleczone na sznurek.

Przedzierając się przez tłum, spotkały też objuczone podobnymi mniej więcej zakupami Aldę i Bietkę. Tylko że Bietka piastowała jeszcze w dodatku śliczny czerpak, a Alda malowany dzbanek.

- Co robimy dalej? - przystanęła niezdecydowanie Bietka.

- Chodźmy w tę stronę skąd słychać muzykę - zaproponowała Nela - zobaczmy co się tam dzieje. Ewentualnie jestem skłonna dać sama jakiś koncert na tej gwizdawce. - I w tym momencie zaświstała tak donośnie, że zwrócono na nią ogólną uwagę.

- Oj - zmartwiła się - uciekajmy, zdaje się, że mój występ zjednał mi zbyt wiele publiczności.

Zaczęły się więc przepychać między straganami w stronę owej brzęczącej muzyki, ale po drodze znów przystanęły na chwilę. Pokusa była zbyt silna. Na jęśliwej katarynce, brzęczącej jakąś straszliwą melodię, siedziała biedna, mała papużka i wyciągała dzióbkiem różnobarwne karteczki.

Sposób, w jaki kataryniarz zachwalał swoje wróżby, był tak nadzwyczajny, że Małgosia stanęła jak zahipnotyzowana i nie było nawet mowy, aby się stąd ruszyła, dopóki nie dowie się swojej "przeszłości, przyszłości i tego co jest teraz" - jak zapowiadał właściciel katarynki. Zakupiła więc co prędzej tak zwany "los", dodając do żądanej przez kataryniarza sumy, jeszcze naddatek dla biednej papugi.

Nieszczęśliwe, smutne ptaszysko, długo dreptało po ułożonych w małej skrzyneczce kopertach z przepowiedniami i najwyraźniej w świecie nie mogło się zdecydować, jakim losem obdarować hojną Małgosię.

- Widzisz! Ważą się w tej chwili twoje losy, Małgorzato - ostrzegła Nela. - Ja ci radzę, dołóż jeszcze parę groszy tej papudze, żeby wyciągnęła coś lepszego. Wygląda na przekupnego zwierzaka.

Ale w tym momencie widać papuga powzięła nagle postanowienie nie dręczenia dłużej Małgosi niepewnością i energicznie dziobnęła w jedną z kopert.

- Mądra papużka, dobra - pochwalił ją kataryniarz i wręczył kopertę Małgorzatce.

- Prędko, prędko czytaj i zobacz co jest wewnątrz koperty! - poganiały dziewczęta, zniecierpliwione do ostatecznych granic.

Z koperty wypadł niezwyklej rozmiarów pierścień z rubinem wielkości ziarnka bobu, co wywołało zrozumiałą sensację wśród jagodniańskich pupilek. Poza tym, nabywczyni przepowiedni wyciągnęła jeszcze małą, drukowaną karteczkę, z której wyczytała, że czeka ją w najbliższym czasie niezwykle podróż, podczas której pozna człowieka, który będzie jej przeznaczeniem. Człowiek ten będzie blondynem i będzie miał za sobą awanturniczą przeszłość, uspokoi się jednak po ślubie. Ponadto, wróżba zalecała unikanie kobiet ciemnowłosych, rozpoczynanie interesów w dni nieparzyste, oraz jazdę konną. Jako miesiąc szczęśliwy wymieniony był maj, a na loterii wskazane jest kupowanie losów, których cyfra zaczyna się od trójki. Kamień przynoszący szczęście - rubin.

- Noooo! Małgosiu, kochanie, widzisz teraz jak na dłoni, co masz robić aby ułożyć jak najszczęśliwiej swoją przyszłość - rozpromieniły się koleżanki. - Uważaj, blondyn! i to w dodatku, blondyn z awanturniczą przeszłością! Tylko znów ten wspaniały pierścień, przymierz go, Małgorzatko. Nic innego, tylko to będzie jakiś maharadża, bo któż inny mógłby ofiarowywać podobne klejnoty - orzekła Alda.

- Jakżeż może być maharadża, kiedy to przecież ma być jasnowłosa - zaoponowała Nela. - Przypuszczam, że to raczej będzie jakiś międzynarodowy hochsztapler, złodziej klejnotów i on to właśnie rzuci taki krwawy pierścień pod nogi naszej Małgorzaty.

- Bardzo możliwe - przytaknęła Bietka. - Zważywszy jeszcze Małgosine zamiłowanie do lektury detektywistycznej - wszystkiego można się spodziewać. Małgosiu, kochanie, ale włóż koniecznie ten pierścień na twą białą dłoń.

Małgosia w istocie usiłowała włożyć podarowany jej przez papugę klejnot na serdeczny palec, ale pierścień był tak olbrzymi, że utrzymywał się zaledwie na wskazującym, co nadawało Małgorzatce szczególnie dostojne pozory.

Bietka i Alda poszły co prędzej za jej przykładem. Los okazał się jednak wobec nich mniej hojny, obdarowując Bietkę zaledwie skromną brylantową broszą i obietnicą męża "bruneta o gwałtownym charakterze", przy czym zalecono jej unikać kąpieli w wodzie bieżącej, podczas gdy Alda otrzymała od Przeznaczenia "szatyna, domatora, lubiącego dzieci" a na dodatek do tego parę kolczyków ze szmaragdami. Broszę Bietka natychmiast wpięła w suknię, natomiast gorzej było ze wspaniałymi szmaragdowymi kolczykami, gdyż ani obdarowana, ani żadna z dziewcząt nie miały przekłutych uszu.

- Trzeba wobec tego kogoś uszczęśliwić - orzekła Nela. - Patrzcie, widzicie

tam te Cyganezki? Zaraz którąś obdarujemy, to są kobiety, które cenią klejnoty. A przy okazji, każemy sobie postawić karty. Chodź, Marianno! Zobaczmy co nam los przyniesie, czy wyjdziemy za mąż, czy też nie wyjdziemy i będziemy przebijać się przez życie, jako kobiety dzielne i niezależne od brunetów, tudzież blondynów z podejrzaną przeszłością, jak to przypadło w udziale biednej Małgosi.

I szybko pociągnęła Mariannę w tę stronę, gdzie mała gromadka Cyganów rozbiła namiot. Ciemnowłosi, zarośnięci mężczyźni o łagodnych oczach, sprzedawali patelnie, zachwalając melodyjnymi głosami, nadającymi się do dzikich, tragicznych pieśni, swój pospolity towar, a kobiety, przysiadłszy na ziemi w swoich kolorowych, falbaniastych sukienkach, wszystkie prawie prześliczne, drobne i rasowe, monotonicznie zapraszały na kabałę. - Powróżyć, ładna paniusiu, powróżyć!

Zatrzymały się właśnie przy nich, bo Nela obdarowała jedną z nich zielonymi kolczykami, a inna czarnula, siedząca obok tej obdarowanej, pociągnęła Mariannę za sukienkę. - Karty stawiać, powróżyć paniusiu - zaproponowała śpiewnie i podniosła na nią wspaniałe czarne oczy, oczy smutnej sarny, oczy dramatyczne i pełne tęsknoty.

I nagle, czarne, długie rzęsy zatrzepotały, a Cyganezka wpatrywała się przez chwilę w Mariannę, jak zahipnotyzowana. A Marianna? Ogarnęło ją jednocześnie uczucie niesamowitego zdumienia, lęku i niepokoju i po prostu nie wiedziała co ma począć. Cyganka była ta sama, ta sama z małej, nie zapamiętanej stacyjki. I najprawdopodobniej poznała Mariannę. Więc co robić? Może będzie chciała teraz zabrać Kleksika? Naturalnie, że może. Przecież ma do niego prawo, jeśli jest jego matką. A może nie jest matką, tylko tak po prostu chciała się go pozbyć, bo Kleksik był sierotą? Trzeba przez chwilę poczekać. Ach, jak trudno jest zachować zimną krew w takiej chwili i czekać. Cyganezka przygląda się jej z coraz większym niepokojem, i och! co za ulga - podnosi się od swoich rozłożonych kart i szybko się oddala. Nie, Marianna nie ma zamiaru zatrzymywać jej. Niech sobie idzie. Niech odejdzie, tym swoim tanecznym, płynnym cygańskim krokiem.

- No co, Marianno, dasz sobie powróżyć?

- Nie, Nelusiu, już późno, chodźmy dalej, tylko prędko. Małgosia nas woła.

- Marianno, kochanie, czy może ci niedobrze? - zaniepokoiła się Nela. -

Naprawdę, jesteś strasznie blada. To na pewno z upału. Ale też się zrobiło gorąco, jak na maj stanowczo za ciepło. Chodź, kochana, no chodź, napijesz się trochę wody i zaraz ci się zrobi lepiej.

Pozostałe dziewczynki, widząc Nelę podtrzymującą Mariannę, zawróciły co

prędzej i gwałtownie zajęły się ratowaniem pobladłej istotnie dziewczyny. Zaraz gdzieś w pobliżu znalazła się budka z wodą sodową, co okazało się środkiem znakomitym i przywracającym równowagę ducha, jak również i humor.

- Już dobrze się czujesz, prawda? - upewniła się Małgosia, a otrzymawszy przytakującą odpowiedź, dodała: - No, to maszerujemy dalej. Proponuję, abyśmy mdlejącą Mariannę zaniósł w lektyce w kierunku karuzeli. Słyszę już z daleka te fascynujące dźwięki i nie wątpię ani przez chwilę, że mała przejażdżka tego rodzaju, doskonale jej zrobi. Prawda, Marianno?

W istocie, w tej stronie rynku, gdzie wskazywała Małgosia, kręciła się wspaniała, ogromna karuzela. Obracała się przy dźwiękach przeraźliwej muzyki, przypominającej, jak zapewniała Bietka, muzykę bojową najdzikszego plemienia ludożerców afrykańskich. Właśnie w tej chwili, kiedy się zbliżyły, karuzela przystanąła i następowała zmiana pasażerów w umieszczonych na karuzeli pojazdach w rodzaju gondoli, łabędzi, czy też rumaków, albo i niesamowitych dzikich zwierzaków. Małgosia, z radosnym okrzykiem, dosiadła natychmiast wspaniałego, kropiastego niczym biedronka rumaka, pozostawiając pędzącego przed nią, pasiastego jak tęcza tygrysa dla Neli. Alda, Bietka i Marianna, stały przez chwilę niezdecydowane. - No, wsiadajcie, prędzej, bo zaraz ruszy - namawiały je dwie dzielne amazonki. - Zobaczycie, jak to jest strasznie przyjemnie. Marianno, kochanie, nic się nie bój, wsiadaj do tej romantycznej gondoli. Prędzej, bo będziecie żałować i nigdy w życiu nie darujecie sobie, żeście nie skorzystały z tej okazji. Alda! spójrz prędko, na tego wspaniałego smoka. Jeszcze chyba nigdy w życiu nie jeździłaś na smoku. Spróbuj go dosiąść, a zaraz łatwiej dasz sobie radę z Witaminą. Co wprawa, to wprawa, moje dziecko. No, słyszycie, co mówi ten wytworny gentleman zbierający marne grosze za tak niezwykłą jazdę? - zaraz ruszamy.

Zachęczone tyloma argumentami, Marianna i Bietka wgramoliły się do szaleni barokowej gondoli, podczas gdy Alda istotnie zdecydowała się dosiąść zielonego jak trawka majowa smoka.

- Szanowne państwo, karuzela poniekąd rusza - zaanonsował odjazd dyrektor imprezy, zebrawszy uprzednio gotówkę należną za tyle wspaniałych wrażeń. I karuzela, razem ze wszystkimi pojazdami i zwierzakami, zaczęła się powoli poruszać.

Nagle, już w ostatniej, ale to najzupełniej ostatniej chwili przed prawdziwym rozpędzeniem karuzeli, do białopiórego łabędzia, jadącego właśnie bez pasażera, a umieszczonego za rumakiem Małgosi, wskoczył w biegu jakiś młodzieniec.

Mariannie, która zobaczyła go dosłownie w przelocie, wydał się dziwnie znajomy, przypominał jej kogoś, ale nie mogła sobie przypomnieć kogo. Ach, mniejsza z tym! Grunt, że najgorsza chyba w jej życiu chwila, jest już za nią, i że jazda na karuzeli jest naprawdę przyjemna i zabawna i ma swój urok.

Tymczasem Małgosia, cwałująca na swoim rumaku, usłyszała za sobą parę barytonowych okrzyków w rodzaju: hip! hip! hura! po czym tenże baryton, zagadnął ją pokornie, czy znakomita amazonka nie zechciałaby spróbować pysznej pomarańczy? Naprawdę, jest to pomarańcza wyjątkowo słodka i soczysta!

Małgosia odwróciła się do pytającego z tak srogą i dostojną miną, że na pewno nawet sama Witamina nie potrafiłaby znaleźć się godniej.

- Zawsze uczono mnie, że nie należy brać słodyczy od nieznajomych!

- Ale pomarańcza nie jest słodyczą - zaprzeczył gwałtownie jeździec.

- No tak - stropiła się nieco Małgosia, ale zaraz dodała triumfująco - ale druga część pedagogicznego zalecenia pozostaje nadal w mocy.

- Chodzi czcigodnej amazonce o to, że od nieznajomego? Drobiazg! Czy wolno mi wymienić moje rodowe zawołanie i tak dalej?

- Dziękuję, nie jestem ciekawa!

- Szkoda! Ale chyba wobec tego, że przybywam do pani na łabędziu, domyśla się pani, że jam jest rycerz Lohengrin, a ojcem moim Parsifal! I dlatego...

Trrrrrr! Ach, czasem zgrzyty bywają naprawdę nieprzyjemne. Tak właśnie brutalnie i niespodziewanie zatrzymała się w tej chwili karuzela, głusząc swoim zgrzytem dalsze słowa.

Małgosia, z lekkim zawrotem głowy, wywołanym jazdą, rozglądała się niepewnie. Marianna i Bietka, gramoliły się ze swojej gondoli, nawołując Aldę, aby prędzej rozstała się ze smokiem.

- Nie mogę - jęczała Alda - dostałam czegoś w rodzaju kołowacizny i nie jestem w stanie utrzymać się na nogach.

Tylko Nela jakoś dobrze wyszła z tej jazdy. Jak przystało na poskramiaczkę tygrysów, zeskoczyła ze swojej bestii pogodna i ciesząca się najlepszym zdrowiem. Teraz, razem z Marianną pomagała zsiąść Aldzie.

- Czy wolno pomóc Pentesilei? - zabrzmiał znów koło Małgosinych uszu znany już baryton.

- Jak na Lohengrina jest pan dość biegły w mitologii - zauważyła, zeskakując samodzielnie ze swego kropiastego rumaka. Chciała jeszcze teraz łaskawie i chłodno

skinąć głową samowzważczemu potomkowi Parsifala, kiedy spostrzegła ze zdumieniem, że tenże podskoczył gwałtownie w stronę Marianny i wita się z nią radośnie.

- Boże! czy to możliwe? Moja śliczna, prawdziwa miss! Czy mogłem marzyć o takim szczęściu, że będę panią tu dziś oglądał? Pani chyba mnie poznaje?

- Naturalnie! - ucieszyła się szczerze Marianna. - Jakżebym mogła nie poznać tak znakomitego cudzoziemca? Czy pan też tu dzisiaj bawi w charakterze rodowitego Anglika? Czy może dla odmiany jakaś inna narodowość? Na przykład ekscentryczny Amerykanin, rozkoszujący się polskim folklorem! I jak było tym razem z biletem kolejowym?

- Ach, widzę, że moja urocza miss zamieniła się w mniej uroczą, ale jakże jadowitą krajową gosposię w krakowskiej chuście - gadał wesoło - ho, ho, jak to się wyrobiło! jakie ostre w języczku! Co pani tu właściwie porabia? Bo ja, naturalnie, przyjechałem na reportaż. Barwny folklor i tak dalej! A pani?

- Rozumiem. Redaktor Smolik na reportażu!

- Właśnie. Ale ja jeszcze w dalszym ciągu nie wiem, jakim cudem pani tu się znalazła, i to w dodatku na karuzeli!

- Cóż w tym niezwykłego? Przyjechałyśmy z Jagodnego na jarmark.

- Z Jagodnego? to z t e g o Jagodnego?

- Z tego samego - zapewniła Marianna.

- Ze szkoły narzeczonych? Ależ to cudownie! Zaraz napiszę w moim reportażu o tym, że pośród wybitnych osobistości, które zaszczyliły jarmark swoją obecnością, była..., przepraszam, zdaje się, że powinienem tu użyć liczby mnogiej: były...

- Właśnie - przerwała Marianna - były. Pozwólcie - zwróciła się do dziewcząt - pozwólcie, że wam przedstawię: redaktor Smolik. - Moje koleżanki!

- Więc nie Lohengrin?

- To tylko chwilowo! Poza tym zawsze - do dyspozycji srogiej Pentesilei. W braku łabędzia chętnie jednak będę używać innych środków lokomocji.

- Zdaje mi się, że bardzo odpowiedni do tego celu mógłby być gąsior - zastanowiła się poważnie Małgosia, bo akurat jakiś długonogi tubylec przeganiał przed nimi stado gęsi, z olbrzymim gąsiorem na czele.

- Co wy wygadujecie? - zdumiała się Marianna. - Co prawda Małgosia jechała na karuzeli. A pan też zdaje się jechał, bo mi pan tak jakoś dziwnie mignął, niby

nadprzyrodzone zjawisko, w tym wspaniałym skoku i tylko zrazu nie mogłam sobie uprzytomnić, kto to jest. Więc powiedzcie mi zaraz, czy rzeczywiście jazda na karuzeli może być tak niebezpieczna i tak wytrącać ludzi z równowagi?

- Ma pani rację - westchnął sentymentalnie dziennikarz. - Może to działanie karuzeli. A może po prostu wiosny?...

- Zdaje mi się wobec tego, że ten reportaż zostanie napisany wierszem - zauważyła niewinnie Nela.

- Kto wie? - westchnął jeszcze rzewniej. Ale zaraz sobie coś przypomniał, bo sięgnął do teczki i wydobył z niej wspaniałe pomarańcze. - Chyba teraz przyjmie pani - zwrócił się do Małgosi bardzo pokornie - bo to już od znajomego.

Pomarańcze przydały się nadzwyczajnie, bo po bardzo miętowych piernikach dziewczęta miały szalone pragnienie.

- Co panie zamierzają robić dalej? - interesował się gorliwie młody gentleman. - Może huśtawki, może diabelski młyn, a może pierwszy i ostatni występ słynnego profesora czarnej magii, Pafinella?

- O, to coś dla nas - ucieszyła się Alda - a zwłaszcza dla Małgosi, bo ona zna się na tym doskonale i jest praktykującą czarodziejką.

- Nigdy w to nie wątpiłem i miałem szczęście przekonać się o tym osobiście - szepnął uczuciowo baryton.

Ale Marianna przypomniała sobie naraz - któraż to może być godzina?

Okazało się, że jest za cztery minuty trzecia. A na trzecią miały być przy postoju autobusów. Ojej! Co to będzie? Trzeba pędzić, ale czy zdążą? - Do widzenia panu!

- Myślę, że mógłbym paniom pomóc w szybszym dostaniu się na miejsce - ofiarował się dziennikarz. - Ja panie przeprowadzę przez ten tłum.

Ach, to było świetne, kiedy szedł pierwszy i rozsuwał wszystkich, nawołując, aby zrobić miejsce. Ludzie ustępowali z zaciekawieni i wtenczas Smolik z triumfem prowadził dalej jagodniańskie uczennice. Aż wreszcie przywiódł je szczęśliwie do postoju autobusu i pożegnał pięknym ukłonem, po czym oddalił się w milczeniu a dostojnie, jak przystało na przedstawiciela poczytnej prasy.

- Kto to jest? - rzuciły się do nich z pytaniem dziewczęta.

- Ach, to syn niejakiego Parsifala - niedbale poinformowała Małgosia.

- Odniosłam wrażenie, że on wygląda zupełnie dobrze - łaskawie oceniła Jolanta, spoglądając życzliwie na długonogą sylwetkę w sportowym garniturze. - Czy

ten jego ojciec o którym wspomniałaś, to jest fabrykant marmolady?

- Niezupełnie Joleczko - wyręczyła w odpowiedzi Małgosię Nela.

ROZDZIAŁ 13 - OBIERANIE KARTOFLI JAKO SYSTEM PEDAGOGICZNY

W obieralni panowała cisza. Oskrobane do czysta kartofle z pluskiem wpadały do wiaderka z wodą. Chlup! Chlup! Chlup! Chlup!

Zręczne palce Marianny sprawnie operowały małym ostrym nożykiem, spod którego spadały wąskie i cienkie wstążeczki kartoflanych obierzyn. Cierpliwie wydlubywała ciemne skazy z białego miąższu i wykrawała zdecydowanym ruchem większe plamy. Od czasu do czasu niespokojnie spoglądała na Nelę, która szybko i niedbale śmigała ostrzem nożyka, odrzucając grube kawałki obierzyn. Już nawet Małgosia stanowczo lepiej obierała - przynajmniej chociaż równo. Też trochę za grubo, ale porządniej.

Żadna z nich nie przerwała milczenia, a prawie miarowy plusk wody, towarzyszący wrzucaniu kartofli, przypominał dźwięk kropel deszczu uderzających o rynnę. Wrażenie potęgowało się tym więcej, że za oknem był dzień szary, mglisty i bardzo ponury.

- Boję się, że nigdy nie skończymy tego obierania - zauważyła wreszcie melancholijnie Małgosia.

- Naturalnie, że nie - przytaknęła Nela, marszcząc tragicznie brwi. - Mam fatalne przeczucie, że są to dożywotnie, ciężkie roboty, od których już nic nas nie uwolni, chyba że jakieś niezwykle wydarzenie.

Marianna spojrzała na nią wystraszonym wzrokiem, ale zaraz uśmiechnęła się.
- Wcale nie będziemy siedzieć do końca życia. Jeszcze najwyżej godzinę, tak, na pewno.

- Skąd wiesz!? - Nela była niedowierzająca i zniechęcona.

- No, przecież mamy obrać wszystkie kartofle ze skrzyni, a tu już nie będzie więcej niż dwadzieścia kilogramów. A teraz przypomnij sobie drobny szczegół z organizacji pracy domowej: ile kilogramów może i powinna obrać dobra pracownica w ciągu jednej godziny?

- Siedem - odpowiedziała odruchowo Nela, bo pytanie było zadane zupełnie pedagogicznym tonem.

- A trzy obieraczki?

- Och, Marianno, otucha zaczyna wstępować w moje serce. Cóż znaczy godzina wobec witającej jutrzeńki swobody?

- Widzę, że zaczynasz odzyskiwać humor - mruknęła Małgosia - ale boję się, że jeśli Witamina zbada dokładnie grubość twoich obierzynek, to skłonna będzie dołożyć nam drugie tyle ziemniaków.

- Myślisz? Ojej, gotowa jestem poprawić się natychmiast. Marianno, kochanie, popatrz, bo ty jesteś rzeczoznawcą, prawda, że już obieram lepiej? A w każdym razie znacznie cieniej? A swoją drogą powiem wam, że nic a nic nie czuję żadnej skruchy, żadnego żalu. No trudno, obrałyśmy trochę kartofli, ale za to, co za rozkoszne wspomnienia!

- Obawiam się, że jesteś tak zwanym trudnym dzieckiem - zauważyła Małgosia - jeśli kara nie wzbudziła w tobie należytej skruchy. Co do mnie, jestem skruszona, jak pieczeń po dłuższym leżeniu w occie. A wyobrażam sobie, co odczuwa Marianna, nasza najgrzeczniejsza dziewczynka w całym Jagodnem. Nasza wzorowa prymuska, nasza chodząca czytanka szkolna dla dziatwy ze szkół podstawowych.

- No, no, nie używaj tak sobie na mnie - odcięła się Marianna - najlepszy dowód, że nie jestem taką czytanką, jeśli tu z wami pokutuję.

- Bo ty jesteś zaklętą dobrą królową - pocieszyła ją i łagodziła Nela. - Ty jesteś szlachetna, a my jesteśmy te złe siostry. I jakby tu przyszedł królewicz, toby na pewno wybrał szlachetnego Kopciuszka...

- I zabrał ją ze sobą do Krakowa, na ciastka i do kina, i może na koncert. A że Kopciuszek jest zawsze bardzo miły więc zabrałaby z sobą i te gorsze siostry też.

- Dajcie spokój - uciszyła je Małgosia. - Na pociechę przypomnijcie sobie lepiej, jak to było wczoraj. Ach uroczo!

- Uroczo - westchnęła Nela, zapominając o obieraniu. - Te trybuny pełne ludzi, przybrane kwiatami.

- I my wśród tych kwiatów, jako najpiękniejsze okazy - z niejakim powątpiewaniem podchwyciła Marianna.

- Ach, nie bądź taka Marianno - rozgniewała się Nela. - Najważniejsze jest to, że byliśmy. I to gdzie? W łoży prasowej na najprawdziwszych zawodach hippicznych.

- Dodaj: międzynarodowych - dorzuciła w upojeniu Małgosia.

- Właśnie! międzynarodowych! To nie byle co! To mnie naprawdę przejęło! To mi się naprawdę podobało. Trudno, przyznaję się, że się cudownie czułam. A każda z nas z pudełkiem czekoladek! - westchnęła rozrzewniona wspomnieniem Marianna. - Bardzo to doprawdy było ładnie ze strony twojego Lohengrina Małgosiu,

że pomyślał o tym.

- Przede wszystkim, wcale nie mój!

Zaprzeczenie było tak gwałtowne, jak intensywny był towarzyszący mu rumieniec. - Przecież wiadomo ogólnie, że to jest przede wszystkim twój znajomy, Marianno, kochanie.

- Ach, mój też, ale wobec mnie był taki sobie zwyczajny. Ani Lohengrin, ani na łabędziu, ani syn Parsifala, ani wreszcie taki żądny mego towarzystwa. Owszem, o tyle o ile, jak to się mówi! Poza tym bardzo miły chłopiec, sama przyznasz, bardzo uprzejmy i dobrze wychowany.

- No nie wiem, czy jest tak dobrze wychowany, skoro oszukuje starsze osoby - wyraziła powątpiewanie Nela.

- Wcale nie oszukiwał! - zaprotestowała tym razem gwałtownie Małgosia. - Przepraszam bardzo, była to mała, niewinna mistyfikacja, a zresztą zdaje się, że nie on sam to urządzał.

- Bardzo ładnie z twojej strony, że bronisz uciśnionych, Małgosiu. Jest to jeszcze jedna dodatnia cecha twego charakteru, niepotrzebnie przez ciebie ukrywana. Lojalność i wybranie nieobecnych, którzy sami nie mogą się bronić, dowodzą wrodzonej szlachetności - sentencjonalnie zauważyła Marianna. - A ponadto, któż by się spodziewał, że nasz szlachetny redaktor Smolik jest przyjacielem twego brata. Jaki to jednak świat jest mały!

- Marianno, błagam cię, nie używaj takich banalnych zwrotów. Przecież wiesz, że dążę do tego usilnie, abyś nie była tak okropnie wzorowa i nie mówiła tak pięknie zaokrąglonymi zdaniami! A co do tej znajomości, to moja droga, bardzo boleję nad tym, że Smolik zadaje się z tego typu ludźmi, jak Jacek. Ty nawet nie wiesz do czego on potrafi być zdolny i jakiego rodzaju szaleństwa przychodzą mu do głowy. Ja ci ręczę, że gdyby nie Jacek, on sam nigdy by nie wpadł na pomysł telefonowania w ten sposób. Zresztą ja też, co prawda zaraziłam się na dystans Jackowym wariactwem i zorganizowałam po części tę wyprawę. Ale chyba przyznacie, że organizacja była pierwszorzędna, co?

- Zupełnie niezła - wspaniałomyślnie pochwaliła Nela.

- Co prawda, kiedy się tak teraz nad tym zastanawiam, to nabieram przekonania, że mogło się doskonale obejść bez udawania przez chłopców zachrypniętej wujenki, i że gdyby Jacek zatelefonował najzwyczajniej w świecie do pani Hurłowej, że chciałby nas zabrać na zawody konne, na pewno byłaby pozwołała.

Ona żywi głębokie zaufanie do armii, i nawet tak młodocianemu przedstawicielowi siły zbrojnej, jak Jacek, powierzyłyby bez obawy opiekę nad podobnie cennymi obiektami, jak nasza trójka. Ale cóż, kiedy taka wyprawa miała tysiąc razy więcej uroku, przyznajcie same. I właściwie nic strasznego się nie stało! Bo przecież Jacek czuwał nad nami, a nasz Lohengrin ulokował nas w tak potężnej twierdzy, czyli łoży prasowej! Ale wiecie, kiedy sobie przypomnę zdumioną i przerażoną minę Witaminy! Sunęła ku nam jak posąg Komandora.

- Właśnie! Musiała się zjawić naturalnie, w najcudniejszym momencie, kiedy ten Amerykanin finiszował. - Nela z irytacji zaczęła znów grubiej obierać ziemniaki.

- Ale była na tyle taktowna, że nic zrazu nie powiedziała i pozwoliła nam popatrzeć do końca - przyznała Marianna.

- Nie broń Witaminy Marianno. Bo cóż z tego, że od razu nic nie mówiła. Ale potem zaraz zabrała nas do autobusu i eskortowała z miną dozorczy więziennego. Strasznie żałuję, że nie zakuła nas przy okazji w kajdany. To dopiero byłoby wspaniałe. Mam nadzieję, że Małgosiny rycerz, czyli nasz drogi Lohengrin rzuciłby się nam na odsiecz, a potem opisałby to wszystko w swoim piśmie, pod tytułem: "Nasz korespondent donosi..."

- Myślisz Nelusiu, że dałby jej radę? - powątpiewała Małgosia. - Ale powiedzcie mi tylko, jak to się stało, że Witamina akurat też tam musiała się znaleźć. Kto, jak kto, ale ona? Nigdy bym jej nie podejrzewała o sportowe zainteresowania.

- Może ona też chce być Pentesileą? - mruknęła od niechcienia Nela. - Nie rozumiem, czemu tak się zaczerwieniłaś Małgosiu?!

- Ja wiem, dlaczego ona tam była - wtrąciła spiesźnie Marianna, bo żal jej było zarumienionej Małgorzatki.

- Odkąd to i skąd nasza cicha i tak strasznie grzeczna Marianna, zaczyna znać różne plotki. A fe! Marianno, to nie wypada. Ale trudno, jeśli już zesłaś na tak złe drogi, to prędko gadaj i od razu, najpierw powiedz, skąd to wiesz!

- Mniejsza o to skąd - Marianna zrobiła w tej chwili strasznie ważną minę - wiem i już. Nigdy byście nie zgadły, co to był za powód. Ja też się okropnie zdziwiłam. Więc słuchajcie, podobał się wam ten porucznik artylerii? No ten, na takim karym koniu! Ojej, nie pamiętacie? Zachwycaliśmy się, że tak ślicznie i lekko bierze przeszkody!

- Ma się rozumieć, że go pamiętamy, był wspaniały! Ale Marianno, kochanie - zaniepokoiła się Nela - co to ma wspólnego z Witaminą? Nie dręcz nas, Marianno,

czyżby to była jakaś niezwykła, romantyczna historia?

- Przypuszczam, że była to romantyczna historia, ale sądząc z wieku artylerzysty, musiała mieć miejsce chyba co najmniej przed dwudziestu pięciu laty.

- To jej syn? - zdumiała się Nela.

- Szalenie jesteś domyślna, Nelusiu - zemściła się za Pentesileę Małgosia - cóż za błyskotliwość wnioskowania. - Jednocześnie z radosnym okrzykiem triumfu wydobyla ze skrzyni ostatni kartofel.

- No, wykonałyśmy zadanie naprawdę, niby ten Kopciuszek gnębiony przez złą macochę. Teraz chyba pojedziemy na bal do królewicza, co dziewczynki?

- To jest propozycja nie do pogardzenia - westchnęła Nela - jak myślisz, Marianno?

Wtem, przy drzwiach kuchennych, prowadzących z kuchni do obieralni, rozległo się jakieś chrobotanie i ciężkie kroki.

- A co? Nie mówiłam? - ucieszyła się Nela - słyszycie? To dworzanie z królewskiego orszaku, przychodzą zabrać nas na bal.

Tymczasem nie byli to jednak ani dworzanie, ani królewicz, tylko kochana pani Cegłowska, która przyszła zobaczyć, co porabiają pokutnice.

- No cóż, proszę pani - powitała ją Małgosia - siedzimy tu takie biedne męczennice i pracujemy ciężko. Nie jestem pewna, czy już jest jakaś patronka od obierania kartofli, czy też nie. Bo ja bym chętnie kandydowała na taką właśnie. Małgorzata - patronka obieraczek. Nawet nieźle brzmi! I powiedzcie tylko, czy nie mam należycie uduchowionego wyrazu twarzy.

Nela zrobiła w tej chwili minę wyraźnie powątpiewającą o nadających się do kanonizacji kwalifikacjach Małgosi i chciała nawet powiedzieć jej coś na ten temat, ale właśnie pani Cegłowska zaczęła już mówić o tym, że chociaż pora podwieczorku minęła, to jednak panna Janina prosiła, żeby im coś zostawić, bo pewnie są bardzo głodne. Więc pani Cegłowska, która ma też miękkie serce, przygotowała świeżą, pachnącą kawę i mleko jest piękne, ze śmietanką, a do tego dopiero co upieczone bułeczki z makiem, które panna Marianna tak lubi. Marianna była jej pupilką i cieszyła się specjalnymi łaskami, z racji swoich kuchennych talentów i zamiłowań.

- Pani Cegłowska jest genialna, to nie ulega najmniejszej wątpliwości - oświadczyła stanowczo Nela.

- Ale nasza Janinka też zaczyna być strasznie miła - broniła Marianna wychowawczyni.

- Tak, ostatnio bardzo się zmieniła na korzyść - przyznała rację Małgosia - i powiem wam, że ją teraz naprawdę lubię.

- A widzisz! Czuję, że z czasem zapłoniesz gorącą namiętnością i do naszej srogiej Witaminci. Moja droga, wcale bym ci się nie dziwiła, wobec tego, że Witamina posiada tak udanego syna gotowa jestem wiele jej przebaczyć.

- ...i zostać jej synową - dodała Małgosia, za co została trafiona pociskiem z nadkrojonego kartofla.

Jadły podwieczerek w jednej z sal kuchennych przylegających do piekarni. Było im teraz ciepło i miło, kiedy tak sobie gadały wesoło, zapomniawszy już o pokucie. Pani Cegłowska zachwycona ich apetytami, przyniosła im wbrew regulaminowi jeszcze trochę drobnych, kruchych ciasteczek, bo miała taki spiżarniany zapas dla nadzwyczajnych gości.

- Niech żyje nasza kochana pani Cegłowska! - wzniosła kurtuazyjny okrzyk Małgosia i kiedy właśnie miała zamiar odtańczyć jakiś wspaniały taniec na środku kuchni (wszystko na cześć kochanej Cegłosi) przyszła ta ładna Zosia z trzeciego kursu po Mariannę.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Marianna.

- Chodź na górę - powiedziała Zosia i miała bardzo poważną minę. - Cyganiątko zachorowało.

ROZDZIAŁ 14 - SIOSTRA GOSPODARCZA

Okazało się potem, że Kleksik dostał zapalenia płuc. Były to smutne dni w Jagodnem, bo przez pewien czas zupełnie było nie wiadomo czy da się go uratować. Doktor Nadolska siedziała w Jagodnem bez przerwy, a pielęgnować go pozwolono tylko dwóm starszym dziewczętom z trzeciego roku: Terce Pełczance i Zosi. Czuwały więc przy małym na zmianę.

Marianna, nieszczęśliwa i mizerna, tkwiła ciągle w pobliżu pokoju dziecięcego, oczekując na wiadomości. Na razie nie wpuszczono jej wcale, tylko pozwolono rzucić na niego okiem, kiedy spał po zastrzyku. Wzruszył ją widok tego małego biedactwa, zmęczonego widocznie chorobą. Czarne rzęsy zamkniętych powiek rzucały cień jeszcze dłuższy niż zawsze na pobladłe, smagłe policzki. Atramentowe, poczochrane kudelki, znaczyły się żałośnie czarnymi pierścionkami na bieli poduszki.

- A co będzie, jeśli Kleksik umrze? Może gdyby był przy matce, nie zachorowałby? Marianna zaczęła przeżywać szereg najokropniejszych wątpliwości. Sama usiłowała siebie przekonać, że przecież to było jasne, że matka dzieciaka podrzuciła. Bo nie wątpiła teraz, że Cyganecka była matką małego. Ale nie chciała wcale zatrzymać go przy sobie. Nie kochała go widocznie, jeśli tak łatwo wyrzekła się dziecka, oddając je na los szczęścia w zupełnie obce ręce. Że nie zrobiła tego ani z nędzy, ani nie bolała nad tym szczególnie, to było jasne, bo przecież wtedy, na jarmarku w Nowym Targu, była raczej w dobrym humorze i nie wyglądała na matkę, którą trapi tęsknota za dzieckiem. I zresztą przecież najwyraźniej w świecie uciekła przed Marianną, zupełnie jakby się bała, że ta ją zatrzyma i każe zabrać małego. Tak więc, Marianna wyszukiwała wszystkie argumenty i rozważała je, aby być sama przed sobą w porządku i aby znaleźć usprawiedliwienie. Tymczasem choroba dzieciaka przechodziła różne fazy i te ciężkie chwile były może największą próbą, jaką dotychczas Marianna w życiu przeszła, próbą nie tylko uczuć serdecznych, ale także poczucia odpowiedzialności. Bo zdawała sobie mimo wszystko sprawę z tego, że to ona przecież błagała panią Hurlową, aby małego nigdzie nie oddawać, tylko pozostawić w Jagodnem. Być może, gdyby był gdzie indziej nie zachorowałby - robiła sobie wyrzuty, ale zaraz odrzucała te myśli niemądre i dziecinne, bo przecież to wiedziała na pewno, że nigdzie chyba nie mogli dbać o niego bardziej niż w Jagodnem.

Ale przyszedł kryzys, potem zaczęło szybko następować polepszenie i wreszcie, kiedy pewnego dnia mały wstał z łóżeczka i wyniesiono go przed dom na słońce, zdrowego i śmiejącego się, Marianna dowiedziała się i przekonała, że można płakać z radości. A panna Mirka widząc to, zauważyła. - No widzisz moje dziecko, ile to jest zmartwień z dziećmi. Może już straciłaś ochotę do pielęgnowania niemowląt, co? Przypuszczam, że ponieważ w ostatniej fazie choroby Kleksika, ty też pilnowałaś go na równi ze starszymi dziewczynkami, na skutek rzeczywiście wyjątkowego zezwolenia pani Hurlowej (mogę cię zapewnić, że to jest pierwszy wypadek w historii Jagodnego, żeby pierwszokursistkę dopuszczać do niemowląt), to może to będzie już zaliczone do twego kursu i na przyszły rok będziesz mogła mieć skrócone ćwiczenia z pielęgniarstwa.

Marianna spojrzała wtedy przerażona, a Małgosia wyręczyła ją spieszenie w odpowiedzi: - Panno Mireczko, proszę nie straszyć naszej poławiaczki podrzutków. Ona przecież marzy o tych zajęciach w dziecińcu i można śmiało liczyć, że wracając z wakacji, przywiezie co najmniej jeszcze z pół tuzina Cyganiąt, wydartych kochającym cygańskim matkom. A może tym razem nie będą to Cyganiątka, tylko Murzyniątka. Gdybyśmy tak na przykład wydelegowały ją na letni pobyt do Afryki...

- Przestań - zirytowała się Marianna. Bardzo nie lubiła, kiedy poruszano ten temat, bo zaraz przypominała sobie swój nieszczęsny wygląd w momencie przybycia do Jagodnego. - Przyznajcie się - wypytywała je nieraz potem - coście sobie pomyślały, kiedy zobaczyłyście mnie taką rozczochraną i brudną i w dodatku z dzieciakiem na ręku?

- Nie wątpiłam ani przez chwilę, że uciekłaś z jedynym dzieciakiem od brutalnego męża, który pastwił się nad tobą - zapewniała ją wtedy uprzejmie Małgosia, a Nela dodawała: - A ja od razu wiedziałam, że jesteś Genowefa z Brabantu, która na ogół żyje w lesie i tylko w rzadkich wypadkach biega po bardziej zaludnionych okolicach. Zdziwił mnie niepomnie brak sarny, która powinna by ci towarzyszyć.

Ach! jak to było dawno to pierwsze wejście pod dach w Jagodnem. Prawie dziesięć miesięcy temu. A teraz - teraz już kończy się rok szkolny, Marianna jest starą słuchaczką i przygotowuje się do otrzymania tytułu siostry gospodarczej. Czy rok temu, kiedy wysłuchiwała cennych rad ciotek, pomyślała że będzie oto szykowała się do tak wspaniałego tytułu, że będzie w Jagodnem? Ale swoją drogą trzeba koniecznie wszystko porządnie powtórzyć, żeby nie wpaść przy egzaminie. I żeby nie stracić tej

dobrej opinii, jaką sobie wyrobiła w ciągu roku szkolnego. Bo przecież naprawdę, jak głosi opinia koleżeńska, Marianna daje sobie doskonale radę ze wszystkim. A jeśli ośmieli się wspomnieć coś o tremie przedegzaminacyjnej Nela twierdzi, że jest to udawanie.

- Rozumie się, że ona tak kokieteryjnie jęczy, że się boi, że to niby nic nie umie, a potem dopiero będzie olśniewać nadmiarem wiedzy. Wstydz się, Marianno.

- Za to jedyną dodatnią stroną mojej sytuacji jest brak udawania - wzdycha melancholijnie Małgosia - ja już przynajmniej nie potrzebuję fatygować się z udawaniem, bo i tak nic nie umiem, o niczym nie mam pojęcia.

W rezultacie wszystko to były tylko takie opowiadania, żeby nie zapeszyć szczęścia, jak mówiła Bietka. Wszystkie dziewczynki były przygotowane bardzo porządnie i nawet Nela zdołała jako tako powtórzyć dietetykę przy pomocy Marianny.

- Nie męcz mnie, kochanie, lepiej od razu zabij - jęczała, kiedy Marianna kazała jej robić zestawienie potraw dietetycznych. - Nie mogę przecież umieć za dobrze, boby to mogło wyrzucić zbyt silne wrażenie na naszej Janince. Muszę szanować jej nerwy!

Obawy Neli były słuszne. Panna Janina niedowierzająco słuchała jej dobrych odpowiedzi i była mile zdziwiona, kiedy potrafiła w okamgnieniu wyliczyć grupy produktów białkowych. Ale sama Nela też niemniej się zdumiała, kiedy wreszcie po wszystkich egzaminach i pokazach wzorowego gotowania, dowiedziała się, że przebrnęła szczęśliwie przez niebezpieczeństwo i wreszcie przechodzi na kurs drugi z tytułem "siostry gospodarczej".

- Czy na pewno? Czy to nie jest jakaś pomyłka? - upewniła się na wszelki wypadek, kiedy pani Hurlowa przeczytała jej nazwisko na liście "sióstr".

Ale nikt chyba nie był tak szczęśliwy i dumny z rezultatów egzaminu i ze zdobycia stopnia "siostry", jak Marianna. No, nareszcie skończą się te rodzinne wydziwiania. Co znaczą dzikie łamańce baletowe Jolanty, albo szalone rekordy sportowe Iwonki, wobec wspaniałej wiedzy Marianny. Czy wreszcie Sabinka, ta trzecia gwiazda na firmamencie rodzinnym, potrafi zrobić przyzwoity obiad albo bodaj usmażyć porządnie sznycel? Marianna boleje tylko szalenie nad tym, że jakoś nie będzie wypadało tak pokazywać się bez powodu w uniformie, jaki siostry gospodarcze mają obowiązek nosić poza Jagodnem wtedy, kiedy na przykład odbywają praktykę u kogoś. Bardzo ładny jest ten uniform. Fartuszek z rękawami z

płócienka w biało-niebieską kratkę. Śliczny fason z kieszeniami, taki bardzo kobiecy i wdzięczny, a do tego miły i twarzowy czepeczek ze znaczkiem Jagodnego. Cała pociecha, że chociaż teraz już wolno jest nosić w kłapie ubrania ten znaczek.

Marianna postanowiła chociaż nim zabłysnąć przed ciotkami. Jest to mały, srebrny krążek z napisem Jagodne i z małym płomykiem w środku. - Jest to płomień ogniska domowego, czyli gotujcie na gazie - jak twierdzi Małgosia. Ale wiadomo, że dla niej nie ma nic świętego.

Więc teraz, kiedy już przebrnęły szczęśliwie przez wszystkie denerwujące momenty, związane zawsze z kwalifikowaniem, czy mogą być dopuszczone do studiowania na kursie drugim (na przykład doktor Gruszka miał poważne zastrzeżenia co do uzdolnień, no i wiadomości posiadanych przez Małgosię w zakresie leczenia drobiu) czekały już na nie tylko momenty, jak się wyraziła Nela - wzruszające, tudzież podniosłe. Trochę to było przykre, że nie wszystkie z ich kursu zdołały osiągnąć znakomitą godność drugokursistek, ale pocieszały się za to tym, że nie skompromitowała się w ten sposób żadna z lokatorek sypialni szóstej. Nawet Izabella!

- Wiesz? - zwierzała się Marianna Małgosi, kiedy szykowały się na wielką uroczystość zakończenia roku szkolnego - że naprawdę jestem strasznie przejęta. Chyba więcej niż gdybym szła na pierwszy bal.

- Doprawdy, aż trudno uwierzyć, że przyjechałaś z Warszawy - wtrąciła się do rozmowy Jolanta, równie cierpiąca z nadmiaru wytworności, jak i dziesięć miesięcy temu - masz takie entuzjastyczne wzloty, jakbyś pochodziła co najmniej z Wolsztyna... - Jesteś po prostu zaściankowa.

- Tylko nie śmiej mi tu mówić cokolwiek złego o Wolsztynie - zirytowała się Izabella, która właśnie przymierzała nowe lakierowane pantofelki, zbyt ciasne na jej dość masywne stopy. Syknęła boleśnie, bo szczególnie jeden, ten z lewej nogi uwierał nieprzyjemnie. Ale Izabella, jak przystało na posiadaczkę królewskiego imienia, zbagatelizowała tę drobną usterkę, wychodząc ze słusznego założenia, że nowe buty muszą zawsze być niewygodne. Było to zresztą, jak wyznała chichocząc, pełne życiowej mądrości zdanie pana Szczepana.

- Zapisz to wobec tego w albumie - doradziła Nela. - I w ogóle o dzisiejszym dniu też musisz napisać.

Ona sama niebożę, namęczyła się ze swoją czupryną, która po świeżym umyciu zachowywała się zawsze buntowniczo i ani rusz nie dała się ułożyć w jakieś

porządne uczesanie.

- Ja ci zaraz zrobię porządną fryzurę - pocieszała ją Marianna, która oprócz talentów kulinarnych miała jeszcze zdolności fryzjerskie.

- Poczekam więc na twoje ofiarne dłonie - oświadczyła Nela, wyszukując przez ten czas w swoich skarbach, co najcieńsze pończoszki.

- Ale naszykuj mi trochę spinek do włosów - zalecała tymczasem Marianna, upinając swoje ładne brązowe włosy, splecione w warkocze.

- Bardzo ci w tej koronie do twarzy, Marianno - orzekła Bietka - powinnaś tak się czesać przez całe życie.

Sama dopiero miała zabrać się do swojej toalety i właściwie miała rację. Była dopiero dziewiąta rano, a uroczystość miała odbyć się o dwunastej w południe, ze względu na przybycie delegatki Ministerstwa Oświaty.

Ale Marianna, naturalnie, jak to Marianna, wołała dla wszystkiego być już gotowa, zresztą czekała ją jeszcze funkcja garderobianej przy Neli i jeszcze na pewno tej trochę zwariowanej Małgorzatce też trzeba będzie albo coś na gwałt przyszywać, albo może i przeprasować, bo wiadomo było, że Małgosia ma szczególny talent zapominania o wszystkim.

- Fartuch masz uprasowany? - pyta więc dla wszelkiej pewności Marianna.

Ale fartuch jest uprasowany. Na szczęście! Za to Alda przypomina sobie, że ma fartuch skandalicznie pognieciony, bo przez pomyłkę schowała go pod poduszkę. Trzeba będzie zaraz lecieć do panny Mirki, żeby poratowała.

Szykują się teraz już prędzej, bo czas mija. Izabella porozwijała pracowicie swoje loki, co tworzy tak zwane uczesanie w makarony, jak to gastronomicznie nazwała Małgosia. Siedzi jeszcze na razie w pończochach i czeka do ostatniej chwili z włożeniem tych niewygodnych pantofli. Jolanta! ach, Jolanta - po swojemu okropnie wytworna. Fryzura wymyślna, na nóżkach pończochy jak mgielka, pantofle z przedziwnej skóry jakiegoś zwierzaka, a wonieje z daleka jakimiś kremami, wodami toaletowymi, jak chodzący zakład kosmetyczny. Małgosia chwilowo zajęta naciąganiem swoich najlepszych pończoch, nie ma czasu poświęcać uwagi innym.

- Czy te twoje nogi są bez końca? - informuje się ze zgrozą Nela, podziwiając długość kończyn przyjaciółki.

Małgorzatka miała właśnie zamiar udzielić jej odpowiedniego wyjaśnienia, kiedy naraz w sypialni szóstej wszczęła się istna awantura, wywołana tym razem przez Bietkę. Bietka, taka trochę pokrewna dusza Marianny, zwłaszcza jeśli chodziło

o porządek i zamięłowania kuchenne, sąsiadowała w sypialni z Lucyną Sempolińską, tą samą, która nazywała się nie wiadomo dlaczego Żabą. Z drugiej strony łóżka Żaby rezydowała Hanka Żmurkówna. No i właśnie teraz Bietka zaczęła pierwsza, a Hanka jej pomagała i tłumaczyły na wszelkie sposoby Żabie, aby uczesała się wreszcie po ludzku, jak się wyraziły. Żaba przestraszona, broniła się przeciwko modyfikacji swojej urody bardzo uparcie. Cieniutki warkoczyk, z gatunku tak zwanych mysich ogonków, zawsze z jednakową pieczołowitością upinała licznymi szpilkami, które miały, jak zapewniała Małgosia, raczej wszelkie pozory pogrzebaczy, niż szpilek do włosów.

- Żabciu, kochanie, dziś taka wspaniała uroczystość, uczesz się dziecino inaczej - zaklinała ją ze słodyczą Bietka. A Hanka poparła ją. - Zobaczysz, jak ci ładnie będzie w innym uczesaniu. No, spróbuj! Najlepiej byłoby obciąć ten warkoczyk i zawinąć loki.

Ale Żaba była nieugięta. Nie chciała za nic na świecie słuchać o poświęceniu swego warkoczyka na ołtarzu mody. Powiedziała twardo i nieustępliwie, że w domu nigdy by jej nie przebaczyli podobnego wybryku, bo uważają, że najwłaściwszym uczesaniem dla młodej panienki są splecione warkoczki.

- Żabciu, kochanie, tak byłoby ci tysiąc razy ładniej - kusiała Nela - patrz na mnie, widzisz, co uczesanie może zrobić z człowiekiem? Czy nie uważasz, że jestem oszałamiająco piękna w tej fryzurze? To arcydzieło Marianny. Własnymi rękami wyczyniła to na mojej głowie, wrywając mi przy okazji nieco włosów.

- Nie mów o wrywaniu, bo to ją może zniechęcić - syknęła Małgosia, zdenerwowana nieopatrnością Neli. I zaraz dodała głośniejszym głosem: - Wiecie, ja nawet kiedyś słyszałam, że po obcięciu włosy rosną zawsze intensywniej i nieraz robią się wprost olbrzymie. Takie gęste i długie.

- Czy doprawdy? - zapytała słabo Żaba.

- Oparte na badaniach lekarskich - gorąco zapewniła Nela.

- Ach, ale czy mnie naprawdę byłoby do twarzy w innym uczesaniu?

- Jak możesz powątpiewać Żabencjo o naszym dobrym guście? - uznała za stosowne obrazić się Bietka. A Alda i Hanka wydały okrzyki, świadczące o ich oburzeniu. - Zresztą, można nie obcinać - doradziła Bietka - przymierzyć, czy będzie ci do twarzy. Poczekaj! potrzynam ci tak włosy, patrz, o, widzisz, jak ładnie?

W istocie Żaba w zmienionym uczesaniu miała wszelkie szanse poprawienia swoich, tak zwanych warunków zewnętrznych. Pokusa była niezmiernie silna.

- No, ale w domu! Co powiedzą na to w domu? - nieszczęsna Żabencja zadrzała, wspominając ze zgrozą rodową awersję Sempolińskich do obciętych warkoczy.

- Ach, mogłabyś napisać list wyjaśniający - podsunęła Nela. - Wtedy, rozumiesz, pierwszy impet spadłby na list, tak że potem, przy spotkaniu, odnosiliby się do tego jako do rzeczy dokonanej.

Tak, to było dosyć przekonywujące. I właściwie, Bogiem a prawdą, przyjemnie byłoby wyglądać tak, jak wszystkie dziewczęta, mieć ładnie ułożone włosy, stosownie do typu urody. Żaba od dawna z niesmakiem i przykrością stwierdziła, że wyróżnia się spośród koleżanek, niezupełnie w ten sposób, jak by sobie tego życzyła. Wobec tego, zbuntowana i blada, bardzo stanowcza powiedziała głosem słabym i drżącym:

- Dobrze! Tnijcie!

Operacji dokonała Bietka. Przede wszystkim, jako inicjatorka tej imprezy, a po drugie, miała, jak twierdziła, szaloną wprawę w tego rodzaju zabiegach, gdyż strzygła osobiście wszystkie teriery, jakie hodowały się u niej w domu. Więc wobec tych bezkonkurencyjnych kwalifikacji, jej wręczono świeżo wyostrzone nożyczki, które Jolanta pożyczyła w drodze łaski.

Słaby, słabiutki zgrzyt i biedny, chudy kosmyczek, bardzo, a bardzo przypominający ogonek wątlej myszki, spadł u stóp Żabencji. Hanka podniosła go i wręczyła postrzyżonej. - Schowaj na pamiątkę - zaleciła głosem nieco wzruszonym, gdyż bądź co bądź była to w życiu Lucynki chwila dosyć doniosła.

Żabencja ujęła kosmyczek drżącą ręką i wsunęła szybko pod poduszkę, a potem powiedziała odważnie: - No, to teraz uczeszcie mnie po ludzku.

Ach! naprawdę! Minęło dwadzieścia minut zaledwie, kiedy spod lekkich, a zręcznych palców Marianny i Bietki ukazało się istne arcydzieło sztuki fryzjerskiej i tak bardzo odmieniona w tej nowej oprawie twarz Lucynki. Była naprawdę inna i ładna w tym skromnym ale twarzowym uczesaniu.

- Żabencjo! pokaż się! - zakomenderowała Małgosia - Boże! nigdy nie przypuszczałam, że jesteś aż tak przystojna!

- Czy rzeczywiście dobrze wyglądam?

- Słyszycie? Ona jest jeszcze pełna niedowierzania. No, powiedzcie same, dziewczynki! - irytowała się Nela.

- Nie jest to ostatni krzyk mody, ale ujdzie - zdecydowała łaskawie Jolanta, a

Izabella była zdania, że jest nieźle, tylko należałoby zrobić trochę więcej loków. I stanowczo obciąć grzywkę.

- O, co to, to nie, zacna Izabello Aragońska - stanęła w obronie Żaby Małgosia. - Niech już tak zostanie. Jest zupełnie dobrze.

- Prawda, proszę pani, że tak nasza Żabencja przedstawia się oszałamiająco? - zwróciła się wreszcie, jako do ostatecznego autorytetu do panny Janiny, która właśnie weszła do sypialni.

- Zupełnie nieźle - zaopiniowała wychowawczyni - bardzo miłutko nasza Lucynka dzisiaj wygląda. No, a jak tam z twoimi sukienkami, Małgosiu, wszystko w porządku? Nic nie przypięte agrafką? Bo przyjdę za godzinę i będę sprawdzać. Przykro byłoby mi zwracać uwagę komuś, kto za półtorej godziny otrzyma godność siostry gospodarczej.

- Oczywiście, że byłby to skandal! Ale ja już na pewno zadbam o moją niepokojącą urodę i poprzyszywam wszystkie guziki - zapewniła ją Małgosia.

- No, to prędzej, dziewczynki! Żeby mi potem nie było jakichś niespodzianek.

Zaczęły się więc już teraz spieszenie czesać i przebierać. Marianna, prawie zupełnie gotowa, pomagała innym. Nela biadała nad swoim zbyt obszernym fartuszkim. Bietka polerowała paznokcie. Jolanta ukradkiem pudrowała nos. - Nie mącz się, kochanie - przerwała jej tę czynność nietaktownie Małgosia - bo wyglądasz jak terier, który polował na myszy w workach z mąką.

- Zawsze te niemożliwe uwagi! - zdenerwowała się Jolanta. - Ostatecznie, trudno, żeby kulturalna kobieta chodziła ze świecącym nosem!

- A właśnie, że kulturalne kobiety noszą świecące nosy aż do siedemnastego roku życia - wyjaśniła Nela - więc nie obawiaj się, boska Jolanto, że będziesz nieelegancka. Polegaj na mnie. Prawda, Małgosiu?

- Oczywiście! Słyszałam nawet, że sama księżna Kentu zasięga opinii Neli w niektórych ważniejszych zagadnieniach z zakresu bon tonu i elegancji - poparła przyjaciółkę Małgorzatka.

- Dziewczynki już gotowe? - zapytała w tej chwili panna Janina.

- Prawie zupełnie! - zapewniły.

- No, to proszę szykować się do zejścia na dół, do dużej sali. Izabello, prędzej!

- Zaraz, zaraz - jęknęła rzewnie Izabella, wtłaczając przemocą swoje galowe pantofelki.

- Jolanta! Za dużo perfum! Alda! Bietka! Szybciej! Nela, jak widzę

tradycyjnie zbakierowany czepek! Marianno, zostaw tę kokardkę w spokoju, jest dobrze zawiązana. Hanka, Lucynka! A gdzie jest Lucynka?

- Może poszła przejrzeć się do dużego lustra na dole - wyjaśniła Jolanta, jako że sama tam często chodziła na kontemplacje swojego wyglądu.

- Ach, najwyższy czas, żebyście schodziły. Nela, może pójdziesz po Lucynkę, bo naprawdę jest późno i pani Hurlowa będzie się denerwować.

Żabę spotkała Nela na schodach. - Chodziłaś do lustra? Wcale ci się nie dziwię - zupełnie inaczej wyglądasz. Jesteś strasznie przystojna.

- Wcale nie chodziłam się przeglądać - szepnęła tragicznie Żaba. - Chodziłam zobaczyć się z Kazkiem, wiesz, tym, co jeździ na autobusie.

- Cóż to za podejrzane konszachty, Żabencjo?

- Ach, nie miałam przez kogo innego, więc przez niego, wiesz? Nadałam depeszę do domu. On mi to załatwi. Jest dosyć sprytny.

- Depeszę? Czy się coś stało, kochanie, czy może u ciebie w domu...

Nela była pełna współczucia i zaniepokojona.

- Nie, w domu nic - uspokoiła ją Żaba - tylko wiesz? Wolałam tak od razu uprzedzić o tym obcięciu włosów. List mógłby nie zdążyć dojść przed moim przyjazdem i wtedy musiałabym wszystko tłumaczyć mojej rodzinie. A tak, napisałam krótką depeszę, będą od razu wiedzieli, o co chodzi i na tym koniec.

- Oryginalna jesteś, Żabencjo, ale już teraz pędźmy, bo nasze dziewczęta dawno zeszyły na dół.

Uroczystość była wspaniała i wzruszająca. Przyjechała delegatka ministerstwa i szereg jakichś ważnych osób. Po przemówieniu dyrektorki przeczytano listę nowych siostr gospodarczych, przy czym każda z nich podchodziła do pani Hurlowej, aby otrzymać z jej rąk znaczek. Marianna, przejęta ogromnie, wróciła właśnie na swoje miejsce w szeregu, kiedy wywołano Izabellę. Izabella stała za nią, więc usunęła się, aby umożliwić jej przejście. Ale w tejże chwili poczuła pociągnięcie za fartuch i usłyszała błagalny szept: - Stój, nie odsuwaj się, ojej, co to będzie, jakże ja pójde boso?

- Izabella Czumerówna - powtórzyła cokolwiek zaniepokojona panna Janina.

- Ojej! gdzież on jest, ten pantofel - denerwowała się za plecami Marianny Izabella. Dziewczęta, dławiąc się ze śmiechu, pomagały szukać. - Tak mnie cisnęły, że zdjęłam na chwilę - wyjaśniała szeptem posażna jedynaczka, dając nurka za zaginionym lakierkiem.

Pani Hurłowa miała już zmarszczone brwi i nikt nie mógł wątpić, że jest zagniewana. Spojrzała jeszcze raz pytająco na szereg pierwszokursistek i w tej chwili Małgosia, bystra i sprytna Małgosia uratowała sytuację, mówiąc grzecznym tonem dobrej uczennicy, choć przed chwilą dławiała się ze śmiechu:

- Czumerówna jest chora.

- Wobec tego, składam jej znaczek na pani ręce - zwróciła się dyrektorka do panny Janiny. I wszystkie mieszkanki Jagodnego odetchnęły z ulgą.

- Jest! jest - obwieściła w tejże chwili triumfalnym szeptem Izabella. I zaraz wystąpiła z pretensją do Małgosi. - Dlaczego powiedziałaś, że jestem chora?

- Cicho, bo cię zamorduję - szepnęła Małgorzatka tak srogo, że biedna Izabella zrezygnowała już z dalszej wymiany myśli i kontentowała się tylko obserwowaniem dalszego ciągu uroczystości.

Wreszcie, tak zwana część oficjalna zakończyła się przemówieniem delegatki Ministerstwa Oświaty, po czym wszyscy goście zostali zaproszeni na śniadanie, arcydzieło kończących w tym roku szkołę słuchaczek.

- Ale przedtem może jeszcze parę zdjęć dla prasy? - zapytał ktoś znajomym głosem. To Lohengrin we własnej osobie! Zwrócił się właśnie z tym zapytaniem do dyrektorki. - Jest ze mną nasz fotograf i jeśli pani dyrektorka pozwoli?

- Proszę bardzo - odpowiedziała uprzejmie pani Hurłowa, nie zauważywszy gwałtownych znaków Witaminy, która w ten sposób pragnęła jej dać znać, że redaktor Smolik jest owym niebezpiecznym typem, który przebywał wtedy z trzema winowajczyniami w łoży prasowej. Na szczęście dla przestępczej paczki, w tej chwili zwróciła się do Witaminy z jakimś zapytaniem delegatka ministerstwa i zaabsorbowała ją całkowicie.

- Proszę, kolego zrobić kilka zdjęć - dysponował tymczasem strasznie ważny Lohengrin. - A może tak specjalnie na przykład tę grupę nowych sióstr gospodarczych, o te, które właśnie stoją pod oknem - i wskazał na rozważające jeszcze przygodę Izabelli lokatorki sławnej sypialni nr 6, przy czym złożył im ukłon godny księcia Walii.

- Patrz, Lohengrin - szepnęła do Małgosi zachwycona i trochę przestraszona Marianna.

Wzburzona tym widokiem Małgorzatka, miała właśnie coś odpowiedzieć, kiedy zbliżyła się do nich zdenerwowana i pobladła panna Janina, a za nią pani Hurłowa.

Trzy bywalczyńce i zwolenniczki zawodów hippicznych, spojrzały na siebie melancholijnie. Oczywiście, nic innego, tylko teraz dopiero będzie straszna awantura o tego Smolika i o tę wyprawę wtedy na konkursy. Albo on sam znów coś takiego wymyślił, tym razem bez pomocy Małgosinego braciszka. I Małgosia zdołała jeszcze w ostatniej chwili rzucić na Parsifalowego syna spojrzenie tak groźne, że kto inny padłby na miejscu. Ale naturalnie, takiemu dziennikarzowi to nic nie zaszkodzi. Nawet bazyliškowe spojrzenie!

- Słuchajcie dziewczynki - panna Janina była troszkę zadyszana, jakby od szybkiego biegu - słuchajcie, gdzie jest Lucynka? Jest telefon z Sosnowca, od jej rodziców. Odezwał się ojciec ogromnie zaniepokojony, ale nie wiadomo co się stało. Mówił coś...

- Przede wszystkim przywołajcie Lucynkę - poleciła pani Hurlowa. - Naprawdę nie mam pojęcia co się mogło stać. Pan Sempoliński był tak szalenie zdenerwowany, zapytywał o jakiś telegram. O... jesteś moje dziecko, to dobrze - przemawiała do niej łagodnie i czule pani Hurlowa, pragnąc delikatnie przygotować ją na ewentualnie wstrząsające wiadomości - widzisz...

- Właśnie kochanie - podjęła ze słodyczą panna Janina - był tu przed chwilą telefon z Sosnowca...

- Ooo, z domu? - zaniepokoiła się Żaba.

- Tak, z domu. Telefonował twój ojciec, ale przypuszczamy, że to na pewno nic tak groźnego. Na pewno nic takiego straszego się nie stało. Nie bardzo mogliśmy zrozumieć o co mu chodzi. Był trochę zdenerwowany...

- Zdenerwowany? - Lucynka miała tak przerażony wyraz oczu, że pani Hurlowa pospieszyła z pociechą. - Być może tylko takie wrażenie odniosłam przez telefon. W każdym razie będzie telefonować jeszcze za pół godziny. Pytał, czy jesteś zdrowa i czy się dobrze czujesz. Muszę zresztą przyznać, że początkowo musiałam się chyba przesłyszeć, albo twój ojciec myślał może, że rozmawia z kim innym, bo zaczął mi robić dość gwałtowne wymówki o jakieś niedopilnowane dziecko. A potem mówił coś zupełnie niezrozumiałego na temat depezy...

- Ach, dostał już depezę... - odetchnęła z ulgą Żaba.

- Widać dostał, jeśli ciągle o niej wspominał, czy...

- To cudownie, że tak prędko przyszła. A wysłałam ją zaledwie przed godziną.

- Jak to, moje dziecko, to ty nadałaś do domu telegram?

- Tak - wyznała pokornie cicho Żabencja.

- No dobrze, ale czy coś się stało takiego, że aż musiałaś niepokoić rodziców i porozumiewać się telegraficznie? Musiała to widać być ważna sprawa, i przypuszczam, że szkoła zasługuje na tyle na twoje zaufanie, abyś w wypadku, gdy masz jakies zmartwienie, zwierzyła się nam z niego. Może byśmy mogły coś na to zaradzić.

- Kiedy ja tylko w sprawie warkocza - wyjąkała słabo posiadaczka nowej fryzury.

- W sprawie warkocza? - zdumiała się niepomiernie dyrektorka.

Więc panna Janina pospieszyła zaraz z wyjaśnieniem. Że owszem, wiadomo jej jest, że Lucynka zgodziła się dziś rano na obcięcie tej wątlej ozdoby swojej urody i jak to widać, zmieniła uczesanie.

- Tak jest bardziej do twarzy - wtrąciła nieśmiało Małgosia, zgromiona natychmiast spojrzeniem wychowawczyni. Ale pani Hurlowa przyjęła uwagę przychylnie i nawet skinęła lekko głową na znak, że Małgosia ma rację.

- No, ale jeszcze nic mimo to nie rozumiem - zwróciła się dyrektorka do Lucynki.

- Bo ja nie chciałam, żeby ojciec od razu zobaczył mnie bez warkocza. Ojciec jest ogromnym konserwatystą, więc wołałam go uprzedzić.

- Ale czemu aż telegraficznie, moje dziecko?

- Ach, list musiałby być obszerny, zawierać motywy, wyjaśnienia. A telegram przynajmniej może być lakoniczny. Zawiadomiłam i koniec.

- Niemniej, twój ojciec robił wrażenie wstrząśniętego tą nowiną, kochanie.

- Nie rozumiem dlaczego! Napisałam wyraźnie w depeszy, żeby nie miał żadnej niespodzianki: "trudno, stało się, proszę mi oszczędzić wymówek".

- Czy doprawdy tak napisałaś? - zapytała spieszenie, krztusząc się przy tym lekko, panna Janina. - I na pewno ani słowa więcej?

- Tylko tyle! - zapewniła zadowolona z siebie Żabencja. - Jestem pewna, że od razu zrozumiał o co chodzi. Chyba było dość jasno powiedziane - dodała trochę zaniepokojona dziwnym wyrazem twarzy wszystkich.

- Ach, właśnie mam pewne obawy co do tego, moje dziecko - oświadczyła pani Hurlowa i oddaliła się spieszenie, dziwnie pogodna.

- Rzeczywiście masz talent, Żabciu - zdumiała się Małgosia - stanowczo powinni ci powierzyć redagowanie depesz dyplomatycznych.

- A co? prawda, że dobrze napisałam? - ucieszyła się Lucynka, i zrobiła

ogromnie dumną minę, bo właśnie fotograf sfilmował ich grupę.

Teraz wreszcie nadeszła kolej na rozmówkę z Lohengrinem.

- Skąd pan tu się wziął - rozpoczęła indagację bardzo srogim głosem Małgosia
- wcale pan nie był zaproszony.

- Prasa jest wszędzie, prasa wie wszystko - oświadczył, skłaniając się pokornie Lohengrin, tak że brakowało tylko pióropusza u szyszaka.

- No, dobrze, ale w jaki sposób pan się dowiedział, że tu jest u nas taka uroczystość? Przeczuwam, że to Jacek panu wygadał. Boże, cóż to za skaranie mieć braci w rodzinie. Żadna tajemnica się nie utrzyma.

- Nie poniewieraj tak dzielnego rycerza Lohengrina - stanęły w jego obronie Nela i Marianna. - Patrz, kazał porobić piękne fotografie. Uwiecznił cię w zbakierowanym z emocji czepku. Moja droga, poza tym to jest gość. A w Jagodnem pouczano cię przecież o gościnności.

- Chodźmy więc do stołu - orzekła zrezygnowana Małgosia. - Zobaczymy, czym się popisały te kończące, dyplomowane narzeczone.

- Mam nadzieję, że będzie mi dane jeszcze spożywać wytworne potrawy sporządzane pięknymi rączkami pani - szepnął dwornie Lohengrin, ale Małgosia spojrziała na niego tak srogo, że już nie próbował wszczynać rozmowy na ten temat. Za to Marianna dowiedziała się z uciechą, że to ich właśnie zdjęcie, na którym Małgosia niewątpliwie ma czepkę przekrzywioną, a minę zawadiacką, na pewno ukaże się w ilustrowanym dodatku niedzielnym. To dopiero będzie pysznie, jak mama będzie mogła to zdjęcie pokazać ciotkom! To dopiero tatko będzie zadowolony, że jego Marianna też nie byle co i że mimo, że nie jest gwiazdą baletu, też ją fotografują i piszą o niej.

- Gdzie mam przysłać te numery pisma? - dopytywał się redaktor Smolik. - Naturalnie, że do Warszawy - poprosiła Marianna, bo przecież już jutro rozjeżdżają się na wakacje do domów.

- Prawda, że to już wakacje - przypomniał sobie Smolik. - Jaka to cudowna rzecz: wakacje! Mój Boże! A ja już zapomniałem, że ludzie miewają wakacje. Taki już jestem stary. No, ale pani pozwoli - zwrócił się do Małgosi - żeby mi pani przysłał ten numer. - Proszę się więcej nie gniewać. Zdjęcie jest zabawne, ale jest pani na nim urocza. No, miła Pentesileo! Wybaczenia! I czy wolno mi będzie napisać do pani parę słów, co porabia zawsze wierny Lohengrin?

- Dobrze - skinęła łaskawie udobruchana pokornym tonem Małgosia - tylko

żeby list był zwięzły, bez żadnych opisów przyrody i zachwyków nad wschodem słońca, bo po panu można się wszystkiego spodziewać.

- Będzie jak każesz, o pani! - obiecał grzecznie Lohengrin.

Po odjeździe gości, dziewczynki poszły do sypialni, aby po pierwsze pakować walizy do jutrzejszego wyjazdu, a po drugie pogadać trochę o wrażeniach minionego dnia. Okazało się, że mimo iż wakacje trwają do pierwszego września, jak zawiadomiła je panna Janina, już na pierwszego sierpnia mogą przyjechać te, które chcą się nauczyć smażenia konfitur i przyrządzania dżemów oraz wszelkich marynat. Więc na pewno prawie wszystkie wrócą tu za pięć tygodni.

- Przyjedziecie? - upewnia się Marianna.

- Naturalnie, że przyjedziemy - zaklinają się Nela i Małgosia, która dodaje: - Mam nadzieję, że doceniacie to, że przyjeżdżam przede wszystkim dla waszego uroczego towarzystwa, moje drogie!

- Ach, już trzeba kłaść się spać po dniu tak pełnym wrażeń. Jutro czeka wczesne wstanie, a potem podróż. Dobranoc!

- Dobranoc!

Nagle Małgosia siada na łóżku. - Izabello czy śpisz już?

- Jeszcze nie - głos Izabelli jest beznadziejnie senny.

- Iziu, moje dziecko - mówi Małgosia przejmującym szeptem - błagam cię na wszystko, nie zapomnij napisać w swoim albumie o tym pantofelku. To bardzo ważne! Nie wolno ci zataić tego przed twoim przyszłym oblubieńcem. Miałabym szalone wyrzuty sumienia, gdybym ci tego nie przypomniała. Twój mąż powinien o tym wiedzieć.

- Szczepan?

- Tak, właśnie Szczepan - mruczy już zupełnie sennie Małgorzatka, z poczuciem spełnionego obowiązku.

ROZDZIAŁ 15 - KONFITURY PORZECZKOWE

Po szeregu uroczystych zebrań rodzinnych, na których musiała opowiadać za każdym razem od samego początku wszystko o Jagodnem, a także dawać do obejrzenia swój znaczek, oraz jeśli to było w domu, częstować gości ciastkami własnego wypieku, syta wreszcie chwałą i pełna satysfakcji Marianna, wyjechała nad morze. Były to chyba najbardziej udane wakacje w jej życiu, mimo że tak krótkie. A może właśnie dlatego?

Pogodę miała cudowną, ekwipunek nadmorski szalenie elegancki i modny (była to nagroda za genialne postępy w szkole, jak zaznaczył tato), towarzystwo przeciętnie pensjonowo-miłe, a ponadto, co jakiś czas listy od przyjaciółek.

“Jestem z mamą w Krynicy - pisała Małgosia - strasznie tu jest! Wyobraź sobie, że wczoraj spotkałam tu Jolantę, która dopiero teraz używa życia i przebiera się siedem razy dziennie. Sama liczyłam. Wszystkie tutejsze kobiety, nie wyłączając mojej mamy, zachowują się podobnie do niej. Ale moja mama twierdzi, że właśnie w Krynicy tak trzeba. Poza tym kwitnie makijaż i wszystkie kobiety pracowicie malują się na “zdrową cerę”. Mam wrażenie, że mniej by miały roboty, gdyby tak naprawdę chciało im się opalić. Ale patrzą na mnie z odrazą, kiedy im o tym nieśmiało napomykam. Parę dni temu był tu Jacek. Przyjechał razem z Lohengrinem, ale nie na łabędziu, tylko bardziej zmotoryzowanym środkiem lokomocji, a mianowicie małym sportowym autem redakcyjnym. Obydwaj przesyłają ci ukłony. I ja ciebie też całuję mocno, najmilsza Marianno. Do prędkiego zobaczenia”.

Nela napisała krótko: “Kochana Marianno. Siedzę u nas, na wsi pod rodzinnym dachem, wśród nudnych gości, których się pełno zjechało, oraz wśród moli, które bezczelnie gnieźdzą się we wszystkich skrzyniach i szafach z futrami. Ale ja udaję, że nie wiem jak się je tępi, bo po co im robić krzywdę? No powiedz sama! Moja terierka Balbisia oszczeniła się wczoraj. Ma troje potomstwa, matka i dzieci zdrowe. Mój brat, ten starszy, który jest teraz w podchorążówce lotniczej, przesyła ci pozdrowienia. Zna cię doskonale z moich opowiadań. A ja całuję cię mocno. PS. Czy miałaś list od Małgorzaty?”

Marianna czytała każdy list parokrotnie, nie mogąc się nacieszyć wiadomościami. Odpisywała im sumiennie i obszernie, a w dodatku natychmiast po otrzymaniu listu, co jak wiadomo jest zaletą rzadko spotykaną. Miesiąc minął jak jeden dzień. Marianna, opalona na mulatkę, wypoczęta i promienna, zbierała się do

odlotu. Zostawiała nad morzem mamę i tatka, który dopiero od tygodnia miał urlop. Wojtek szalał na jakimś obozie.

- Szkoda córeczko, że już musisz wracać - martwił się tatko. - Czy jesteś dosyć wypoczęta?

- Najcudowniej i najporządniej w świecie - zapewniała Marianna. - Nigdy jeszcze nie czułam się wspanialej. Tylko szkoda, straszna szkoda tatku, że ty tak krótko ze mną byłeś.

- Trudno - ojciec zrobił bardzo poważną minę - muszę się już przyzwyczajać do twojej nieobecności. Teraz absorbuje cię Jagodne, a potem... Ach, wiem przecież, Jagodne to szkoła narzeczonych, więc muszę być i na to w przyszłości przygotowany...

- Nigdy nie wyjdę za mąż - oświadczyła bardzo kategorycznie Marianna.

- Nie, kochanie, jestem pewien, że to zrobisz. I tylko dobrze wybierz moja mała - i tatko roześmiał się. - Najlepiej według serca. Pamiętaj! Już zresztą widzę cię, jak kroczyś bardzo poważnie przy boku takiego grubego pana.

- Dlaczego grubego? - zaproponowała gwałtownie Marianna.

- Ach, jeśli będziesz go pasła takimi przysmakami, jakimi nas karmisz w domu, jeśli będziesz piekła takie cudowne ciastka i przyrządzała dla niego sałatki, to oczywiście twój małżonek osiągnie w krótkim czasie wagę zupełnie reprezentacyjną.

- Za nic na świecie - oburzyła się Marianna. - Raczej będę skłonna stosować kuchnię dietetyczną aż do głodówki włącznie.

- Nie rób tego kochanie, byłoby to bardzo nieładnie z twojej strony, gdybyś tak miała męczyć tego biedaka - stanął tatko w obronie przyszłego zięcia, w imię solidarności męskiej.

Tymczasem trzeba było jechać. Po drodze - kilka dni w Warszawie na wypakowanie z walizek nadmorskiego ekwipunku i zabranie rzeczy niezbędnych w Jagodnem. Więc Marianna przy pomocy Teodozji, jak zawsze dostojnej i nieugiętej, jeśli chodziło o wszelkiego rodzaju zajęcia domowe, prała swoją bieliznę, prasowała z przejęciem nakrochmalone fartuchy i doprowadzała do porządku sukienki.

- Teodozjo! proszę koniecznie mniej farbować te moje fartuszki - błagała pokornie, wysłuchując cierpliwie nieskończonych opowiadań Teodozji o tym, jak pracowała u jednej pani doktorowej. Pani doktorowa wierzyła ślepo w talenty Teodozji i darzyła ją nieograniczonym zaufaniem. Wskutek tego, jak zaznaczała groźnie Teodozja, nie ośmielała się zawracać jej głowy jakimiś nietaktownymi

uwagami, jak to na przykład robi Marianna.

W czasie tych przygotowań zajrzała ciotka Helena.

- O, siedzisz w Warszawie? - ucieszyła się na widok Marianny. - Pewnie już nie pojedziesz do tej szkoły, co?

- Dlaczego? - zdumiała się Marianna.

- Bo podobno tam się dzieją okropne rzeczy. Słyszałam od jednej znajomej, że jej znajomi mają kuzynów, którzy tam wysłali córkę. Biedne dziecko, musiała aż depeszę wysłać do domu, tak się tam nad nią znęcali. Powiadam ci, ta pani aż płakała, kiedy mi to opowiadała. Włosy tej dziewczynie do skóry obcięli. Straszne rzeczy!

Marianna aż usiadła na sofie, dławiąc się z uciechy.

- W istocie straszne, ciociu, ale nic podobnego u nas się nie dzieje. Cóż to za nieprawdopodobne głupstwa ludzie potrafią opowiadać. Może ciocia czegoś się napije? Jest dziś bardzo gorąco.

Marianna przyrządziła chłodną lemoniadę dla ciotki i po trosze pękała ze śmiechu. Ogromnie podobała się jej historia z katowaną ofiarą, ostrzyżoną do skóry, a kiedy uprzytomniła sobie, że to i ona właściwie brała częściowo udział w tej kaźni, robiło się jej wesoło na duszy.

- Dobra ta lemoniada - chwaliła łaskawie ciotka Helena - i ciasteczka też doskonale! Sama piekłaś? Bardzo dobre! Mój Boże, a moja Jola jest taka nieszczęśliwa. Ona przepada za ciastkami, a nie może jeść.

- O, taka chora? - współczuła Marianna.

- Nie, to nie to. Tylko rozumiesz, musi zachować linię. Męczeńskie życie ma to moje dziecko. No, ale cóż, wielka artystka z niej będzie. Poświęca się dla sztuki. Żeby chociaż tylko ludzie się na niej poznali i żeby dobrze wyszła za mąż.

Wzdychając nad męczeńskim żywotem Joli, ciotka Helena spożyła w zamyśleniu jeszcze sześć ciastek z agrestem, po czym wreszcie oddaliła się.

- No, teraz prędko do pakowania - Teodozjo kochana, proszę mi tylko jeszcze przeprosować te dwie koszulki nocne. Chyba pojedę dziś na noc, to jutro rano będę w Jagodnem. Przecież szkoda cały dzień marnować na podróż - postanowiła Marianna i uśmiechnęła się sama do siebie, bo przypomniała sobie swoją pierwszą podróż do Jagodnego. I Smolika-Anglika, i Kleksika. Ach, Kleksik! Jak on się miewa? Czy będzie się cieszył, kiedy ją zobaczy po dłuższej nieobecności? Taki się zrobił rozkoszny, taki mądrała. Pani Hurłowa nie chciała się zgodzić, aby Marianna wzięła go ze sobą do domu na wakacje, mimo że mama nic przeciwko temu nie miała. Ale

twierdziła, że Kleksik jest za mały, aby narażać go na tak długą podróż i że w Jagodnem będzie mu doskonale. - Kiedy skończysz szkołę, wtedy jeśli będziesz chciała, zabierzesz go na lato do siebie - zapewniła Mariannę na pociechę. Aha, trzeba zaraz sprawdzić, czy nie pogniotły się w walizce czekoladki dla małego i czy nie zapomniała w pośpiechu zabrać pluszowego króliczka, kupionego z własnych oszczędności. Strasznie przyjemnie jest jechać nocą. Zdaje się, że pociąg jedzie w jakąś czarną otchłań, nie wiadomo dokąd, nic nie widać oprócz iskier. Taka naprawdę podróż w nieznanne. I właściwie tak po trosze jest. Bo przecież nigdy nie wiadomo, co człowieka czeka u celu jego podróży. I życie to przecież też taka podróż w nieznanne. Nigdy nie wiadomo, na której stacji się zatrzyma i co się w tej podróży zdarzyć może. Zwłaszcza, jeśli tę podróż zaczyna się mając lat szesnaście, tak jak Marianna. Naturalnie, że kiedy przyjedzie do Jagodnego, dziewczęta znów będą jej dokuczać, czy nie przywiozła ze sobą przypadkiem jakiegoś nowego podrzutka. Swoją drogą, do końca życia nie zapomni tego swojego przybycia do szkoły. Ciekawe, czy już któraś z dziewczynek przyjechała. Obiecywały przyjechać wszystkie, zwłaszcza z ich sypialni. Przecież nauka smażenia konfitur to ważna rzecz. Jakżeż może być dobre gospodarstwo bez konfitur. Trzeba będzie nasmażyć sporo i posłać do domu. Bo pani Hurlowa pozwoliła, aby oprócz zapasów szkolnych, dziewczęta smażyły na domowy użytek. Trzeba też będzie koniecznie zrobić trochę owoców smażonych w cukrze i trochę orzechów. To dla tatka, bo jest amatorem. Strasznie śmieszne jest to, co tatko powiedział o tym grubym mężu Marianny. Nie, jakoś dotychczas nie spodobał się jej nikt do tego stopnia, że chciałyby wyjść za niego za mąż. I w ogóle nie ma na razie ochoty na zamążpójście, no i przecież ma jeszcze czas. Też pomysł, żeby mając szesnaście lat wychodzić z domu tak na zawsze. Brrr. Marianna wzdrygnęła się trochę na samą myśl o tym, a trochę z powodu nocnego chłodu. Trzeba by rozejrzeć się za czymś ciepłym do wypicia. Ach pociąg staje na jakiejś stacji, zaraz chłopcy z bufetu będą roznosić herbatę, wywołując na rozmaite tony - her-ba-ta!

W Jagodnem, kiedy przyjechała o świcie, zastała już ku swojej wielkiej uciesze Aldę, Izabellę i Żabencję. Żabencja utrzymała swoje modne uczesanie i zawiadomiła je natychmiast, że w rodzinie pogodzono się wreszcie z faktem jej postrzyżyn i że kto wie, czy jej młodsza siostra nie pójdzie w jej ślady i też nie obetnie włosów, a w każdym razie zmieni uczesania na modniejsze.

- Jednym słowem, Żabencjo najdroższa - ucieszyła się Alda - zrobiłaś rewolucję w cichym gnieździe rodzinnym, co? Ale muszę cię zawiadomić, że obecnie

już nosi się włosy coraz dłuższe, więc nie namawiaj twojej siostrzycy do postrzyżyn, tylko niech raczej przykróci je do połowy ramion, tak aby mogła nosić loki.

Warkocze nosi się upinane, ale wtedy jeśli są wyjątkowo grube. O, tak na przykład jak nasza Marianna, Marianno kochanie, ślicznie wyglądasz. Nawet nie wiesz jak wyprzystojniałaś. Już nie jesteś taka bardzo okrągłutka, jak w przeszłym roku. Wiesz, że jakby wyszczuplałaś, albo trochę urosłaś. W ogóle wyszlachetniałaś przez te wakacje.

Po przywitaniu z panią Hurłową Marianna popędziła zaraz do Kleksika. Mały wstał już i właśnie był w kąpielni, więc Marianna asystowała już do końca przy tym zabiegu i sama już dała mu śniadanie. Mały poznał ją od razu i cieszył się do niej w sposób wzruszający. - Kleksik, kochany, malutki Kleksik - roztkliwiła się Marianna. Króliczek został przyjęty entuzjastycznie i przez cały dzień mały nie wypuszczał go ze swoich śniadych łapek. Panna Mirka zezwoliła więc ze względu na to radosne powitanie, aby Marianna do końca dnia miała go pod swoją opieką. Przyszła też pod wieczór, aby zabrać brzdąca rozdokazywanego, ale też już i śpiącego trochę, i zaczęła poganiać Mariannę, aby pomyślała o sobie i poszła wcześniej spać. Przecież jest po całonocnej jeździe, a po drugie, przecież chyba będzie chciała witać jutro przyjeżdżające koleżanki, jako że nie wszystkie tak się pospieszyły z przyjazdem, jak ona czy Alda.

- Nie wiem, gdzie będzie w tym roku nasza sypialnia - zatroszczyła się dopiero teraz Marianna, bo natychmiast po przyjeździe, przy powitaniach i przygaduszkach z koleżankami, zapomniała o to zapytać i swoje walizki zostawiła po prostu w hallu, a myślała się w dziecinny pokój, żeby być bliżej Cyganiątka.

- Wyobraź sobie, że zostaniecie nadal w szóstej.

- To cudownie!

Tak, to naprawdę było cudownie obudzić się nazajutrz znów pod dachem Jagodnego, w sali sypialni szóstej, a potem, stojąc na ganku, witać przyjeżdżające koleżanki. Same dawne koleżanki, bo nowy, nieśmiały narybek, miał przyjechać dopiero pierwszego września. Boże! To Małgosia, przyjechała najwcześniej dzisiejszego dnia. Naprawdę jakby trochę przytyła, a może tylko tak wygląda w płaszczu podróżnym. I opaliła się doskonale.

- Ale nie tak, jak ty, Marianno najmilsza. Wyglądasz teraz jak Hawajka z niebieskimi oczami. I stanowczo wysmukłaś trochę.

- To zasługa kąpielni w morzu - wyjaśniła skromnie Marianna.

- Ach, raczej mam wrażenie, że urosłaś. Ale strasznie się cieszę, że cię znów widzę. Ty pewnie nie wiesz, że ja po prostu uciekłam mojej mamie z Krynicy. Nie mam z sobą żadnych szkolnych rzeczy, dopiero za parę dni przyślą mi je z domu. Ty nie masz pojęcia, jakie to straszne zajęcie, tak łązić w kółko po tym deptaku i patrzeć na te kurujące się paniusie. Jak już mam kręcić się i dostać owczej kołowaczyny, to wolę na karuzeli.

- No tak, coś wiemy o tym - mruknęła Marianna i zaraz uskoczyła na bok, bo Małgosia rzuciła się w jej stronę, chcąc doraźnie pomścić to ironiczne mruknięcie. Wtem rozległ się pełen przestraszu okrzyk panny Mirki i jeszcze czyjś, jakby znajomy głos, nabrzmiały lękiem. I nie wiadomo skąd sygnał samochodowy! Marianna instynktownie cofnęła się i dopiero teraz zorientowała się, że na podjazd przed ganek zajeżdżał cicho samochód i że byłaby właśnie pod niego wpadła.

- Marianno! - zabrzmiał z samochodu przestraszony głos Neli, a po chwili wyskoczyła z auta i ona sama. - Czy to nieszczęśliwa miłość zmusza cię do popełnienia samobójstwa? Wyznaj od razu.

- Nela! - ucieszyła się Marianna. - Kochana! Jak cudownie wyglądasz. Czyżbyś urosła?

- Chyba w twoich oczach - westchnęła skromnie Nela. Była jak zawsze niezmiernie wdzięczna, z tą swoją drobną, ściągłą twarzyczką małej dziewczynki, z lekko zadartym noskiem i wspaniałymi rzęsami. W popielatobłękitnym kostiumie robiła wrażenie małej damy. Śmiała się, gadała prędko i dużo, witała się z Małgosią, a jednocześnie pokrzykiwała do Bietki i Jolanty, które akurat też przyjechały. Czuła się najwidoczniej szczęśliwa w tym żywiole.

- Nel!

Marianna obejrzała się zdumiona, bo przecież wyraźnie usłyszała męski głos. Może się jej zdawało? Ach, nie! To naprawdę wołał Nelę ktoś, kto siedział przy kierownicy niskiego sportowego auta. Ktoś bardzo duży i jasnowłosy, jak zdołała zauważyć.

Nela odwróciła się również. - Marek! strasznie cię przepraszam! Zupełnie z tej radości zapomniałam, że mam brata, i to brata, który mnie tu przywiózł. Bądź tak uprzejmy i wyładuj się z maszyny. Musisz się przedstawić moim koleżankom, a przede wszystkim samobójczyni. I zaraz potem odjedziesz szybko i bezszelestnie w siną, bezkresną dal, albowiem tu jest przyzwoity zakład naukowy dla panienek i męska noga nie powinna tu stanać. Mamy co prawda jednego wykładowcę płci

męskiej, ale i on nazywa się Gruszka. Ale Marianno, pozwól, że ci przedstawię mojego starszego brata. To jest właśnie Marek, ten, który kończy lotnictwo. Zna już ciebie doskonale z moich opowiadań, a teraz o mało cię nie przejechał.

Marianna zobaczyła przed sobą bardzo kształtną i wysoką sylwetkę, a z twarzy o trochę jakby wystających kościach policzkowych, opalonej i miłej, spojrzali na nią bardzo niebieskie oczy.

- Więc to pani jest Marianna! Tak sobie panią wyobrażałem. Taką właśnie, a nie inną. Nie wiem co mam właściwie w tej chwili powiedzieć. Marianna... Pani imię jest urocze... Nadaje się do piosenki... tęsknej piosenki...

Po chwili młody oficer stał już w środku gromadki młodych rozświergotanych istot. Nela, maleńka i drobna przy nim, komenderowała srogo. - No, teraz uciekaj Marku, tu nie miejsce dla ciebie.

- Kogo tak wypraszasz, Nelu - zabrzmiał na ganku tak znany, miły głos. To Pani Hurłowa wyszła również przywitać przybywające wychowanki i teraz uśmiechnęła się na widok srożącej się Neli. Marka Sulistrowskiego znała doskonale, bo był uczniem jej męża jeszcze w gimnazjum. - Niechże pan wstąpi na śniadanie. Jakżeż można wyganiać gości, Nelusiu. Czy tego uczono cię w Jagodnem?

- Jak czasem, różnie bywa - mruknęła bardzo cichutko Nela, ale ponieważ było w tej chwili bardzo gwarno, więc nikt nie zauważył tej niesforności.

Po śniadaniu miły gość odjechał, a dziewczęta powędrowały urządzać się na dobre w swoich pokojach, bo przecież od jutra miała się zacząć praca. Po to tu przecież wcześniej przyjechały.

Samo zbieranie owoców na konfitury, drylowanie, szykowanie i wreszcie smażenie, miało w sobie coś z uroczystego obchodu. - Zupełnie jak jakiś obchód winobrania - zauważyła Nela, która była z matką za granicą.

Owoców w sadzie było mnóstwo i rzeczywiście nie wykorzystanie sezonu owocowego na smażenie byłoby nie do darowania. Dziewczęta stały więc teraz w wielkiej sali kuchennej, odziane w białe fartuszki, zaopatrzone w łyżki i zbierały z wielkich miedzianych rondli szumiącą różową pianę ze smażonych owoców. Zapach był cudowny, a konfitury zapowiadały się nadzwyczajnie. Marianna specjalnie szykowała tak ulubione w jej domu konfitury porzeczkowe, Małgosia z przejęciem gotowała w cukrzany płynie zielony agrest, a Nela jęcząc, że się pewnie nie uda, smażyła wytworną konfiturę z żółtych czereśni. Podczas gdy Bietka przyrządzała wspaniałe, czarne wiśnie, Jolanta siedziała z założonymi rękoma i co chwila

narzekała, że na nic sobie zniszczy ręce przy drylowaniu owoców.

- To po co przyjechałaś - zdumiała się Marianna. - Jeśli nie lubisz tego robić, to po co skróciłaś sobie wakacje?

- Ba - mruknęła niechętnie Jolanta - kiedy moja matka koniecznie chciała, żebym się nauczyła. Nie wiem dlaczego uparła się, żebym była dobrą gospodynią i potrafiła, jak to mówi moja mama - prowadzić dom. A ja tego nie znoszę. Nie lubię gotowania i garnków.

- Ale przecież kiedyś jak wyjdiesz za męża i będziesz miała własne gospodarstwo, to będziesz na pewno miała ochotę sama tym się zająć - tłumaczyła jej Alda - bo wątpię, abyś miała nabyte tu wiadomości traktować zawodowo, jak niektóre z nas. Bo ja na przykład chcę specjalizować się w tym kierunku, w kierunku organizacji gospodarstwa domowego, ulepszeń, racjonalizacji.

- Och, nie, nie - wzdrygnęła się Jolanta - nic podobnego. Ale jeśli wyjdę za męża, to też nie mam zamiaru zajmować się gospodarstwem. Będę miała taką gosposię, która się tym zajmie i już. I nie wiem, czy jest kobieta, która by chciała dobrowolnie męczyć się domową pracą.

- Co też ty opowiadasz, Jolanto! - oburzyła się Marianna. - Przecież to najmiłsze zajęcie. Cóż jest miłszego od pracy w domu, pracy przy gospodarstwie, pracy dla swoich najbliższych. Czy wszystkie sprawy można powierzyć takiej, jak ty to nazywasz, gosposi? Czy możesz jej na przykład powierzyć opiekę nad dzieckiem? Chyba, że pracujesz zawodowo - wtedy oczywiście, musisz. Ale każda kobieta, każda nawet najbardziej samodzielna kobieta, nawet na bardzo wysokim stanowisku, lubi choć trochę zająć się domem. Wierz mi, że takie odrzekanie się od wszelkich spraw domowych, to jest naprawdę błąd. Jolantko, boję się, że nie rozumiesz na czym polega tak zwane szczęście w małżeństwie. Ja mam wrażenie, że na harmonijnym współżyciu. Tę harmonię stwarza dom. A czy może istnieć harmonia w domu, którego pani nie zajmuje się nim, choćby troszeczkę?

- Marianno! - zdumiały się dziewczęta. Cóż to za wspaniałe przemówienie. Któż by przypuszczał, że nasza doskonała gosposia, Marianna, cicha i skromna, miła i grzeczna, potrafi się zdobyć na takie wystąpienie.

- Zawsze byłam zdania, że nasza Marianna jest niezwykła - oświadczyła zdecydowanym tonem Nela. - To jest rozsądna, normalna dziewczyna, a nie takie coś, jak ty Jolantko.

- Co racja, to racja - wtrąciła się do rozmowy pani Cegłowska, która

asystowała przy szumowaniu konfitur. - Panna Marianna będzie zawołaną gospodynią i ma duży rozum. A ja od siebie jeszcze jedno dodam, panno Jolanto, że choć pani taka elegancka, nie wiadomo jak się pani domowe pożycie ułoży, bo jest takie powiedzenie, że przez żołądek do serca - zakończyła triumfalnie swoje przemówienie pani Cegłowska, która nie lubiła Jolanty, za jej nieuprzejme odezwania się.

Oświadczenie to zostało przyjęte burzą oklasków, aż panna Janina zbiegła z góry do suterenu, zaniepokojona hałasem. Śmiała się serdecznie, kiedy dziewczęta opowiedziały jej wszystko i wreszcie zażądały, aby i ona sama wypowiedziała się na temat gospodarstwa, szczęścia w rodzinie, gotowania i tak dalej. Panna Janina broniła się i wyraźnie nie miała ochoty wypowiadania się na tego rodzaju tematy, ale wreszcie przyznała, że prawie całkowicie podziela zdanie Marianny. - Kobieta musi interesować się swoim domem. Chyba, że jest tak uzdolniona w innym kierunku, że szkoda jej czasu na zajęcia domowe i to w dodatku źle wypełniane. Ale zasadniczo, to bardzo ważna rzecz - dobre gospodarowanie - zakończyła. A Małgosia dodała. - Ciekawa jestem okropnie, jak będzie wyglądać gospodarstwo naszej Marianny. Pewnie będzie idealne. Tylko czy aby nasza doskonała mistrzyni zechce wyjść za mąż. Bo jak dotychczas, gardzi męskim plemieniem.

- Naturalnie, że wcale nie mam zamiaru wychodzenia za nikogo - mruknęła gniewnie Marianna. I nie wiadomo czy się zaczerwieniła, czy też to był odbłask od paleniska, bo właśnie odsunęła kocioł z konfiturą porzeczkową.

ROZDZIAŁ 16 - CIEŃ ŚMIGŁA

Przyjemnie było czuć się już starszą i patrzeć łaskawie na te z pierwszego kursu. Mariannie sprawiało to wielką uciechę, kiedy taka zadomowiona, znająca wszystkie zakamarki i tajemnice Jagodnego oraz różne tutejsze sekrety, mogła po macierzyńsku objaśniać nowicjuszki. I jeszcze to było przyjemne, że uczyły się w tym roku nowych przedmiotów. Poza kursem wszelkich potraw mięsnych, miały w programie hodowlę zwierząt dochodowych, przetwory mleczne, specjalny kurs konserw, a z innych przedmiotów najmiłszy: pielęgnowanie dzieci. Oczywiście, że znając historię Kleksika, prawie wszystkie starały się zachwalać go przed Marianną naleźycie, jako dziecko zupełnie niezwykle, a zresztą te zachwyty nie musiały być tak bardzo naciągane, gdyż mały był naprawdę miły i greczny. Wiadomo też było, że jeśli któraś miała popołudniowy dyżur przy nim, to na pewno zawsze mogła zamienić się z Marianną, chętną do przesiadywania przy Cyganiątku. Najczęściej zresztą tych zamian dokonywała Jolanta, która nie lubiła dzieci.

I to był właśnie jeden z takich zamienionych dyżurów, kiedy Marianna pilnując małego i naprawiając jego majteczki, siedziała w dzieciennym pokoju. Za oknem mżył drobny listopadowy deszczyk.

- Marianno!

- Ciiicho! Kleksik zasypia.

- Marianno - powtórzyła już teraz szeptem Małgosia. - Prędko będziesz mogła przyjść do sypialni?

- A co się stało? Sądę, że za chwilę.

- To przyjdź możliwie szybko!

Oczywiście, że na pewno wymyśliły znów coś szalonego. Przyjemnie jest swoją drogą w tej osławionej szóstej sypialni. Nie można powiedzieć, żeby tak bardzo poprawiła swoją opinię od ubiegłego roku, ale za to tyle jest różności. Kleksik już rzeczywiście zasnął na dobre i można ostrożnie wyjść. Zaraz tu zajrzy do niego panna Mirka.

Wstała ze swego stołeczka i jeszcze raz po macierzyńsku obetkała małemu kołderkę. Popatrzała z rozczeniem na ufną, ciemną buzię dzieciaka i wzruszyła ramionami: doprawdy, zupełnie niepojęte, jak ta Jolanta może nie lubić tego bezbronnego, miłego biedactwa.

Wbiegła spieszenie na górę, i jak kiedyś, wtedy, kiedy pierwszy raz szukała

sypialni nr 6, zatrzymała się przed drzwiami. Tak samo słyszała zmieszane głosy, piski i śmiechy, tylko że teraz pchnęła drzwi i wpadła rozweselona i zaciekawiona, co nowego wymyśliły.

- Oooo! Marianna! - ucieszyły się na jej widok. - Dobrze, że jesteś. Czekamy już tylko na ciebie. Wszystko gotowe.

- Co gotowe? - zdumiała się.

- No, do lania.

- Do jakiego znów lania?

- O Boże! - jęknęła rozpaczliwie Małgosia - to straszne, jak ty się najzupełniej nie orientujesz w zwyczajach ludowych. To bardzo nieładnie z twojej strony. Dobra, szanująca tradycje pani domu, powinna znać takie rzeczy na pamięć. Poza tym być może, zamieszkaś hen, na zapadłej wsi, w małym dworku, z licznymi domownikami, siądziesz przy kominku, czy coś w tym rodzaju i na obrzędach ludowych nie będziesz się znała? A fe! Marianno! - W głosie Małgosi brzmiała surowa nagana.

- Małgorzata cicho! - zirytowała się Nela. - Pozwól jej odetchnąć chwilę i bierz się lepiej do roboty. Maszynkę elektryczną możecie włączyć do kontaktu przy moim łóżku. Ten się na pewno nie przepali. Kiedy elektromonter naprawiał go po raz ostatni, przekupiłam go czekoladkami, które mu wręczyłam dla jego potomstwa i zrobił kontakt, który wytrzyma nawet włączenie pieca elektrycznego. Więc co? Wszystko już macie? Któraś tam podobno przyniosła ołów?

- Ołów? - przestraszyła się Marianna. Czytała właśnie powieść historyczną i to zapotrzebowanie na ołów przypomniało jej jakąś scenę tortur.

- Ech, nie! ołów jest nieodpowiedni - zaproponowała Bietka. - Najlepszy jest воск.

- Воск? - Marianna była zdumiona.

- Marianno, moje dziecko! Taka jesteś na ogół rozgarnięta, a dziś zadajesz takie nieinteligentne pytania. No, oczywiście, że воск. Spójrzj kochanie na kalendarz. - I Małgosia podsunęła jej przed oczy kartkę z datą.

- Dwudziesty dziewiąty listopada!

- W istocie, niezmiernie zdumiewająca data! - rozłościła się Małgosia. - Zapomniałaś, że dziś andrzejki?

- Naprawdę? - zdumiała się niepomierne Marianna. - Rzeczywiście, że też mogłam tak się jakoś zagapić!

- A widzisz! Ja o wszystkim muszę za ciebie pamiętać - dodała już z humorem

Małgorzatka. - No, to teraz prędko! Jak widzisz, zorganizowałyśmy już wszystko na poczekaniu, bo to nie ty jedna zapomniałaś o andrzejkach. Tylko tyle, żeśmy sobie przypomniały o dwie godziny wcześniej. I wskutek tego zdobyłyśmy wszystko co jest niezbędne dla młodych, dobrze wychowanych panienek, pragnących zbadać przyszłość. Hej, hej! Izabello Aragońska! Czy wosk już stopiony?

- Stopiony - odrzekła z namaszczeniem Izabella, wpatrując się w małe rondo, w którym było pełno jasnego, pachnącego miodem, wosku.

- No, to lejemy - zakomenderowała Nela. - Ale gdzie jest ta miednica z wodą? Postawcie ją tu, na taborecie, pośrodku. Przecież wszystkie chcemy popatrzeć na cudzą przyszłość, nie? Kto pierwszy?

- Wypadaloby zacząć od Jolanty - zaproponowała Bietka. - Ona jest najstarsza i pewnie najprędzej wyjdzie za mąż.

- Można - łaskawie przyzwoliła Nela.

- Zawsze lubiłam zachowywać tradycje ludowe - zaczęła po swojemu dystygowanie przemawiać Jolanta, ale Małgosia przerwała jej.

- Wiemy już, mniej więcej wiemy. - W rodowym zamczysku i tak dalej. Oszczędź nas nieco Jolanto i lepiej lej wosk.

- Zawsze te dowcipy na tak strasznie niskim poziomie - wzdrygnęła się z niesmakiem Jolanta. I już ujęła rączkę rondo, kiedy Bietka krzyknęła dzikim głosem: - Ale przez klucz! koniecznie przez klucz! Inaczej nieważne!

- Niemożliwe? - zdumiała się Nela, ale Małgosia przytaknęła. - Tak, Bietka ma rację. To musi być lane przez klucz. Można przecież wyjąć z drzwi, tylko prędej.

I zaczęła uwijać się przy tygielku i maszynie z wprawą młodej, lecz biegłej w swej sztuce czarownicy.

- Lej ostrożnie, uważnie, przez ucho klucza! - komenderowała Jolantą, która pokorna i przejęta, jako że chodziło o rzeczy niezmiernie wagi, ostrożnie kapłała wosk do miednicy.

- Dostyc! - zawołała Małgorzatka. - Nie bądź taka zachłanna. Nie uleje się i tak więcej, niż los ci przeznaczył - zaznaczyła wieszczym głosem. - Teraz wyjmij tego dziwołaga i zobczymy jaki cień rzuci na ścianę.

Jolanta posłusznie zbliżyła się do ściany.

- Zdaje mi się, że nic nie widać - oświadczyła ze łzami w głosie.

- Trzeba obracać na wszystkie strony - komenderowała Małgosia.

- Kiedy ciągle nic!

- Pokażcie mi to! - zniecierpliwiła się wreszcie Bietka. - Niech no ja to zobaczę. Jak to nic nie widać? Ma się rozumieć, że widać, i to jeszcze jak! Patrzcie, bardzo elegancki kapelusz damski. Taki modny fason, z wysoką główką, popatrzcie tylko!

Rzeczywiście, trudno było zaprzeczyć, że na cieniu rysował się zupełnie wyraźnie kapelusik.

- Co, co to znaczy? - dopytywała się drżącym głosem Jolanta, wyraźnie zaniepokojona o swą przyszłość.

- To bardzo niedobry znak - oświadczyła ponuro Małgosia.

- Naprawdę, skąd to wiesz?

- Z sennika egipsko-chaldejskiego. Tam jest wyraźnie powiedziane: Kapelusz widzieć - intryga. Z piórkiem - zdrada. Popatrzcie, czy ten jest z piórkiem, czy nie?

Ponieważ po sprawdzeniu na cieniu okazało się, że kapelusz jest bez piórka, a raczej z kwiatkiem, według biegłej w tych rzeczach Małgosi, sprawa Jolanty nie przedstawia się tak źle. Kapelusz z kwiatkami - orzekła Małgosia po dłuższym zastanowieniu - oznacza: po trudach do szczęścia. Czyli przezwycięzenie intrygi.

- Ach, ja już wiem, kto to tak intryguje! - domyśliła się zaraz Jolanta, która poza Jagodnem miała jakąś przyjaciółkę, z którą ciągle się sprzeczała i godziła na zmianę. - To ta żmija.

Podczas, gdy Jolanta poświęciła się rozmyśleniom nad intrygą i intrygantką, z kolei zabrała się do lania wosku Alda. Odważnie chlupnęła woskiem i po chwili wyciągnęła z miednicy jakiegoś dziwoląga, który wreszcie po wielu obracaniach dał na cieniu kontur małego domku. Alda była bez granic szczęśliwa. - Jak myślicie, taki dom, to dobry znak, co, prawda?

- Jak najlepszy, Aldeczko - upewniła ją Nela. - A teraz kolej na Bietkę. No, Bietka, śmiało i prędko! Buch! Zobaczmy, co tobie los przeznaczył.

Wobec takiej zachęty, Bietka drżącą z wrażenia dłonią odlała ostrożnie trochę wosku. Ojej! Naprawdę, to strasznie śmieszne, ale Bietce najwyraźniej w świecie ułał się koń na biegunach. Co to może znaczyć? - zastanawiały się dziewczęta, a najwięcej oczywiście sama Bietka.

- Hm - mruknęła Małgosia, która w takich wypadkach miała opinię wyroczni. - Prawdopodobnie albo wyjdiesz za kawalerzystę, albo też będziesz miała syna, poza tym jedno nie wyklucza drugiego. Doskonała wróżba, moja droga. Czego chcesz więcej! W każdym razie lepsze to, niż nic.

- Nie, ja nie narzekam na tę wróżbę - uśmiechnęła się Bietka. - Niech się tylko jedno i drugie sprawdzi.

- To teraz która? No, Żabciu, na ciebie kolej - zakomenderowała Małgosia. A że powiedziała to bardzo autorytatywnym tonem, biedna Żabencja nie śmiała drgnąć, tylko pokornie ujęła tygielek i niezgrabnie chlupnęła porządną porcję wosku do miednicy.

- Ojej, ostrożnie, Żabencjo! - zakrzyknęły mieszkanki sypialni szóstej. - Chcesz ułać sobie słonia! Albo może jakąś kamienicę. Nie bądź taka zachłanna. Boże, cóż to za dziwadło się ułało? Nie, naprawdę, jakiś hipopotam!

I rzeczywiście w cieniu ukazało się jakieś zwierzę, ale nie hipopotam, jak to się wydawało pierwotnie, ale raczej skrzyżowanie słonia z kangurem.

- Czy nie wiecie, co to może znaczyć? - informowała się nieśmiało wystraszona nieco Żabencja.

- Tak zupełnie dokładnie, niestety nie mogę ci powiedzieć - uprzejmie objaśniła Małgosia. - Ale obawiam się, że trafisz w swym życiu, kochana Żabencjo, na człowieka o raczej zwierzęcych instynktach.

- Ale wiesz? Lepiej już o tym nie depešuj do domu - zastrzegła się dla wszelkiej pewności Nela. - Może on nie będzie taki bardzo zezwierzęcony, tylko trochę. No, prędzej, bo zaraz będzie dzwonek na spanie. Kto tam teraz następny? Tylko prędko, spieszcie się teraz bardziej, dziewczynki. No, Izabello Aragońska, ujmij w dłoń ten oto tygiel i lej na los szczęścia.

Izabella śmiało chwyciła tygielek i z namaszczeniem po sumiennym wycelowaniu w dziurkę klucza, kapnęła coś niecoś wosku. Co to może być? Oblicze Izabelli zasepiło się bardzo - naprawdę, w pierwszej chwili było bardzo trudno odgadnąć, co się jej ułało. Aż wreszcie Marianna zakrzyknęła. - Przecież to jest chyba baleron, naprawdę nic innego, tylko baleron.

Izabella rozpromieniła się w tej chwili. Naturalnie! Że też ona od razu tego nie zobaczyła. Ma się rozumieć, że jest to baleron. Bo cóż by to zresztą mogło być innego, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że Szczepan jest posiadaczem największej w okolicy wytwórni wyrobów mięsnych.

- Bardzo, a bardzo dobrze wyszło - oceniła z uznaniem Izabella - widać, że wróżba prawdziwa.

- Czy zapiszesz to w pamiętniku? - upewniła się Bietka.

- Naturalnie. - Izabella uśmiechnęła się błogo. - Będzie mu bardzo przyjemnie,

że we wróżbie ukazał się jego wyrób.

- No, teraz wobec tego na ciebie kolej, Małgorzato! - oświadczyła Nela rozweselona. - Mam nadzieję, że nie uleje ci się żaden artykuł wstępny, albo felieton, bo to byłoby zbyt kompromitujące.

- Zawsze te dowcipy na tak niskim poziomie - odpowiedziała Małgosia, cudownie naśladowując głos Jolanty. - Zaraz się okaże, co się dla mnie uleje. - I nucąc pogodnie, chlupnęła woskiem z rozmachem, właściwym jej temperamentowi.

- Pokaż, pokaż! - zaciekawily się dziewczęta, kiedy wyciągnęła z wody zastygły kawałek wosku.

- Zaraz, zaraz, moje dzieci - uspokajała je Małgorzatka, rzucając cień na ścianę. Podśpiewywała dalej wesoło, aż nagle głos jej zamarł w piersiach. Ach, już za późno było, żeby cofnąć rękę, już wszystkie widziały: na ścianie rysował się najzwyczajniej i najbezczelniej cień łabędzia.

- A jam jest rycerz Lohengrin! - zanuciła radośnie Nela, podskakując z uciechy i natychmiast sama zabrała się do wróżby. Ale tu zawiodła się najfatalniej, bo wosk ulał się bardzo dziwnie, w okrągłą, okrągłuteńką kulkę.

- Co to może być? - zdumiała się Nela. I trochę była zmartwiona. Ale zaraz sobie przypomniała - prawda, przecież jeszcze nasza najmilejsza Marianna nie wróżyła sobie. No, przelewaj śmiało! Buch! - kapnął wosk, rozbryzgując wodę.

- I co? Co się ulało Mariannie?

- Ach, też dziwnie. Coś, co chyba najbardziej przypomina śmigło samolotowe. Może...

Dzwonki mają tę zaletę, że zawsze przeszkadzają w czymś. Oczywiście z wyjątkiem tych dzwonek, które kończą nie umianą lekcję. No i teraz zadzwieczał tak nieznośnie, i wytrącił wszystkie lokatorki sypialni nr 6 z równowagi. Naprawdę, nawet sobie człowiek spokojnie powróżyć nie może!

- Cóż to za nietakt! Cóż za gruboskórne podejście do psychiki młodego dziewczęcia, takie dzwonienie - szepnęła dystyngowanie Małgosia, spoglądając z ukosa na Jolantę.

- W istocie, nietakt i brutalność - pisnęła ciekawym, niby Jolancinym głosem Alda.

Ale swoją drogą, naprawdę było im żal, że już trzeba było kończyć to wróżenie. Tylko jedna, jedyna lokatorka sypialni nr 6 ucieszyła się szczerze z tej regulaminowej impertynencji. Delikatnie, pieszczotliwie ujęła w dłonie kruchy

kawałek wosku, ten sam, który rzucił cień śmigła i ukryła go w dłoni.

...pani imię jest urocze... Nadaje się do piosenki.

ROZDZIAŁ 17 – IMIENINY

Marianna szła lekkim, nieprawdopodobnie lekkim krokiem drogą, którą niby znała, ale nie była tego zupełnie pewna. W oddali, między drzewami widać było dom. Wyglądał, jakby w nim nikt nie mieszkał. Po chwili, nawet nie wiedziała jak to się stało, była już wewnątrz tego domu. Ach, Boże, przecież kogoś szukała. Szła teraz przez niezliczone pokoje, otwierała niezliczone drzwi tego pustego i cichego mieszkania. Wreszcie w jednym z pokoi było otwarte okno, za którym zieleniły się drzewa. Zachęcona widokiem zieleni, bez namysłu wyskoczyła przez okno i przez jakiś jeszcze czas, zanim spadła na ziemię, lekko szybowwała w powietrzu. Była w bardzo słonecznym ogrodzie i zaczęła teraz wędrować między szpalerami błękitnego lubinu, kiedy nagle, nie wiadomo skąd, wyrosły przed nią schody z białego marmuru. Wstępowała po nich coraz wyżej, schody zdawały się nie mieć końca, aż wreszcie stanęła na cudownym, rozległym tarasie. Wokoło było niebo, głęboko granatowe, niebo w kolorze pogodnej nocy, a poniżej ugiwały się pod ciężarem własnej, pełnej urody, wielkie kiście bzu. Przygarnęło ją czyjeś ramię i naraz spojrzała na swoją rękę. Na prawej ręce miała pierścionek z dużym rubinem.

- Rubin? - pomyślała. I nie wiadomo dlaczego, poczuła trwożne ściśnienie serca. Ktoś powiedział bardzo cicho: Marianna.

Otworzyła oczy.

Kiść bzu, na którą padł jej wzrok, była wątła i biała. A jednocześnie bez ten był śliczny, delikatny, wyglądał tak nieśmiało na tle okna, za którym było widać jakby zamarznięty błękit nieba i skrzepłą puszystość śniegu na świerkach.

Miała właśnie zamiar zastanowić się, czy jest to może dalszy ciąg snu i przymknęła z powrotem powieki, kiedy usłyszała głos Neli:

- Marianno! - obudź się już naprawdę!

- Na litość boską, nie śpij już, bo mi ręce zdrętwiały - jęknęła najwyraźniej Małgosia.

- Nie, naprawdę, co się właściwie dzieje? Małgosia stoi przy łóżku z niezmiernie uroczystą miną i z jakimś pakietem, który trzyma oburącz. Nela rozwinęła w tej chwili wielki rulon papieru, Alda dźwiga ogromne pudło, zdaje się, że to są czekoladki. Marianna w tej chwili uprzytamnia sobie, że przecież to są jej imieniny. Jej własne imieniny. I przez sekundę doznaje dziwnego uczucia zakłopotania. Ale otwiera oczy naprawdę i siada na łóżku.

- No, to już - zakomenderowała Małgosia, wobec czego Nela odczytała okolicznościowy wierszyk z życzeniami od całej sypialni szóstej. Był to utwór wzniosły i zalecający się oryginalnością formy, a także rymami w rodzaju: Marianno - panno, powie - zdrowie, albo twój - zdrój. Niemniej poemat został przyjęty z należytych zachwytem, zwłaszcza, że był wypisany na laurce, ozdobionej hojnie malowidłami.

Potem wystąpiła Małgosia z darem zbiorowym: ogromną książką kucharską, tak od dawna wymarzoną i upragnioną przez Mariannę. Oprócz wspaniałej płóciennej oprawy, książka posiadała, jak zapewniała Nela, szereg poematów prozą na tematy kuchenne w postaci cudownych i niezwykłych przepisów, poczynając od przystawek i zup, a kończąc na wszelkiego rodzaju ciastach i deserach. - O, posłuchaj, widzisz? Przepis na kremik waniliowy, naprawdę brzmi jak sonet: pięć żółtek, śmietanka, cukier, wanilia.

- Ach, zrobię ten kremik właśnie dzisiaj - cieszyła się Marianna, bo miała zamiar wyprawić dla sypialni szóstej małe, ale wielce wytworne przyjęcie. Oczywiście zaproszona miała być także i panna Janina. - I czy jest przepis na andruty? - zaniepokoiła się Marianna. - Chciałabym koniecznie podać ten krem z andrutami.

- Oczywiście, że jest - zapewniła Małgosia. - Tu w ogóle wszystko jest. Właściwie powinnaś wypróbować wszystko po kolei.

- Ojej, już tylko nie na nas - zaprotestowała Alda. - Już lepiej niech te przysmaki zjada jej przyszły małżonek. Przypuszczalnie będzie chorował na otłuszczenie serca.

- Ach, właśnie - przerwała Bietka. Wszystkiego już życzyłyście, tylko nie męża, a to przecież jest sprawa zasadnicza i przecież już sama tradycja nakazuje składać tego rodzaju życzenia młodej, pełnej zalet panience.

- Oczywiście - przytaknęła Nela. - Powinien być wzorem cnót męskich.

- I musi być bardzo przystojny!

- Wysoki!

- Wysportowany!

- I mieć samochód!

- I żeby był dystyngowany - zaznaczyła Jolanta.

- O Boże! - Marianna roześmiała się trochę speszona, ale rozweselona. - To wygląda trochę, jak dary i życzenia wróżek nad kołyską śpiącej królewny.

- Wcale się nie omyliłaś, kochanie - zapewniła Małgosia. - Już myślałyśmy przed chwilą, że właśnie masz zamiar obrać karierę śpiącej królowej. Bardzo dobry pomysł. Śpi się i czeka na męża, bez żadnych specjalnych wysiłków. Nie tak, jak na przykład nasza zacna Izabella, która po łokcie ręce urabia przy pisaniu pamiętnika, albo Jolanta, która jest bez przerwy wytworna. A tu tymczasem królewicz budzi takie porządnie wyspane dziewczę i zaraz biorą ślub. Zdaje się, że nawet na zapowiedzi nie dają.

- Ach nie, Marianno, nie - odradza gwałtownie Bietka. - Pomyśl, że w ten sposób odpada cały uroczy okres narzeczeństwa, ani kwiatów wtedy nie dostajesz, ani cukierków...

- Kiedy właśnie kwiaty są - protestuje Małgosia, bo Marianna sięgnęła właśnie do cudownego białego bzu, którego kiście włożył ktoś do wazonu.

- Rozpakowałyśmy same, żeby nie zwiądł bez wody - mówi Alda - a tu masz bilecik, który był do kwiatów przypięty.

- Bilecik do kwiatów? - Marianna rozrywa niezgrabnie kopertę i czyta: "Marianno, nie śmiem Pani składać życzeń, ale proszę przyjąć kwiaty. Marek".

Jak to dobrze, że akurat w tej chwili Alda wręczyła Mariannie wielkie niczym młyńskie koło pudło cukierków. - Oby ci było słodko, kochanie, zdaje się, że to właśnie lubisz.

Marianna dziękuje i jest bardzo zadowolona nie tylko z cukierków, ale i z tego, że nikt nie zauważył, że się zaczerwieniła, czytając bilet Marka. Teraz wypada otworzyć pudełko. Owoce w cukrze? Naturalnie, ukochany przysmak. To Alda tak pamięta o jej guście. W rezultacie zaczyna się częstowanie. - Kto chce prawdziwego ananasa?

- Wołałabym, abyście z solenizantką na czele, zamiast ananasa, zjadły śniadanie i nie spóźniły się do jadalni - przerwała te hulaszcze nastroje panna Janina. Ucałowała przy tym serdecznie Mariannę, życząc jej pedagogicznie dobrych ocen i obdarowała ślicznym kompletem foremek do kruchych ciastek.

- Och - ucieszyła się Marianna. - Nigdy nie przypuszczałam, że pani może pamiętać o moich imieninach.

- Pamiętam mnóstwo rzeczy. Takie już są moje obyczaje - uśmiechnęła się tajemniczo panna Janina. - No, ale prędzej, panienki. Już powinnyście schodzić na śniadanie. Po obiedzie wolno będzie Mariannie urządzić tu dla koleżanek małe przyjęcie.

- Marianno, kochanie - szepnęła Małgosia - może ci założyć w książce, na której stronie jest ten krem, który nam obiecałaś?

Po śniadaniu też było strasznie przyjemnie, bo dopiero teraz okazało się, że Marianna jest bardzo popularna i że prawie wszystkie dziewczęta z pozostałych kursów przyszły do niej z życzeniami. Poczta również przyniosła miłe niespodzianki. Przede wszystkim list i przesyłka z domu. Najukochańsze życzenia od tatka i mamy. A w paczce! Ach, w paczce upragniona elegancka torebka a w niej oprócz lusterka i portmonetki jeszcze śliczny grzebyk szyldkretowy w srebrnej oprawce.

- Puderniczki nie ma - zdumiała się Jolanta, która oglądała podarunki i nawet raczyła je pochwalić.

- Przypuszczam, że gdybyś miała tak wspaniałą cerę, jak nasza Marianna, tobyś w ogóle, moje dziecko, nie znała słowa: puderniczka - pouczyła Nela, bardzo zadowolona z tej okazji do pedagogicznego przemówienia.

Jolanta miała już zamiar wystąpić z nieco dłuższą prelekcją na temat konieczności stosowania kosmetyków, kiedy zjawiała się nowa niespodzianka. Prowadzony przez Bietkę, dreptał z godnością Kleksik, ściskając w ciemnej łapce trochę zduszone trzy fiołki alpejskie. Kroczył paradnie, niby mały, czarny kaczonek i gadał coś w tajemniczym dzieciennym języku:

- Kleksik! kochanie moje! - ucieszyła się Marianna i przyklękła, wyciągnawszy ręce, aby pochwycić małego. Jeszcze trzy nieco chwiejne kroki i śniade łapki otoczyły szyję Marianny. Czarne rzęsy podniosły się ufnie do góry, a dzieciinne usta ułożyły się w zabawny dziobek. Trzymał tak przez chwilę stulone wargi, wreszcie powiedział najwyraźniej w świecie: ma-ma.

- Naprawdę powiedział ma-ma! - Dziewczęta były zachwycone.

- Kleksik, powiedz jeszcze raz: ma-ma! - zachęcała Bietka, a mały posłusznie i z całym przekonaniem powtórzył: ma-ma!

- Biedactwo moje maleńkie - zdołała wykrztusić Marianna. I bała się już mówić dalej, bo czuła, że zaraz rozplacze się najhaniebniej w świecie, bo przecież i tak ma oczy pełne łez. Było jej w tej chwili strasznie dziwnie. Objęła mocno małego i przytuliła twarz do ciepłego dziecięcego policzka. - Ty mały, bezbronny biedaku - pomyślała z największą tkliwością, a jednocześnie zdawało się jej, że nie ma prawa do tego najpiękniejszego nazwania na świecie. Ale zaraz usprawiedliwiła się sama przed sobą, że przecież każde dziecko musi na kogoś tak wołać i że nie można Kleksika tego pozbawić. Chociaż właściwie należałoby może porozmawiać o tym z

panią Hurlową.

- Panienki, jedziemy do kościoła! - wpadła do jadalni panna Mirka, już ubrana w brązowe futerko, w którym wyglądała jak mała niedźwiedzica.

- Czy można będzie wziąć Kleksika? - spytała Marianna, uniesiona szlachetnym zamiarem uszczęśliwiania wszystkich w dniu swoich imienin. A że był cudny, pogodny dzień i do kościoła w Nowym Targu jechało się saniami, więc wyobrażała sobie, jaką uciechę miałby mały. Panna Mirka jednak sprzeciwiła się zdecydowanie. - Nie, stanowczo nie można. Bądź co bądź jest mroźnie i nie trzeba małego narażać. Odnieście go do dzieciennego pokoju i spieszcie się, dziewczynki!

Ubierały się więc, nakładając futrzane lub lamowane futrem płaszczyki i kaptury. Marianna z przejęciem włożyła czystą i naperfumowaną chusteczkę do swojej torebki. Tej nowiutkiej, imieninowej.

- No, Marianna już gotowa? - wpadła Nela. - Prędzej! Siadamy do jednych sań z Aldą i Bietką. Małgosia już zeszła na dół. Strasznie będzie ciasno, bo zdaje się, że nas coś osiem ma się pomieścić w jednych saniach. Chyba, że zabierzemy Izabellę. Wtedy wystarczy siedem.

- Oczywiście, że zabieramy Izabellę - zakrzyknęła do nich z sań Małgosia, która dosłyszała ostatnie zdanie. Zabawnie wygląda w obszernym sportowym płaszczu na futrze. - Nadajesz się zupełnie na okładkę jakiegoś pisma sportowego - określiła tę kreację kiedyś Marianna.

Jechały teraz przy akompaniamencie cichego, szklanego pobrzękiwania dzwonek i przytłumionego tupotu końskich kopyt. Wokół było białe i tak pięknie wśród omotanych koronkowym szronem drzew, że milczały przejęte podziwem dla nieśmiertelnego uroku zimy.

- Ach, Boże! Jak jest naprawdę dzisiaj cudnie - westchnęła wreszcie Nela. - Marianno, widzisz? Nawet pogoda na twoje imieniny jest wspaniała.

- Och, zawsze na Gromniczną jest sucho i ładnie - zauważyła Alda.

- Nic podobnego, dzisiaj jest wyjątkowo pięknie - upierała się Nela, po czym dodała rozmarzonym głosem - ta biel, to po prostu coś niewypowiedzianego. I wiecie co? Postanowiłam, że na ten nasz bal będę miała suknię białą. Napiszę zaraz do mamy, że nie chcę innej.

Więc zaczęły zaraz, jedna przez drugą rozmawiać o tym balu. Pierwszy bal w życiu. Nareszcie! Już nie na Galerii Pocieszenia, tylko tam, na dole!

- Ciekawa jestem szalenie, komu w tym roku spadną lody na dekolt? -

zastanawiała się Małgosia.

Roześmiały się tak głośno, że aż Wicek, który je wiozł, obejrzał się zaniepokojony. - Boję się, że właśnie tobie, Małgorzatko przypadnie to w udziale - z ubolewaniem mruknęła Alda. - Bądź co bądź masz prawie tak samo chude plecy jak Krystyna.

- Ale za to mam wytworną, żurnalową sylwetkę, nie, Jolanto?

- Owszem, masz dosyć dobrą linię - zaopiniowała łaskawie osoba wykwinтна. I korzystając z tego, że ją dopuszczono do głosu, zaczęła zaraz rozwodzić się nad modą na sezon karnawałowy i że jeśli chodzi o nią, o Jolantę, to będzie miała na tym balu najpiękniejszą suknię, bo z tkaniny, która jest połączeniem szyfonu z welurem. Coś wspaniałego!

- Oszczędź już nas, Jolanto - jęknęła boleśnie Nela. - Obawiam się, że i tak nie poznamy się na czymś podobnie wspaniałym, więc nie marnuj swoich bezcennych słów. Izabello Aragońska! Czy zaprosisz godnego szacunku pana Szczepana na nasz skromny bal?

Okazało się, że tak, naturalnie. Pan Szczepan jest zawołanym tancerzem i nawet bywa wodzirejem na wszystkich zabawach tanecznych. I Izabella już wielokrotnie z nim tańczyła. Co prawda nie na dużych, publicznych festynach ale na imieninach u znajomych i w drugi dzień świąt u rodziny.

- To świetnie - ucieszyła się Małgosia. - Bardzo liczę na to, że będę miała przyjemność poznać tak znakomitego wodzireja. Chyba przedstawiś go nam, Izium?

Izabella obiecywała solennie i zaczęła dopytywać się o dokładną datę balu, aby mogła dość wcześnie posłać zaproszenie.

Więc bal miał być za dwa tygodnie. To wiedziała na pewno Alda, która zawsze miała nie wiadomo skąd dokładne informacje.

- Dwa tygodnie, jak to jeszcze strasznie długo - westchnęły wszystkie razem i już zaraz zaczęły gramolić się z sanek, bo właśnie podjechały pod kościół.

Nazajutrz...

Ach, nazajutrz było tak, jak to bywa po dniach zbyt przyjemnych - jak orzekła Nela. Bo właśnie imieniny Marianny można było śmiało zaliczyć do najbardziej udanych imienin w bieżącym roku szkolnym. Przyjęcie, jakie urządziła solenizantka, znajdowało się bezwzględnie na najwyższym poziomie. Pomijając świetność zgromadzonego towarzystwa, należy jeszcze podkreślić rozmaitość i jakość menu, które składało się z ciasteczek, herbaty, konfitur z róży oraz numeru popisowego,

czyli marcepanowego tortu w wykonaniu solenizantki. Oczywiście był i obiecany kremik waniliowy. Ponadto do atrakcji wieczoru należały zdjęcia, dokonane osobiście przez Mariannę nowiuteńskim, doskonałym aparatem, który przysłał najniespodziewaniej popołudniową pocztą Wojtek razem z życzeniami. Tą samą pocztą przysły także życzenia od Terki Pełczanki, która jednocześnie donosiła o swoim ślubie.

Rozwazały teraz to wszystko w pralni, stojąc przy baliach albo przy wyżymaczkach, bo właśnie były zajęcia praktyczne, tym razem pranie bielizny stołowej i pościelowej.

- To Terka pierwsza z tego ostatniego rocznika wydaje się za mąż? - dziwiła się Alda.

- A co, nie powiedziałam od razu, że ona pierwsza wyjdzie? - triumfowała Bietka. - Od razu to powiedziałam, jak tylko zobaczyłam, że ona pierwsza zaczyna tańczyć. Wtedy na balu, pamiętacie? Ciekawa jestem, za kogo? Nie pisze, Marianno?

- Owszem, pisze, właśnie za tego majora.

- Bardzo przystojny - westchnęła Alda. - I taki sympatyczny. Tylko zdaje mi się, że dużo od niej starszy.

- Wcale nie - stanęła w obronie majora Marianna. Pamiętała go z wagonu restauracyjnego i wydał się jej wtedy bardzo miły. - Ma najwyżej trzydzieści pięć lat. A Terka ma dwadzieścia. To piętnaście lat różnicy.

- Ach, stanowczo za dużo - oświadczyła Małgosia. - Nie rozumiem, co za sens mają takie duże różnice wieku. Zaraz sobie taki gentleman myśli, że może przewodzić nad bezbronną kobietą.

- A ty byś wolała, żeby bezbronna kobieta przewodziła nad nim, co, Małgosiu?

- Ma się rozumieć - zakrzyknęła Małgosia nader energicznie, rozchlapując hojnie wodę ze swojej balii.

- Małgosia, Małgosia! Co za gwałtowne odruchy? - zdziwiła się panna Mirka. - Dlaczego nie trzesz bielizny o tarę, tylko zdierasz skórę na palcach? Co to za dziwaczne pranie?

- Och, bo się zdenerwowałam. A zdenerwowanie zawsze źle wpływa na moje uzdolnienia gospodarskie. I w ogóle brak mi jakoś dzisiaj natchnienia do tego prania. Proszę lepiej, panno Mireczko najukochańsza, opowiedzieć nam, jaką suknię będzie pani miała w tym roku na naszym balu. Już teraz na zapas jesteśmy tym przejęte. A

Bietka nawet wymyśliła nowy system wydawania panien za męż. Podobno ta, która pierwsza rozpocznie bal, pierwsza zostanie mężatką.

Panna Mirka uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Zdaje mi się, że trzeba będzie w tym roku odłożyć termin balu, moje dziewczynki. Pani Hurlowa czuje się niezbyt dobrze. Jeszcze rano zdawało się, że te bóle w boku, to takie sobie nieszkodliwe bóliki, tymczasem zanoszą się na coś poważniejszego. Doktor Nadolska jest bardzo zaniepokojona i jutro ma przyjechać specjalista z Krakowa. Kto wie, czy nie trzeba będzie zwołać konsylium.

- Czy naprawdę to może być jakaś cięższa przypadłość? - zmartwiły się dziewczynki.

- Tak, niestety niewykluczone. Szkoda mi was, moje drogie, ale przecież nie ma mowy o urządzaniu balu wtedy, kiedy dyrektorka choruje. I na pewno żadna z was nie miałaby ochoty wtedy tańczyć. Chyba, że nastąpi szybka poprawa.

I panna Mirka zmartwiona przeszła do sąsiedniej sali, gdzie był magiel i żelazka do prasowania.

- Straszne! - zawrzała Jolanta po jej wyjściu. - Doprawdy, tyle strat. Już druga suknia balowa na nic.

- Wstydz się, Jolanto! - zgromiła ją Małgosia, a Nela zaproponowała: - Może mogłabyś urządzić wysprzedaż twoich toalet balowych po cenach zniżonych. Albo może nawet opłaciłoby ci się poczekać do przyszłego roku. Może wtedy też bal się nie uda i zostanie ci jeszcze jedna suknia. Zawsze łatwiej jest sprzedać, kiedy jest większy wybór.

- Dowcipy z pralni - zdenerwowała się Jolanta. I ze złości zabrała się na dobre do prania.

ROZDZIAŁ 18 - ZAJĘCIA PRAKTYCZNE

Niestety, było to bardzo smutne, ale na dobre i o zabawie nie mogło być mowy. Ona sama co prawda prosiła, aby nie zwracano uwagi na jej chorobę i urządzono tak upragniony, zwłaszcza przez drugi kurs bal, ale dziewczęta wyrzekły się zabawy. Naprawdę trudno byłoby mieć dobry nastrój, kiedy wiadomo było, że stan zdrowia dyrektorki jest poważny i że ona biedna leży w pobliżu, obolała od zastrzyków i znękana wysoką temperaturą. I bez najmniejszego żalu ustaliły, że jeśli pani Hurlowa wyzdrowieje do tego czasu (bo choroba zapowiadała się bardzo rozwlekle), to zamiast balu zimowego, urządzą bal w zielonym karnawale. Może nawet tak, żeby jego data zbiegła się z zakończeniem roku szkolnego.

- To będzie sto razy przyjemniejsze - orzekła Marianna. - Może nawet udałoby się tańczyć wtedy na tarasie? Jak myślicie?

- Aha! Otworzyłyby się drzwi do dużej sali i byłoby doskonale słycać muzykę. To cudownie! Będziemy tańczyć przy księżycu - cieszyła się na zapas Małgosia.

- A od kiedy to nasza Małgorzatka jest taka sentymentalna, że marzy o księżycu? - zdumiała się Bietka. - Czy jeszcze nie wspomniała dotychczas nic o śpiewie słowika?

- Owszem, owszem, lada chwila i tego należy oczekiwać - wyjaśniła Nela, patrząc z ukosa na Małgosię. - W ogóle ostatnio interesuje ją różne ptactwo. Między innymi i łabędzie.

- O, naprawdę? - Bietka była żądna bliższych i dalszych szczegółów, ale tę rozmowę na tematy ornitologiczne przerwała im Jolanta. Nie - ona stanowczo była przeciwna tym pomysłom z księżycem. Przecież taki księżyc to nie jest żadne oświetlenie. Żadna toaleta, choćby najefektowniejsza, wcale się wtedy nie zaprezentuje. I w ogóle co za pomysł?

- No cóż? Można by ciebie ostatecznie zupełnie specjalnie oświetlić reflektorem - zaproponowała Małgosia, wstając od stołu, bo rozmowa toczyła się w jadalni i właśnie kończyły deser.

- Idziesz na górę? - zapytała Marianna. - Jeśli tak, to wiesz co? Zajrzyj do panny Janiny. Może już jest lista naszych praktyk.

- Prawda! Zaraz zobaczę. Byłoby cudownie, gdybyśmy dostały gdzieś razem, co?

- Och, naturalnie - zgodziła się Marianna. - Właśnie o to prosiłam. Jeśli będzie zapotrzebowanie na jakąś większą pracę, to pójdziemy we trójkę.

Mówiły o tej praktyce lekko i wesoło, ale naprawdę to miały trochę tremy. Szczególnie Marianna nie grzeszyła zbytnią odwagą. Praktyka polegała na tym, że siostry gospodarcze z Jagodnego odbywały rodzaj zajęć praktycznych w różnego rodzaju gospodarstwach, zależnie od zgłaszanych zapotrzebowań. Na ogół było tych zapotrzebowań bardzo dużo, bo wszyscy chętnie widzieli u siebie w charakterze pomocnic-praktykantek te miłe, dobrze wychowane dziewczęta, które swoją pracę wykonywały spokojnie, uczciwie i w dodatku bardzo sprawnie.

- Strasznie jestem ciekawa, co nam przypadnie w udziale i gdzie będziemy stawiać pierwsze kroki - zastanawiała się Nela. - Chciałabym, żeby to było jakieś małe gospodarstwo, takie zupełnie zwyczajne, żeby była jakaś miła a nieporadna pani domu, wobec której ja bym zabłysnęła moją wiedzą. Albo żeby to była jakaś sympatyczna para nowożeńców, którzy by chcieli urządzić sobie racjonalne gospodarstwo. Bardzo chętnie doradzałabym im w zakupach.

- A ja - zgłosiła się Marianna - chętnie pracowałabym tam, gdzie są małe dzieciaki. Albo na przykład gdzieś na wsi, żeby wypróbować moje przygotowanie wiejskie. Bo przecież ja jestem mieszcza.

Wtem nadbiegła Małgosia zadyszana i w doskonałym humorze. - Słuchajcie, dziewczynki, panna Janina pozwoliła mi spojrzeć na listę zapotrzebowań na praktyki i mogę wam coś niecoś o tym powiedzieć. Wybór jest bardzo duży, zapotrzebowań masa. Więc przede wszystkim oferta na wyjazd do Krynicy. Jest to zgłoszenie wielkiego hotelu. Zachorowały im trzy osoby z personelu, a sezon zimowy mają w pełni. Zdaje się, już nie pamiętam dobrze, że potrzebna jest jedna kawiarka, jedna bufetowa i jedna pomocnica intendenta.

- Oj, to coś dla mnie - poderwała się Bietka. - Czuję, że zrobię karierę jako bufetowa.

- Chyba i ja się o to zwrócę do panny Janiny - oświadczyła Jolanta. - Co prawda to straszne, że będę musiała zadawać się tam z byle kim, ale już wolę elegancki hotel, niż jakąś wymagającą paniusię.

- Poza tym - wyliczała dalej Małgosia - przysłała zgłoszenie na naszą praktykę jakaś mleczarnia i przetwórnia serów pod Rabką.

- To dla mnie - ucieszyła się Alda.

- Jest także - ciągnęła Małgosia - do objęcia praktyka w bardzo zamożnym

domu, gdzie urządzają często przyjęcia.

- To ja! - gwałtownie podskoczyła Żabencja z nigdy u niej nie spotykaną dotychczas energią. - Koniecznie chcę zobaczyć, jak to jest w takim domu na szerokiej stopie. To pewnie zupełnie jak w powieści - dodała z naiwnym zachwytem, cechującym zawsze nieśmiałą Żabencję.

- Świetnie, Żabencja rusza w elegancki świat - przyklasnęły dziewczęta, a Małgosia wyliczała dalej: - No i która by jeszcze chciała, jest zastępstwo na prowadzenie stołówki dla pracowników na bliskim Śląsku...

- W sam raz dla mnie - zgłosiła się Izabella. - Bardzo chciałam poprowadzić taką stołówkę. Ja im pokażę, jak można tanim kosztem elegancko i porządnie ludzi karmić.

- Izabella, brawo! Robi się z ciebie zupełnie porządny człowiek - pochwaliła ją Bietka.

- No, a co będzie z nami? - zmartwiła się do łez Marianna. - Małgosiu, czy dla nas zabrakło praktyki?

- Marianno, kochanie, nic się nie martw. Są dwa zgłoszenia do wyboru i zaraz mam pannie Janinie powiedzieć, o które my prosimy. Swoją drogą, gdyby nie to, że pani Hurlowa jest chora, przenigdy w świecie nie pozwolono by nam wybierać. Przyznane takie i takie praktyki i koniec. Jak była tu moja siostra, to po prostu wyznaczano. Zresztą nigdy żadna nie była pokrzywdzona, zgłoszeń jest zawsze tyle, że miały zagwarantowaną różnorodność praktyk. Lidka na przykład miała raz bardzo przyjemne i ciekawe zajęcie, bo urządzenie przyjęcia dla jakichś sławnych zagranicznych gości, gdzie trzeba było popisać się kuchnią polską. A znów kiedyś dostała na dwa tygodnie prowadzenie zupełnie małego gospodarstwa, gdzie było dwoje dzieci, a matka musiała pojechać do rodziny. Strasznie mile wspominała te dzieciaki.

- O, ja bym właśnie chciała coś takiego - zachwyciła się Marianna.

- Poczekaj, zaraz ci powiem, jakie my mamy zaproszenia. Więc jedno, to młode małżeństwo na wsi. Małżonka niezbyt się zna na gospodarstwie i proszą o przysłanie instruktorek: jednej do gospodarstwa i dwu do ogrodu i hodowli inwentarza. Bardzo sympatyczna paniusia ta młoda małżonka, ale okropna ignorantka, i jeśli chodzi o jakąkolwiek organizację pracy, to po prostu nie do wiary.

- To po co wychodzi za mąż i to w dodatku na wieś? - prostolinijnie zdziwiła się Izabella.

- Ach, moja droga, po prostu widocznie zakochała się - sentymentalnie objaśniła Małgosia.

- Małgorzatko godna uwielbienia! - pisnęła zdumiona Nela. - Marianno, kochanie, czy ty zauważyłaś tę romantyczność, tę rzewność, tę wyrozumiałość u naszej Małgorzatki? Od pewnego czasu zrobiła się szalenie romantyczna. Po prostu boję się o nią. Nasza Penthesilea gotowa jest zakochać się.

- Nie pleć, Nelu - zgromiła ją surowo Małgosia - a jeśli masz ochotę opowiadać takie niepoważne rzeczy ("niepoważne" - powiedziane było bardzo srogim tonem), to nie będziemy miały czasu na załatwienie sprawy naszej praktyki. Więc słuchajcie, jest zgłoszenie z Krakowa. Małżeństwo z trojgiem dzieci. Ale w tej chwili nie mieszkają w Krakowie. Dotychczas przebywali za granicą, a teraz przyjeżdżają ze wszystkim do kraju ze względu na dzieciaki, bo chcą, żeby się uczyły w polskich szkołach. Więc ten pan jest tu dyrektorem jakichś wielkich zakładów przemysłowych. Z zawodu jest inżynierem. Ma tu już w Krakowie mieszkanie, tylko kompletnie nie urządzone. To znaczy, że są meble i trochę pościeli, ale wszystkie pozostałe rzeczy trzeba zakupić. Więc na przykład sprzęt kuchenny - to jest już specjalna prośba tej pani - żeby jej urządzić porządnie i racjonalnie kuchnię, zaopatrując we wszystko. Poza tym trzeba pomyśleć o nakryciach do stołu, o bieliźnie stołowej, o urządzeniu pokoju dzieciennego. Oni sami są z dziećmi w tej chwili w Wiśle i właśnie mają zamiar przyjechać do już zupełnie przygotowanego mieszkania. Ba, trzeba założyć firanki, podobno kupić jakiś komplet do cocktajlów i maszynkę do czarnej kawy. Panna Janina ma wszystko dokumentnie spisane, odręcznym pismem przez tę kobietę, którą mamy wyręczać w tak rozkosznych zajęciach, jak robienie zakupów. Ponadto, jeśli trzeba nam było jakiegoś silniejszego ramienia przy porządkach, to mamy zatelefonować do kantoru fabryki, a wtedy przyślą nam woźnych do pomocy. Bo to jest ta fabryka, w której nasz prawie że chlebodawca pracuje. Więc co wy myślicie o tej ofercie?

- Ach, to byłoby bardzo przyjemne - westchnęła Marianna.

- Widzę, że czujesz powołanie do tych zakupów, co kochanie? Ja też. Po prostu przyływ natchnienia. Na przykład wybieranie serwisu do czarnej kawy - strasznie miłe zajęcie. Oczywiście, że chyba zdecydujemy się przyjąć tę ofertę, prawda, Marianno? Małgosiu, masz nasze pełnomocnictwa i możesz powiedzieć panie Janinie, żeby liczyła na nas.

- Ona już liczy! Ty wiesz, że ja mam szaloną intuicję. Wiedziona wieszczym

przecuciem, od razu prosiłam, żeby to drugie zapotrzebowanie zatrzymała dla nas.

- Cudnie, a kiedy tam się trzeba stawić?

- Zdaje się, że dopiero za tydzień.

- Ach, pysznie - ucieszyła się Nela. - Bo wiecie? Za parę dni ma być w Krakowie Marek. Pewnie zamieszka u naszych kuzynów. I ja bym się tam też ulokowała. I myślę, że gdyby poprosić panią Hurlową, a właściwie pannę Janinę, toby na pewno nic nie miała przeciwko temu, żebyśmy się gdzieś z nim wybrały.

- Och, naturalnie. Zresztą już przecież jesteśmy na drugim kursie i jako siostry gospodarcze, mamy trochę więcej swobody, niż w zeszłym roku - upewniała ją Małgosia. - Przyjemnie byłoby pójść do teatru, do kina, zajrzeć do eleganckiej kawiarni.

Prawie przez cały tydzień była mowa o tym, jak to będzie podczas owej praktyki. Zakupy, przygotowanie zapasów w spiżarni, urządzenia - wszystko to było dokładnie po sto razy omówione, zaplanowane i nawet spisane, aby potem nie tracić czasu na rozważania. W międzyczasie Nela dostała list od brata z przypomnieniem o jego bytności w Krakowie i z rozkosznymi obietnicami rozrywek, na które co najważniejsze, pani Hurlowa, znając tak dobrze Marka, dała przyzwolenie. W dodatku, sympatyczny lotnik przysłał siostrze duże pudełko czekoladek z adnotacją, iż ma nadzieję, że nie będzie tak łakoma, aby połknąć je w samotności, tylko że się uczciwie podzieli z Małgosią i Marianną.

Nela zalecenie wykonała ku zachwytowi koleżanek bardzo ściśle i nigdy chyba żadne czekoladki tak nie smakowały Mariannie, jak te właśnie. Jeszcze na dwa dni przed wyjazdem obiecywały sobie różne strasznie miłe rzeczy, czekające je podczas pobytu w Krakowie, kiedy najniespodziewaniej w świecie następnego ranka Nela obudziła się z wysoką temperaturą. Skarżyła się na silny ból głowy i wszystkich stawów, ponadto miała silne dreszcze.

- Ojej, co będzie z praktyką? - wyjąkała szcękając zębami, kiedy Małgosia i Marianna, zrozpaczone stały przy jej łóżku z załamanymi rękami.

Prawda! Jutro mają jechać. Co to będzie?...

Tu Marianna okazała znakomitą przytomność umysłu i posłała co prędzej Małgosię po pannę Janinę i po doktor Nadolską.

- Jeśli to jest tylko zwykłe zaziębienie, to może uda się je przerwać - pocieszała zrozpaczoną Nelę, nie omijając przy tym okazji do nagadania jej paru słów prawdy o chodzeniu rano do obory w zbyt lekkim kożuszk, co niewątpliwie było

przyczyną zaziębienia.

- Marianno, skarbie, nie nudź - prosiła w odpowiedzi na te zarzuty omdlewającym głosem chora - już i tak mam życie doszczętnie złamane, jeśli okaże się, że nie mogę jutro wstać, a ty mnie dodatkowo zadręczasz.

W istocie był powód, aby mieć życie doszczętnie złamane, gdyż pani doktor Nadolska była nieubłagana i natychmiast po skonstatowaniu ostrej formy grypy, zaleciła przeniesienie pacjentki do szpitalika w bocznym pawilonie. Ach, było to niezmiernie smutne. Nie mogło być nawet mowy o tym, aby Nela wstała w terminie wcześniejszym, niż tygodniowy.

- Jedźcie same - pokrzykiwała do nich przez łyzy - i koniecznie skontaktujcie się z Markiem. Zapomniałam w tej chwili numeru, ale powiem wam przed wyjazdem.
- I zatrzasnęły się za nią drzwi szpitalnego pokoiku. Marianna i Małgosia spojrzały na siebie. - No, więc co zrobimy? - zapytała bezradnie Małgorzatka.

- Pojedziemy - zdecydowała krótko Marianna. - Będziemy codziennie pisywać do Neli, żeby ją pocieszyć, a może ona w ciągu paru dni wyzdrowieje i jeszcze zdąży przyjechać do nas? Ostatecznie przecież możemy zakupy odłożyć na sam koniec i poszłybyśmy w trójkę, a właściwie w czwórkę, bo panna Janina powiedziała mi, że mniej więcej za tydzień przyjedzie także i że chciałaby być przy niektórych zakupach. Miała tak strasznie miłą i nieśmiałą minę, kiedy o tym ze mną rozmawiała.

- Niech sobie ostatecznie idzie z nami - łaskawie mruknęła Małgosia. - Czuję, że to wyprawowe zakupy!

- Naprawdę tak myślisz?

- Ma się rozumieć. Zobaczysz! Ale słuchaj, Marianno, czy już zapakowałaś swoje rzeczy na ten wyjazd? I co ty właściwie zabierasz?

Więc Marianna zaczęła wyliczać, co należy włożyć do waliz i żeby koniecznie nie zapomnieć o fartuchach. - Rozumiesz chyba, jakie to ważne. To przecież jest właściwie nasz uniform.

Na drugi dzień rano, obudziły się trochę zdenerwowane. Bądź co bądź był to ich pierwszy występ, jak się wyraziła Małgosia i miały zrozumiałą treść. W dodatku Małgorzatka po swojemu trochę się grzebała z pakowaniem i zapomniała, ku wielkiej rozpacz Marianny o włożeniu do neseserka grzebienia i ręcznika, którego zresztą wcale nie mogła znaleźć w szafce z bielizną, mimo, że podobno naszykowała go wieczorem.

- To weź mój, mam drugi, Małgosiu - zaklinała ją nieomal ze łzami w oczach.

- Pomyśl, autobus odchodzi za dwanaście minut.

- Pomyślałam - mruknęła Małgosia, zła jak stado szatanów, bo jak na złość okazało się jeszcze, że nie zapakowała ani jednej chusteczki do nosa.

- Masz tu! Sześć, całe pół tuzina - pożyczała jej hojnie Marianna, już nieco zirytowana. Naprawdę zupełnie nie wiadomo, co się od niejakiego czasu dzieje z tą Małgorzatą. Była zawsze niezbyt poważna, ale wystarczająco porządna. A teraz?

No, nareszcie wszystko, albo zdaje się, że wszystko zapakowane. Zbiegły szybko ze schodów, a za nimi człapał Wicek, niosąc walizki. Autobus właśnie podjechał i trąbił. Trzeba się spieszyć.

- A adres i klucz od mieszkania? - przypomniała sobie naraz Marianna.

Prawda, przecież panna Janina przyniosła im jeszcze przedwczoraj karteczkę z adresem i klucz od tego mieszkania. Taki mały kluczyk yale. Nie brały go nawet do ręki, ale na pewno dostała go Nela i zdaje się, że leżał na jej stoliku przy łóżku.

- Czekaj! - zakrzyknęła rozpaczliwie, ale gromko Małgosia, przejęta grozą sytuacji. Autobus ruszy lada chwila, a one pojedą bez klucza i nie wiadomo, pod jaki adres. Straszne!

Swoją drogą jak to dobrze mieć takie długie nogi. Marianna spoglądała z uznaniem i zazdrością na śmigające kończyny Małgorzatki, która wróciła doprawdy po paru sekundach, trzymając w ręku karteczkę i kluczyk.

- No, to możemy jechać - orzekła, dysząc ze zmęczenia.

ROZDZIAŁ 19 - PRAKTYKA

Autobus zatrzymał się na placu Świętego Ducha i dalej trzeba było pojechać albo tramwajem albo dorożką. - Fiakrem - jak zaznaczyła Małgosia, wyrażając się po krakowsku. - Ach, pojedźmy wobec tego tym fiakrem - domagała się Marianna - co tam!

Wobec tego hulaszczego nastawienia Marianny, Małgosia zaczęła przyzywać pierwszego z brzegu dorożkarza. Wgramoliły się do zabytkowego wehikułu, ulokowały walizy i kazały ruszać.

- Jazda, to jazda, ale dokąd? - sennie zapytał dorożkarz.

- Dokąd? Aha, prawda, przecież adres mają zapisany na karteczce, daj tę kartkę, Małgosiu.

Małgosia wydobywa spieszenie kartkę, na której wypisane jest ołówkiem: Aleja Słowackiego 72, m. 7. - A kluczyk masz? - upewnia się Marianna. - Tak, kluczyk też jest.

Po zapłaceniu fiakra stoją przed bramą domu i nie widząc dozorczy, same ujmują walizy i wędrują do bramy.

- A panienki do kogo?

To pewnie jest dozorczyńni. Naturalnie, że interesuje się tym, kto i do kogo przychodzi. A one zupełnie, ale to zupełnie zapomniały zapytać pannę Janinę, jak się nazywają owi państwo. Oczywiście, że jest to zapisane na tej karteczce z adresem, ale nie mogą przecież teraz wyciągać kartki i odczytywać nazwiska. Więc Małgosia pyta z bardzo ważną miną, tak po prostu: - Gdzie tu jest siódmy numer mieszkania?

- Na drugim piętrze - poinformowała je, już nieco uprzejmiej dozorczyńni. Bo pierwsze pytanie zadane było bardzo groźnie.

Kiwnęły więc teraz łaskawie głową i z godnością zaczęły wchodzić na schody. Teraz, kiedy dozorczyńni już nie widziały, można było wydobyć kartkę i sprawdzić nazwisko. Ale jak się okazało, na kartce nie było żadnego nazwiska, tylko adres.

- Ach, mniejsza o nazwisko - zbagatelizowała wielkodusznie Marianna. - Grunt, że jesteśmy na miejscu. Ważne jest teraz aby klucz pasował do zamka. Otwieraj Małgosiu, a co? Pasuje doskonale. To pysznie, zaraz dostaniemy się do wnętrza.

W istocie klucz obrócił się w zamku bardzo lekko. Weszły z trochę dziwnym

uczuciem do tego obcego mieszkania, milczącego i czekającego na ich gospodarne ręce. Przedpokój, a właściwie duży hall tonął w półmroku. Przystanąły na chwilę niezdecydowane. Z hallu prowadziło czworo drzwi do różnych pokoi i nie wiadomo było, od których zacząć.

- Trochę jest tak, jak w detektywistycznym filmie, nie? - zauważyła z zachwytem Małgosia. - Ciekawa jestem, czy tu czasem nie ukrywa się jakiś złoczyńca. Bardzo mi na to wygląda. Przynajmniej miałybyśmy jakieś nadprogramowe urozmaicenie.

- Wcale tego nie pragnę - szepnęła blado Marianna - ja już wolę zrezygnować z nadzwyczajności.

- Ach, bo ty nie masz za grosz fantazji - zgromiła ją Małgosia. - Hall zupełnie przyzwoity, urządony nie najgorzej. Wiesz co? Zaczniemy od pierwszych drzwi na prawo, na los szczęścia.

- Dobrze - zgodziła się Marianna. Ale naraz zatrzymała się zdumiona. - Patrz! - wskazała na wieszak, na którym wisiał jakiś płaszcz. Podeszły bliżej zaciekawione. - To płaszcz oficerski - szepnęła Marianna - nic nie wspomniałaś o tym, że ten pan, do którego należy mieszkanie, jest oficerem. Pracuje przecież w fabryce, czy coś takiego.

- No tak, inżynier. Ale cóż to znaczy, po prostu jest widać oficerem rezerwy. Nie bądź dziecinna, Marianno.

Właściwie Małgosia ma rację - przyznaje zawstydzona Marianna. Można więc spokojnie wędrować dalej. Z rozmachem otworzyły drzwi do ładnego gabinetu. Podziwiały piękne fotele z ciemnobłękitnej skóry i biurko ze szklanym blatem. Błat biurka pokryty był lekko pyłem. Nic dziwnego. Podczas nieobecności pani domu nikt nie zajmował się porządkami. Na ścianie wisiało parę dobrych obrazów (Małgosia знаła się na tym, jej ojciec był historykiem sztuki), na oknie stały kwiatki, które o dziwo, miały dość wilgotną ziemię. Dużą ozdobą pokoju był wielki, stary, stojący w kącie zegar.

Nagle Małgosia chwyciła Mariannę za rękę. - Patrz! Ten zegar chodzi!

- Oczywiście, że chodzi. Piękny zegar. Nie rozumiem, dlaczego uważasz to za fakt wstrząsający, na ogół jest to przeznaczeniem zegarów.

Ale Małgosia wcale nie doceniła tego wyjaśnienia, tylko podejrzliwie przyglądała się zegarowi, którego wahadło poruszało się dostojnie, a miarowe tik-tak pełne było godności. - To nie jest normalne - orzekła wreszcie. - Policz tylko! List do

Jagodnego przyszedł tydzień temu. Więc ci państwo z Wisły musieli go wysłać mniej więcej przed dziesięcioma dniami. No, to moja droga, żaden zegar nie będzie chodził bez nakręcenia dłużej niż tydzień. To naprawdę podejrzana historia.

- Małgosiu! - Marianna była zdumiona. - Nie, naprawdę jestem skłonna przypuszczać, że czytałaś się jak Wojtek jakimiś marnymi kryminałami. Przecież taki stary zegar może mieć mechanizm inny, niż dzisiejsze zegary i może nakręca się go raz na miesiąc?

- No, może masz rację.

Gabinet łączył się z małym, ładnym pokoikiem, zastawionym, wyglądającymi na prawdziwe, meblami chippendale.

Następne drzwi prowadziły do trochę ponurego pokoju stołowego, o ścianach koloru rezedy i ciężkich meblach z ciemnego dębu. Małgosia oceniła je jako banalne i mało eleganckie, ale Mariannie podobał się ten spokojny typ sprzętów, trochę staroświeckich. Najmniej ładny był kredens, ozdobiony kryształowymi szybkami. - Tandeta - orzekła bezlitośnie Małgorzatka. Ale zaraz dodała łagodniejszym tonem: - Zajrzyjmy, czy czegoś tam nie ma do zjedzenia, bo wiesz? Jestem jakby trochę głodna.

W kredensie były wspaniałe rzeczy. Pomijając zapas dobrej, wonnej herbaty, stało tam pudełko sardynek, puszka dżemu pomarańczowego, kawałek suchej polędwicy, trochę sera szwajcarskiego i nawet jakieś ciasteczka.

- Tylko chleba brak - westchnęła Małgosia, ale Marianna wydała w tejże chwili okrzyk zachwyty. Pod kloszem leżało pół bochenka chleba, prawie zupełnie świeżego. Teraz z kolei Marianna uważała za stosowne wyrazić swoje zdumienie. Jakkolwiek wiadomo jest, że patentowane klosze chronią doskonale pieczywo od szybkiego wysychania, to niemniej nieprawdopodobne się wydaje, aby w takim stanie świeżości chleb mógł się utrzymać ponad tydzień.

- Może to taki lepszy klosz - zauważyła Małgosia. - Zresztą jest niska temperatura. - I podeszła do umieszczonego pod oknem centralnego ogrzewania. Ale rury były dostatecznie ciepłe dla utrzymania przeciętnej temperatury w mieszkaniu.

- Zrobimy sobie drugie śniadanie dopiero wtedy, kiedy obejrzymy całe mieszkanie - zaproponowała systematyczna Marianna. I pociągnęła przyjaciółkę do dalszych pokoi. Podziwiały więc jeszcze salon i sypialnię z nie zasłanymi łózkami, co je niesłychanie oburzyło. Doprawdy! szczyt nieporządku. - Pozwolić, aby kurz osiadał na takich ślicznych atlasowych kołdrach koloru bzu. Marianna zirytowana

zrzuciła natychmiast z siebie okrycie i zabrała się do ślania. - Skandal - pokrzykiwała Małgosia, krzątając się przez ten czas i zbierając rzucony na fotel szlafrok i części piżamy. - Widzisz? Same męskie graty. Tylko mężczyzna jest zdolny do takiego niedbalstwa.

- Ciekawa jestem, jak wygląda tutejsza pani domu? - zainteresowała się Marianna i rozejrzała się za fotografią lub portretem.

- Ach, to później, później - popędzała ją Małgosia - musimy jednak cokolwiek oporządzić się z robotą. Chodźmy jeszcze do kuchni. Przecież to ważne obejrzeć jak w tym mieszkaniu wygląda gospodarstwo.

- Dobrze, ale wiesz, te drzwi z sypialni, to chyba do łazienki. Taka strasznie jestem ciekawa, jak też ta łazienka wygląda.

I Mariannie przypomniała się łazienka pistacjowa, którą tak często oglądała w swoich marzeniach, tych dawnych, jeszcze z czasów ciotki Janiny. Ale ta łazienka była jeszcze piękniejsza, bo kafle miała jasnoturkusowe, przypominające odcieniem akwamarynę. Trochę miało się wrażenie, jakby się stało na dnie jeziora, gdyż światło przesączało się przez dwie również niebieskozielone szybki.

- Zupełnie elegancka łazienka - stwierdziła z zadowoleniem Małgosia. - Kto wie, czy nie zrobię sobie zaraz kąpieli.

- To potem - zgromiła ją teraz Marianna - po robocie, moja droga. Zastanów się, co nas jeszcze czeka. - I zabrała się do mycia rąk ładnie pachnącym mydłem.

- Masz tu ręcznik. Ale wiesz co? on jest prawie zupełnie mokry, jakby go ktoś przed chwilą używał - zdumiała się Małgosia.

- Może tu jest wilgoć w mieszkaniu - zastanowiła się Marianna.

- Ach nie, to nie od wilgoci. Tylko wiesz, leżał zwinięty na taborecie, więc pewnie dlatego nie wysechł. Ja też jestem niemądra - zgromiła się sama Małgosia. - Ale trzeba go teraz porządnie rozwiesić.

Kuchnia ku zadowoleniu pupilek jagodniańskich, była najzupełniej na poziomie nowoczesnych wymagań. Tylko rzeczywiście brak było niektórych naczyń i sprzętów. - Bardzo porządnie urządzona - stwierdziła Marianna. - Tylko czekaj, teraz od razu tu zrobimy spis, co jeszcze należałoby dokupić. Zacznijmy od garnków...

- Litości, Marianno - przecież ty mnie chcesz na śmierć zamęczyć. Jeśli zaraz nie zjemy czegoś, upadnę z wycieńczenia. Pozwól, skarbie, że nastawię imbryczek z wodą na gaz.

Kiedy po spożyciu małej przekąski z zapasów kredensowych, zabrały się do

roboty, zaczynając od porządków kuchennych, Marianna przypomniała sobie, że przecież nie widziały jeszcze pokoju dzieciennego, którym miały się zająć szczególnie pieczołowicie.

- Może jeszcze nie wszystkie pokoje obejrzałyśmy - zastanowiła się Małgosia.

- Albo może dopiero mają zamiar mieć dzieci i są tacy przewidujący.

- Być może. Małgosiu, teraz jeszcze koniecznie musimy zorientować się, co należałoby wykonać z cięższych robót, bo trzeba by zatelefonować do biura po tych woźnych. Myślę, że przede wszystkim ważne jest trzepanie dywanów.

- Tak - zgodziła się Małgosia - ale przedtem trzeba będzie sprawdzić na liście lokatorów, jak się ci państwo nazywają, bo przecież trzeba w fabryce powiedzieć, z czyjego polecenia dzwoniemy. I wiesz co? zwiniemy teraz w rulon te dywany, żeby były już gotowe do wyniesienia na podwórze.

Kiedy porządnie po całej tej robocie zmęczone, szykowały się do wyjścia, Małgosia przypomniała sobie: - Czekaj, zadzwonię stąd do ciotki Zadrożnej, że zaraz przyjdziemy. Ciotka będzie pewnie trochę zła, że nie od razu do niej przyjechałyśmy, ale taką miałam ochotę zobaczyć to mieszkanie zostawione nam do zagospodarowania, że zapomniałam o ciotce.

- To może ja przez ten czas zejść do bramy i zobaczę na liście, kto tu mieszka? - zaproponowała Marianna.

Ale niestety! Ani teraz, ani też nazajutrz rano nie było możliwości sprawdzenia, kto zajmuje lokal nr 7. Zupełnie, jak naumyślnie groźna dozorczyni wartowała przy liście z miotłą w ręku. To onieśmieliło biedne siostry gospodarcze i następnego dnia krzątały się w mieszkaniu obcych ludzi, również nie znając ich nazwiska.

- A może zatelefonujemy do Jagodnego? - zaproponowała wreszcie nieśmiało Marianna.

- To byłoby jeszcze gorzej! Jak to? jedziemy i nie wiemy dokąd?

Przyjechałyśmy i nie wiemy, u kogo pracujemy? Nie, kochanie, nikt nam nie może wydrzeć tej słodkiej tajemnicy, że na razie praktykujemy u nie znanego, ale niewątpliwie zacnego chlebowdawcy.

Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak tylko wziąć się do roboty. Trochę niepokojące były różne objawy, które napotykały na każdym kroku. Tak na przykład zniknął nie wiadomo gdzie ów płaszcz z przedpokoju. A przecież był na pewno. Poza tym ręcznik w łazience był jeszcze bardziej mokry, niż dnia poprzedniego i znów leżał zwinięty i rzucony na taboret. Przyjaciółki co prawda podejrzewały się

wzajemnie o porzucenie ręcznika i nachlapanie na podłogę. Bardziej już natomiast niesamowita wydała się im historia ze śniadaniem. Małgosia pobiegła do stołowego, aby przynieść stamtąd kluczyk do szafki z bielizną, a po chwili wpadła do łazienki, gdzie Marianna robiła gruntowny porządek i zbierała z podłogi nachlapaną nie wiadomo przez kogo wodę i zapytała zdyszczym nieco szeptem: - Czy to ty jadłaś śniadanie w jadalni?

- Przecież jadłyśmy razem w kuchni!

- No, właśnie - przytaknęła Małgosia. - A tymczasem w jadalni jest na stole całe nakrycie po jakimś posiłku. Filiżanka po herbacie i jeszcze talerzyk.

- Niemożliwe!

- Niemożliwe? Chodź!

Tak, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Jakiś nie znany konsument spożywał tu niewielką przekąskę. Pił herbatę i jadł bułki z szynką, o czym świadczył kawałek tejże wędliny zostawiony na talerzyku. Ponieważ szynki nie było wśród zapasów domowych, nie mogło być wątpliwości, że została przyniesiona z miasta.

- Bezczelny bandyta! - oburzyła się Marianna. - Przynosi tu sobie przysmaki i z zimną krwią spożywa, planując swoje nikczemne zamiary.

- Ale odżywia się przynajmniej higienicznie i racjonalnie - zauważyła fachowo Małgosia. - Patrz, tłuszcz od szynki odkrajany, poza tym lekka herbata i sucharki, bo jest pozostawiony kawałek. Bułeczka też była lekko podeschnięta.

- Ciiit, cichoooo. Słuchaj.

Zamieniły się w słuch. Naprawdę przy drzwiach wejściowych wyraźnie słychać było chrobotanie, a po chwili można było rozróżnić obrót klucza w zamku.

- Łap coś! - zakomenderowała Małgosia, chwytając jako broń, masywną kryształową karafkę, która stała na kredensie. Marianna posłusznie ujęła platerowaną paterę do ciast. Czekają teraz z sercem bijącym tak głośno, że zdawało im się, że to walenie słychać w całym pokoju.

- Najlepiej od razu rzuć w niego - zaleciła Małgosia, ściskając karafkę.

Tymczasem bandyta, jak przystało na zimnokrwistego złoczyńcę, i to takiego, który odżywia się higienicznie, nie spiesząc się, zdejmował w hallu płaszcz, a potem pogwizdując lekko szedł najwyraźniej w stronę jadalni.

- A może by zatelefonować szybko na policję? - zdołała wyjąkać po cichutku Marianna. Ale już było za późno. Przecież telefon był w gabinecie.

Kroki były coraz bliższe. Potwornie przykre jest uczucie lęku, kiedy serce

podchodzi aż pod samo gardło. Może lepiej zacząć krzyczeć: ratunku?

Ale ten okrzyk nie zaistniał nigdy.

Na progu jadalni stał zdumiony niepomierne, ale i uśmiechnięty promiennie Marek Sulistrowski.

- O Boże! to panie? Jak to cudownie. Wyglądają panie tak, jakby miały zamiar wręczyć mi puchar przechodni. Czy Nela jest również? Posłałem jej właśnie kluczyk do mieszkania naszych kuzynów, żeby mogła tu przez ten czas praktyki pomieszkać. Ja też zresztą korzystam z tej gościny przez parę dni. Bardzo się cieszę z tego spotkania.

- My też - szepnęła Marianna.

ROZDZIAŁ 20 - BAL

Nie, nawet Jolanta nie miała powodu do narzekania. Ten pierwszy prawdziwy bal udał się pod każdym względem. Pani Hurlowa była już zupełnie zdrowa, dziewczęta miały za sobą egzaminy, a gości przyjechało na bal tak wielu, że chyba nigdy jeszcze Jagodne nie oglądało tylu osób naraz. Już same przygotowania dostarczyły masy miłych wzruszeń, bo przecież to zupełnie co innego szykować różne wspaniałości na własny bal. A cóż dopiero ubieranie się. Ach, sypialnia szósta przesiąknięta była atmosferą balową już od samego rana. Przede wszystkim obudzono się z pytaniem, czy aby będzie ładnie? Bowiem Małgosia poprzedniego dnia wieczorem chodziła pełna jak najgorszych przeczuć. Twierdziła, że deszcz jest nieunikniony, że jeśli nawet nie będzie deszczu, to w każdym razie będzie okropnie zimno, mimo iż to koniec czerwca i że wobec tego nikt nie przyjedzie. Opowiadając to, miała tak tragiczny wyraz twarzy, że Jolanta z trudem powstrzymywała łzy.

- Tak - westchnęła przejmująco Nela - nie mogę się oprzeć jakiemuś przecuciu, że ten bal także się nie odbędzie.

- Bardzo źle by było, gdyby się miał nie udać - wzdychała w obliczu tych wszystkich prognostyków Izabella. - Pan Szczepan na próżno by się fatygował.

- No, ale przynajmniej zobaczyłby się z tobą - pocieszała Marianna.

- Ale to niedobrze, żeby tak interesy bez opieki zostawiał. Bal, to co innego. Obowiązek towarzyski.

Na szczęście pogoda była tak wspaniała od samego rana, że doprawdy pod tym względem nic nie stało na przeszkodzie, aby pan Szczepan mógł dopełnić wyżej wspomnianego obowiązku. Od rana też wśród debiutantek balowych, świeżo promowanych na kurs trzeci, panował ruch, wywołany szeregiem niezbędnych, przedbalowych zabiegów. W sypialni szóstej wrzało. Jolanta biegła z twarzą pomazaną jakimś cudotwórczym kremem, Izabella w pocie czoła zakręcała loki na drucziane maszynki. Nela poszła do ogrodu upatrzeć najpiękniejsze kwiaty do sukni, a Marianna ze skupieniem łapała oczko, które bardzo nietaktownie i w zupełnie nieodpowiedniej chwili, spuściło się w Małgosinej pończosze. Co prawda właścicielka tej pary wspaniałych, gazowych pończoch, utrzymywała, że taki drobiazg nie może jej wytrącić z równowagi, ale Marianna twierdziła, że nie będzie czegoś podobnego tolerować w swoim najbliższym otoczeniu. Pod wieczór krzątanina wzmogła się.

- Marianno kochana, pomóż mi! - jęczała Nela, borykająca się ze zbyt puszystymi po umyciu włosami. Małgosia wprawdzie nie jęczała, ale skromnie i z cichą nadzieją w sercu również wpatrywała się w nieocenioną przyjaciółkę, licząc na jej pomoc w zakresie skomplikowanego zapięcia sukni. Czas oczekiwania na tę pomoc skracała sobie spoglądaniem od czasu do czasu w stronę Jolanty, która właśnie z przejęciem manipulowała szczoteczką z tuszem do rzęs.

Dochodziła już siódma, a rozpoczęcie balu, jako że był to bal letni i częściowo miał się odbywać na tarasie i w ogrodzie, wyznaczono na ósmą. Było już więc naprawdę niewiele czasu, a tu jeszcze tyle roboty. Marianna nie uczesana nawet, Bietka z rozpaczą stwierdziła przed chwilą, że suknia jest na nią trochę za luźna. Alda znów tonie w rozpaczy, że w swojej jasnozielonej sukience wygląda "zmorowato". Ileż zmartwień.

- Nie widziała która mojej pończochy! Odpruła mi się falbanka! Tak uczesana wyglądasz strasznie śmiesznie! Pomóżcie mi zapiąć tę diabelską haftkę! Kwiaty, konieczne tu są kwiaty!

Wreszcie z tych okrzyków, niepokoju i bieganiny wyłoniły się strojne, uśmiechnięte, trochę przestraszone i zdenerwowane swoim pierwszym dorosłym balem, pupilki panny Janiny. Ona sama bardzo ładna i elegancka w sukni koloru bzu, robiła teraz przegląd tych ślicznych w swojej młodości dziewcząt. Nie, naprawdę mogła być z nich zupełnie zadowolona i dumna. Nawet Izabella, grubas z nastroszonymi zabawnie lokami, wyglądała wdzięcznie w niebieskiej sukience. Tym bardziej drobno i uroczo wyglądała przy niej mała Nela w puchu białych, lekkich falbanek. Małgosia, smukła i cienka, jak wycięta z jakiegoś żurnalu, zdumiewała po prostu zmianą swojej aparycji. Zniknęła jej chłopakowata kanciastość i stała teraz wytworna i elegancka. Powiedziały jej to z zachwytem i zdumieniem, ale Małgosia przyjęła ten objaw uznania obojętnie.

- Zawsze byłam zdania, że jestem nad wyraz piękna. Dziwię się, że dopiero teraz to zauważyłyście...

I dystygowanie zaczęła schodzić na dół, naśladowując wspaniale ruchy Jolanty i podtrzymując fałdy swojej długiej szyfonowej sukni koloru maków.

- Małgosiu, nie przydeptuj trenu - upomniała zaniepokojona tymi objawami dystynkcji Marianna, drepcząc za nią w swojej białej organdynowej sukni. Wyglądała tak ładnie, jak nigdy dotychczas. Wysmukła trochę, a jej lekko pozłocona słońcem i tak zawsze śniadawa twarz oraz gładkie uczesanie, stanowiły śliczne zestawienie ze

strojną i młodzieńczą toaletą. Na żądanie Neli, przypięte miała przy wycięciu sukni, trzy blad różowe róże, co nadawało sukni bardzo stylowy charakter.

- No, już schodźcie, prędzej - poganiała je po swojemu z przyzwyczajenia panna Janina.

Więc schodziły jedna za drugą. I Bietka w jakichś kwiciastych zwiewnościach i Alda mniej już "zmorowata" dzięki przypiętym do sukni kwiatom i Jolanta wyelegantowana do niemożliwych granic. Czas już był najwyższy, aby zejść, bo gości już było pełno i zniecierpliwieni tancerze oczekiwali swoich dam. Ku Małgosi rzucił się niepomiarne elegancki w wieczorowym stroju Lohengrin, a ku Neli pomaszerał sprężyste młody, bardzo miły lotnik, przyjaciel Markowy jeszcze z podchorążówki. Marka nie było widać i Marianna poczuła leciutki żal w sercu. Ale zaraz się zgromiła, że przecież nie miała właściwie żadnego powodu, aby oczekiwać jego przybycia, nawet nie posłała mu zaproszenia. Więc tymczasem dała się porwać do tańca jakiemuś młodzieńcowi, wysokiemu i szczupłemu, o bardzo niespokojnych ruchach. - Pasikonik - orzekła na jego widok Małgosia.

Tymczasem Nela przeżywała niezwykłą historię ze swoim danserem. Janka знаła od dawna i zawsze bardzo go lubiła, przede wszystkim ceniła jego dobry humor. A dziś? Nie, dziś Janek wcale nie był zabawny. Był raczej szalenie mało mówny, wyraźnie zgnębiony. Tańczył również nie tak dobrze jak zawsze i miał przy tym tragiczny wyraz twarzy. Nic więc dziwnego, że jego tancerka była także skonsternowana. A poza tym... nie, stanowczo nie lubiła aż do tego stopnia zapachu benzyny, żeby go uznawać za odpowiedni do perfumowania balowego ubrania. A właśnie jak na złość, mundur porucznika woniał niczym stukonny motor. - Może lotnik tak musi być nasiąknięty benzyną - pomyślała ze zgrozą Nela, tłumiąc lekkie kichnięcie.

To już dobiło do reszty jej partnera. - Pani pewnie nie znosi zapachu materiałów pędnych - wyjąkał wreszcie zupełnie złamanym głosem. - Nie, niech pani nie zaprzecza, ja wiem doskonale, ja zaraz panią odprowadzę do jakiegoś krzeselka, ja panią przepraszam... - Był strasznie zakłopotany, a Nela nie miała siły wciągnąć w płuca dłużej zapachu cennego paliwa, więc skinęła przyzwalająco i wyszli do ogrodu. - Jeśli pani pozwoli, to przyniosę pani coś do picia - oświadczył nie wiadomo dlaczego i po eleganckim ukłonie oddalił się spieszenie.

Nela przysiadła na chwilę na ławeczce pod krzewem bzu i osłupiała. Naprawdę, zupełnie nie wiadomo, co o tym sądzić?

Z zadumy wyrwał ją głos Marka. - Neluś, kochanie, co tu porabiasz, mała? Porzucił cię Janek?

- Wyobraź sobie, że porzucił i to najbezcelniej w świecie. Miał mi coś przynieść do picia, chociaż go wcale o to nie prosiłam.

- Doprawdy? Janek zapewniał mnie, że jesteś bliska omdlenia wskutek zatrucia wyziewami benzyny. I dlatego mnie tu przysłał. On sam się tu więcej nie pokaże, i już tylko czeka na najbliższy autobus do Krakowa.

- Cóż się znowu stało? - zaniepokoiła się Nela.

- No, właśnie wszystko przez tę benzynę. To cała tragedia. Wyobraź sobie, że przed wyjazdem Janek zauważył, że galowy mundur jest czymś splamiony. Dał go więc jednemu z żołnierzy i poprosił, aby plamkę wywabił benzyną. Żołnierz, chłopak zakochany czy co, zapomniał i dopiero w ostatniej chwili, buch, cały mundur do benzyny. Plamka znikła, ale ten zapach! Zresztą już sama wiesz. Wyleliśmy na Janka wszystkie posiadane zapasy wody kolońskiej. Była też nadzieja, że wywietrzeje po drodze, ale jakoś widać nic nie pomogło, jeśli jak mówisz, pachnie tak mocno benzynką.

- To bardzo straszne - westchnęła Nela. - Czy myślisz, że on naprawdę pojedzie z powrotem?

- Oczywiście i prosił, abym cię od niego pożegnał.

- No, mógłby co prawda, sam to zrobić.

- Wiesz, on by chciał, tylko się wstydzi i jest okropnie speszony.

- No to powiedz mu, żeby tu natychmiast przyszedł - poleciła znudzonym głosem.

- Dobrze, zaraz to zrobię. Tylko mi jeszcze powiedz, kto to jest to indywiduum, które śmie tańczyć z Marianną?

- Nie wiem, sprawdź sam. Bądź samodzielny. A z kim miała tańczyć, jak ty się do niej nie zgłaszasz? Gdzież jest Janek?

Niewinna ofiara materiałów pędnych zjawiała się nieśmiało.

- Proszę się zbliżyć.

- Chciałem tylko panią pożegnać.

- Niechże pan się trochę zbliży. Czy doprawdy nic się nie da poradzić na tę bęzynę?

- Obawiam się, że nic. To straszne. Cóż mi zostaje, jeśli nie oddalić się w pogębieniu?

Tymczasem Nela wietrzyła swoim zadartym noskiem, niczym wyżeł na wietrze. - Zdaje mi się, że jakby już trochę mniej pachnie.

- Czy doprawdy tak pani sądzi?

- Tak przypuszczam. Myślę, że mógłby pan ostatecznie posiedzieć tu trochę w ogrodzie, może to z czasem trochę się zmniejszy.

Biedna Marianna przez ten czas zdana była całkowicie na łaskę i niełaskę roztańczonego "pasikonika", jak go ochrzciły dziewczęta. Pogodny i zadowolony z siebie, jak przysłowiowy pasikonik z bajki, cały czas podskakiwał, unosząc Mariannę w swoich objęciach. Na szczęście nie był zbyt rozmowny, ale za to jeśli była jakaś przerwa w tańcu, czyhał na swoją ofiarę i gdy zobaczył kogokolwiek zmierzającego w stronę Marianny, natychmiast skłaniał się przed nią z miną melancholijną i zaczynał od początku swoje podskakiwanie. Osaczona w ten sposób, pocieszała się tylko myślą, że może nareszcie znajdzie się jakieś wybawienie. Jakoż w pewnym momencie już zaświtała jej jutrzienka wolności, bo właśnie ujrzała z daleka Marka. Z rozpromienionym wyrazem twarzy szedł w jej stronę, i już była pewna, że zdąży szczęśliwie poprosić ją do ślicznego tanga, ale gdzie tam! Pasikonik, jakby wiedziony niesamowitą wprost intuicją, podskoczył żwawo i już pochwycił ją do tańca. Podskakiwała więc razem z nim, zrozpaczona i bliska łez. A przecież za nic na świecie nie zdobyłaby się na odwagę, aby podziękować roztańczonemu pasikonikowi, który zdawał się być bardzo zadowolony z siebie. Dla urozmaicenia więc tych smętnych podskakiwań rozejrzała się po sali - ach! Dziewczęta bawiły się doskonale. Małgosia niezmordowanie tańczyła z dziennikarzem, Izabella dreptała wpatrzona w pana Szczepana, któremu z czoła spływał rześisty pot, Jolanta tańczyła wymyślnie i dystyngowanie z jakimś równie dystyngowanym młodzieńcem, który trzymał ją w pasie dwoma palcami, a za to wystawionym spiczastym łokciem uderzał wszystkich innych tańczących po bokach. Lucynka, ba Lucynka tańczyła z doktorem Gruszką i miała minę zahipnotyzowanego kota, a Alda, biedna Alda tańczyła wpatrzona dramatycznie w przestrzeń nad głową swego tancerza, który przez ten czas drapał sobie nos o róże umieszczone przy wycięciu Aldzinej sukni.

- To już nawet lepiej z pasikonikiem - pomyślała Marianna i nawet spojrzała nieco przychylniej na swego tancerza, który właśnie podskoczył nieco żwawiej. Ale oto skończyło się wreszcie melancholijne tango, a obok niej stoi Marek Sulistrowski i na wszelki wypadek, od razu przy powitaniu zaprasza ją do następnego tańca. I do wszystkich innych również, co Marianna przyjmuje z cichą radością, której

oczywiście nie okazuje, bo jest dobrze wychowana i nie uzewnętrznia swoich uczuć. Grunt zresztą, że się w ten sposób czuje zabezpieczona od owadziego tancerza.

Tymczasem Małgosia, korzystając z przerwy w tańcach, przybiega z wielką nowiną. - Czy wiesz, Marianno, że nasza Janinka zaręczyła się najoficjalniej na świecie z doktorem Pragłowskim i za miesiąc jest ich ślub w Krakowie u Świętej Anny?

- Skąd to wiesz? - dopytywała się Alda, która też się do nich przyłączyła.

- Ja wiem wszystko! - oświadczyła Małgosia.

- No, bo też przecież jej własna agencja prasowa podaje specjalne komunikaty - wtrąciła Nela, która nie wiadomo skąd wzięła się naraz na sali. Przy niej stał Janek, zdaje się już mniej podobny do zbiornika benzyny.

- Ej, Nelusiu - pogroziła jej Małgosia - a co będzie jak podam taki wspaniały komunikat o znaczeniu materiałów pędnych w życiu towarzyskim?

- Cicho bądź - zgromiła ją Nela.

- No, to nie dokuczajcie mi, i lepiej chodźmy tańczyć.

- Czekaj, więc co powiedziała panna Janina?

- Powiedziała, że wychodzi za mąż. Za doktora Pragłowskiego, jak to oczywiście było do przewidzenia, ale że nasz kurs doprowadzi do końca.

- To znaczy do zamążpójścia - dokończył Jacek, który przyszedł na koniec rozmowy. - Albowiem wiadomo, że wszystkie tutejsze wychowanki kończą studia w ten sposób.

- Masz rację - przerwała Małgosia. - Nie darmo przepowiadali mi kiedyś, że źle skończę.

- Panno Małgosiu! - jęknął na to boleśnie pewien dziennikarz, który poza tym był Lohengrinem.

Ale na szczęście nikt nie zauważył tej dramatycznej sceny, gdyż właśnie nadeszła Żabencja, która z jeszcze jedną dziewczyną z trzeciego kursu roznosiła w koszykach śliczne bukietki świeżych kwiatów.

- A to co? - zdziwił się Marek.

- To są bukietki kotylionowe - wyjaśniła Żabencja. Pani Hurlowa lubi, żeby nasze bale miały taką trochę staroświecką tradycję i dlatego zawsze na balach w Jagodnem jest kotylion, podczas którego panie otrzymują kwiaty.

- Bardzo ładna tradycja - mruknął z uznaniem Jacek. - Taki bukietek, jeśli się nie mylę, należy koniecznie po balu zasuszyć, proszę o tym pamiętać panno Aldo. W zamian powinienem otrzymać lok pani włosów, który aż do śmierci będę nosił ukryty

na sercu, aby nikt nie domyślił się, że pani była przedmiotem mego gorącego sentymentu.

Stali teraz wszyscy przy Żabencji i wybierali kwiaty. - Cóż za szatański pomysł, żeby mieć taką suknię, do której tak trudno dobrać kwiaty - jęczał Lohengrin - chyba te białe różyczki.

Marek wybrał wiązanekę blad różowego, pachnącego groszku i stał zamyślony na uboczu.

- Ciekawa jestem, komu da ten groszek - zastanowiła się Marianna i pierwszy raz w życiu doznała lekkiego uczucia zazdrości. Oczywiście, na pewno jest tu jakaś dziewczyna, która mu się bardzo podoba i jej wręczy ten bukiet. Czeka pewnie teraz na nią. Mariannie będzie, naturalnie, trochę smutno. I nie daj Boże, żeby się teraz miał gdzie znaleźć ten pasikonik. Właściwie najlepiej byłoby niepostrzeżenie czmychnąć do ogrodu i nie patrzeć na to. Ach i tak już pewnie wszyscy doskonale orientują się, że Marianna jest bardzo szczęśliwa, kiedy Marek jest przy niej. Naturalnie, przecież Małgosia, ta miła Małgosia, skądinąd taka kochana, ciągle jej żartami dokucza na ten temat. Tylko Nela jest bardzo dobra i milczy.

Biegła teraz szybko wąską ścieżką w stronę ławeczki, przy krzewach berberysu, gdzie zawsze siadywały w trójkę o zmierzchu, na różne dziewczynskie gadaniny. Boże! Czy zawsze tak ciężko bywa wtedy na sercu i człowiek czuje się taki jakiś niespokojny.

- Marianno!

Męskie, mocno zarysowane usta o trochę dziecinnym wykroju warg, miały wyraz żalony.

- Marianno! Tak mi strasznie przykro. Dlaczego pani uciekła? Oczywiście, unika mnie pani. To jasne. Myślałem, że wolno mi będzie wręczyć pani te groszki. Niech pani nie czuje się obrażona tym, co pani powiem, ale tak strasznie chciałbym, aby pani wiedziała o tym, że kiedy lecę tak wysoko, że wokoło mnie jest tylko cudownie czysta przestrzeń, to wtedy, wie pani? wtedy powtarzam pani imię. Niech mi pani powie, że to mi wolno. Powtarzam je także i wtedy, kiedy jest mi źle i wtedy kiedy jestem szczęśliwy, bo jest wówczas słowem radosnym, Marianno! Nic mi pani nie powie?

O Boże! coż można powiedzieć, kiedy serce bije tak mocno, że na pewno słychać jego bicie aż na tarasie? Cóż można odpowiedzieć, kiedy jak olśnienie spada świadomość, że oto jest człowiek bliski i drogi, o którym myśli się serdecznie.

- Marianno!

Tak, to jasne, to jest lęk przed szczęściem. Marianna wie już teraz o tym na pewno.

- Marianno, spójrz na mnie, o, jakie pani ma dziecinne oczy, takie przejrzyste. Wiem, teraz wiem, że nie powinienem był jeszcze tego wszystkiego mówić. Niech pani zaraz weźmie ten bukiet i pójdziemy potańczyć. Ale jeszcze tylko coś powiem. Pani za rok kończy tę szkołę narzeczonych, prawda? Niech pani mi przyrzeknie, że nie postanowi pani nic o sobie, przed rozmową ze mną, dobrze?

ROZDZIAŁ 21 - MINAŁ JESZCZE JEDEN ROK

- Zmęczyłam się uczciwie - oznajmiła z zachwytem Nela, siadając na znanej, już nieomal historycznej ławeczce pod krzewami berberysowymi. Tylko że w tej chwili słońce świeciło, a nie romantyczny, chorowicie blady księżyc, jak wówczas przed rokiem podczas sławetnego balu.

- Ja też - Marianna usiadła obok niej i wyciągając z kieszeni małe lusterko, stwierdziła ze zgrozą, że przy zbieraniu truskawek opaliła sobie fatalnie nos, wskutek czego wyglądała jak wytrwała wielbicielka alkoholu. - Boże, co teraz będzie? Przecież za trzy dni rozdanie dyplomów.

- Jak myślisz, czy to zejdzie? - szukała pociechy u Neli.

- Oczywiście - zapewniła ją Nela, która nie chciała martwić przyjaciółki. - Najlepiej posmaruj na noc jakimś kremem.

- Nie mam kremu.

- Oj, ja też nie mam. I Małgorzata też na pewno nie posiada czegoś takiego na składzie, jako że na razie gardzi kosmetykami.

- Tak, to jest przywilej naszych lat osiemnastu - westchnęła Marianna - ale to nie zmienia postaci rzeczy, że w tej chwili nie mam kremu, a zacerwieniony nos nie należy stanowczo do dodatnich stron urody.

- Wiesz co? - krzyknij na Aldę. Ona tam człapie w końcu alei, może ona ma.

Alda rzeczywiście człapała według orzeczenia Neli, zmęczona gorącem, ale i ona nie miała, a jedyna skarbnica tego rodzaju zapasów, czyli Jolanta, pojechała do Krakowa - na zabieg lekarski - jak oświadczyła lakonicznie jej matka przez telefon z Krynicy. Nikt nie miał jednak najmniejszej wątpliwości, że zabieg polegał na przymierzeniu sukni w pewnym krakowskim domu mody.

- Wiesz co? - doradziła Alda - zrób sobie taką maseczkę kosmetyczną. Czytałam, że to się robi albo z ogórka, albo z truskawek.

- A wiesz? spróbuję - ucieszyła się Marianna i co prędzej pobiegła w stronę zagonków, skąd po chwili wróciła z wielką, dojrzałą truskawką. Usiadła na ławce i z niejaką obawą rozgniotła truskawkę na nosie.

- Musisz tak posiedzieć przynajmniej pół godziny - zaleciła Alda.

- Ojej - stęknęła ofiara nadmiernej operacji słonecznej - ten sok kapie mi po brodzie. Ooo, ścieka!

- Nie ma na to rady, siedź spokojnie - zgromiła ją Nela. - Chcesz na

zakończenie roku szkolnego paradować z malinowym nosem, czy nie? Chociaż doprawdy zapewniam cię, że nie rozumiem, po co się tak męczysz. Markowi podobasz się zawsze, nawet gdybyś miała dwa pryszcze na czubku nosa.

Marianna miała właśnie zamiar gwałtownie zaprzeczyć, kiedy od strony domu ukazała się długa sylwetka Małgosi, biegnącej pędem. - Czy jest tam Marianna?

Więc krzyknęły, że owszem, że jest i po chwili Małgosia dopadła do ławki, wymachując im przed nosami upierścienioną ręką, w której był list do Marianny. I to nie zwyczajny list, a ekspres.

- Ekspres? - złękła się Marianna - przecież wczoraj dostałam list z domu i wszystko było jak najlepiej.

- Zobacz, może to nie z domu! - pocieszała Nela.

- Zobacz prędzej - poganiała Małgosia. - Nie wiem czemu się namyślasz. Cóż to za powolne stworzenie!

- Daj jej spokój - stanęła w obronie Marianny Nela. - Ona nie jest jak ty przyzwyczajona do otrzymywania codziennych listów i to przeważnie w postaci artykułu wstępnego.

- Nela! bo zaraz będziesz mnie błagać o przebaczenie - i Małgorzatka wyciągnęła rękę, aby schwytać drobną rękę Neli w swoje mocne, długie palce.

- Nie nadużywaj przemocy i nie błyskaj tak tym zaręczynowym pierścieniem - krzyczała, śmiejąc się napastowana - zdaje mi się, że ten twój Lohengrin opublikuje wszystkie listy do ciebie w wydaniu zbiorowym. I to w paru tomach. Marianno kochanie, co ci się stało, ty płaczesz? - dziewczęta zaniepokoiły się na dobre.

- Nnnie, nie płaczę - wyjąkała po chwili Marianna, jakkolwiek rzeczywiście, miała policzki zalane łzami, które mieszając się z rozgniecioną truskawką, dawały niezrównany efekt.

- Marianno, na litość boską, jak ty wyglądasz? - przeraziła się na dobre Małgosia.

- Ależ ona nie płacze, tylko się śmieje - zdumiała się Alda.

- Ooooch! Przeczytajcie ten list! - wyjąkała wreszcie, dławiąc się śmiechem Marianna. - To ciotka Janina pisze do mnie.

Rzuciły się więc do tej familijnej lektury, z której dowiedziały się, że celem życia ciotki Janiny jest nie co innego, jak tylko dbałość o szczęście Marianny. W wyniku tej troski, ciotka Janina znalazła odpowiedniego kandydata, który gotów byłby poślubić młodocianą absolwentkę szkoły narzeczonych, gdyż ceni sobie

dziewczęta skromne, a także posiadające gruntowną znajomość gospodarstwa domowego.

“Jest to człowiek poważny i na odpowiednim stanowisku społecznym - podkreśliła ciotka - przy tym jest w stanie zapewnić swojej żonie dobrobyt, gdyż posiada aptekę w Piotrkowie. Na korzyść jego przemawia również i ten fakt, że jest spokrewniony z rodziną mego męża. Jego dojrzały wiek (czterdzieści siedem lat) daje gwarancję stateczności. Wierzaj mi drogie dziecko, że nie powinnaś wahać się ani chwili, tylko szybko i z wdzięcznością chwycić szczęście, które samo się do ciebie uśmiecha. Oceń to należycie”.

- Oceń to należycie, Marianno! - jęknęła Małgosia, tarzając się ze śmiechu.

- Oceń! - zaklinały przez łyzy Nela i Alda.

- Ciekawa jednak jestem, czy ten kandydat na oblubieńca powtórzyłby swoją propozycję, gdyby cię zobaczył w tej chwili - zastanawiała się Nela, podając Mariannie lusterko. - Nie wiem, czyby docenił tę maseczkę kosmetyczną należycie. Mężczyźni są na ogół niewdzięczni.

- Tak - przytaknęła Małgosia - ale nie zapominaj, że jak ciocia zaznaczyła, jest to mężczyzna stateczny. Więc być może nie zwracałby uwagi na jej defekty fizyczne i raczej doceniłby piękną duszę.

- Ach, nie - zaprzeczyła gwałtownie Alda. - Mężczyźni stateczni ignorują duszę kobiety. Natomiast mogłaby liczyć na pewne względy z tytułu swoich talentów gastronomicznych.

- Marianno, gdybyś była taka miła i strasznie dobra, tobyś napisała do cioci, że owszem, reflektujesz. A jeśli nawet ty mu się nie spodobasz, niech przyjeżdża! Jest tu szereg skromnych i zacnych panienek, które marzą o takim solidnym małżeństwie. Możesz nawet dla zachęty posłać moją fotografię. Prawda, że moja twarz wzbudza zaufanie?

- No wiesz? Małgorzatko! Jesteś niewiarygodnie zachłanna. Tu niby zaręczona z tym swoim Lohengrinem, za miesiąc ma być ślub, a tymczasem czyhasz na niewinnych farmaceutów w średnim wieku. Skandal!

- Raczej nazwałabym to bezeceństwem - skromnie sprostowała Nela. - Ale swoją drogą, przestańcie na chwilę żartować i zastanówcie się, jak to szybko minęły te trzy lata naszego pobytu w Jagodnem.

- Bo wszystko, co dobre, to się szybko kończy - westchnęła Marianna, sprawdzając w międzyczasie w lusterku, czy opalenizna na nosie, choć trochę zbladła.

Ale opalenizna nie miała ochoty zniknąć i nos Marianny błyszczał zawadiacko i wesoło.

- Co zrobić? - zwróciła się z rozpaczą w głosie do Neli.

- Z czym kochanie? Z tym farmaceutą? Ja bym na twoim miejscu nie pominęła takiej okazji.

- Ach, nie! Tylko co zrobić z nosem?

- Chyba najlepszy będzie kompres z kwaśnego mleka - zaordynowała Małgosia. - Marsz Marianno do sypialni, a ja ci zaraz przyniosę mleka ze spiżarni. Cegłusia da na pewno. Zwłaszcza dla ciebie. Bardzo się do niej przyzwyczaiałam. Zresztą do wszystkich tu się strasznie przywiązałam. Nawet do naszej radosnej agronomki, panny Kulanki.

- Ja też - wyznała Marianna.

- No, jest nadzieja, że panna Kulanka będzie jeszcze radośniejsza, bo podobno na jesieni wychodzi za mąż.

- Małgorzatko, niemożliwe!

- A widzicie. I to prawda, a nie żaden bluff.

- Co takiego? Powtórz ten cudzoziemski wyraz jeszcze raz, kochanie.

- To wszystko nabytki od tego Lohengrina - oświadczyła Alda. - Uczy się od niego różnych zdrożnych rzeczy i w końcu, zamiast być przykładną panią domu, jak tego ją uczono w szkole, zostanie dziennikarką.

- Jakbyś wiedziała, że zostanę - powiedziała dumnie Małgosia. - Oczywiście, że zostanę dziennikarką. Już jest wszystko obmyślane. Będę prowadzić pismo dla kobiet. Takie porządne, mądre pismo.

- Tak od razu zostaniesz naczelną redaktorką? - zdumiała się Alda.

- Wcale nie, najpierw trochę się poduczę. Nie masz co kpić ze mnie, bo to jest poważne zadanie.

- Lepiej powiedz poważnie, kiedy będzie twoje wesele Małgorzatko, i czy na pewno nas zaprosisz - upewniała się Nela.

- Chyba naprawdę za miesiąc. Bo tak się składa, że akurat wtedy będzie wielka wycieczka prasowa do Ameryki, więc pojedziemy od razu w taką wielką podróż poślubną. To będzie cudownie.

- I tak nas porzucasz niewdzięcznico - jęknęła tragicznie Nela - tak bez łez i żalu.

- Czy nie widzisz, że szlocham. Ale nie, naprawdę strasznie mi będzie ciężko

rozstawać się z wami i z panną Janiną, przepraszam, z panią Pragłowską. Pani Hurlowa mówi, że to jest zupełnie wyjątkowy rok w Jagodnem, chociaż jagodniańskie wychowanki zawsze bardzo szybko wychodzą za mąż. Ale w tym roku już jest zupełnie nadzwyczajnie. Bo po pani Pragłowskiej ma wyjść za mąż panna Mirka.

- Za kogo?

- Jak to, nie wiecie? - za doktora Gruszkę. A panna Kulanka też zaręczona.

- A z uczennic początek robi nasza Małgosia!

Tak, z uczennic początek robi Małgosia. Kto by pomyślał, że ta rozdokazywana, chłopakowata Małgorzatka, będzie tak szybko mężatką. Jolanta uważa to za wielce niesmaczny koncept. Ostatecznie, twierdzi, taka żona dziennikarza, to powinna być reprezentacyjna, umieć się ubrać odpowiednio, a taka Małgosia, to co? A która następna po Małgosi? No, Nela wyjdzie na pewno za Janka. Obiecał, że na przyszłość nie będzie taki hojny w używaniu benzyny do czyszczenia munduru. Izabella, naturalnie poślubi swego pana Szczepana. Na Wielkanoc były uroczyste zaręczyny, tylko ślub odbędzie się dopiero za pół roku, albo i za rok, bo pan Szczepan jakieś interesy szczególnie ważne i dochodowe musi przedtem przeprowadzić. Alda - zdaje się, że Alda zostanie bratową Małgosi. Tak coś na to wygląda. Żabencja - z Żabencją nie wiadomo jeszcze co będzie. Wiadomo natomiast, że Bietka odmówiła jakiemuś młodzieńcowi. A Marianna? Marianna jest w tej chwili trochę zdenerwowana, bo miała przed chwilą strasznie poważną rozmowę z panią Hurlową, i to w sprawie Kleksika. Kleksik wyrósł na ślicznego i miłego brzdąca i póki Marianna była w Jagodnem, wszyscy przyzwyczaili się do tego, że ma ona do niego specjalne prawa, i tak sobie też umyśliła, że za zgodą rodziców naturalnie, zabierze małego z sobą, że będzie się dalej wychowywał u rodziców Marianny. Mama i tatko bardzo chętnie zgodzili się na przyjęcie brzdąca. - Zawsze jak jest dziecko w rodzinie, to jest lepiej - powiedziała wtedy mama, kiedy ciotki dowiedziawszy się o tym projekcie zaczęły gwałtownie przedstawiać wszystkie czarne strony przyjęcia Kleksika do rodziny. A tymczasem przed godziną, pani Hurlowa poprosiła do siebie Mariannę i bardzo cichym i pełnym słodczy głosem powiedziała, że ma do niej prośbę. - Prośbę? - zdumiała się Marianna. Tak, to była prośba o zostawienie małego w Jagodnem. - Zrób to dla mnie, Marianno - powiedziała pani Hurlowa. Zaraz po tym zaczęła jej mówić o tym, iż, mimo że ma tu tyle wychowanek, to przecież jest samotna, bo dziewczęta wychodzą ze szkoły i mają

potem własne rodziny, a ona, pani Hurłowa tak się bardzo przywiązała do małego. - Kocham go bardzo, Marianno - powiedziała cicho i bezbrinnie. Cóż więc było robić. Trzeba było wyrzec się Kleksika, zresztą na pewno Marianna będzie go odwiedzać, to już jest postanowione.

Tak więc z Kleksikiem sprawa skończona. Ten rozdział jest zamknięty. A co dalej? Co Marianna ma ze sobą zrobić? Może pojedzie gdzieś na jakąś posiadłość. Ma już nawet poważną ofertę. Ale o Boże, to co Marek wtedy powiedział, brzmiało tak dziwnie. Marianna zostawiła na chwilę pakowanie i siedzi w słoneczne czerwcowe popołudnie na tej samej ławeczce, pod krzewami berberysów. Naprawdę, to co powiedział Marek brzmiało strasznie dziwnie. A może nic takiego nie powiedział, tylko jej się zdawało, bo wtedy wszystko było trochę takie jak we śnie! Nigdy potem zresztą na ten temat z nią nie rozmawiał, mimo że spędzała u Neli ostatnie wakacje i Marek był wtedy najmilszym gospodarzem, a sami państwo Sulistrowscy niezmiernie serdeczni. I nawet pod koniec wakacji pani Sulistrowska jeździła do Warszawy, żeby złożyć wizytę mamie Marianny. Tak się to wszystko przedstawiało. Naprawdę, nie wiadomo, dlaczego wszystkie dziewczęta w sypialni nr 6 robiły takie porozumiewawcze miny, kiedy mówiło się o lotnikach i lotnictwie...

Swoją drogą, przy pakowaniu rzeczy Marianna natrafiła wśród swoich skarbów dziewczyńskich na gałązkę zaschniętego groszku pachnącego i dobrze już zgnieciony kawałek wosku. To wszystko było bardzo starannie schowane w najpiękniejszej szkatułce na dnie walizy, i nie wiadomo zupełnie dlaczego tak jej mocno biło serce, kiedy natrafiła na te drobiazgi. Takie było rozmyślanie Marianny na ławce pod krzewami berberysów.

Nazajutrz, po rozdaniu dyplomów, Marek, który przyjechał po Nelę, dogonił Mariannę, gdy przechodziła przez ogród. Tu właśnie przy tej samej ławce, przystanęli. Była to rozmowa krótka i raczej lakoniczna. - Pamięta pani, co powiedziałem przed rokiem? - Marianno.

Oczywiście, że Małgosia lub Nela potrafiłyby w takim wypadku odpowiedzieć jakoś zgrabnie, dowcipnie. Ale naturalnie, że Marianna, po swojemu... więc wyjąkała nieśmiało, że owszem, coś sobie przypomina, ale...

Marek jednak zignorował to jąkanie: - Marianno, kochanie - to przecież nie ma sensu żebyś już teraz nie była prawdziwą narzeczoną. A jeśli już czyjaś masz być, to najlepiej moją!

Na to Marianna kiwnęła głową, że tak, chyba Marek ma rację. I zaraz

uprzytomniła sobie, że to wielka szkoda, iż w programie szkolnym Jagodnego, nie było wykładów o zachowaniu się podczas oświadczyn. Ale cóż było robić. Teraz już było za późno na teorię, bo oto objęło ją mocne ramię, a na ustach poczuła pieczęć pierwszego pocałunku.